

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

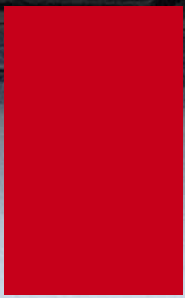
WOLNA
SOBOTA

- Klata: Plemię canceli kontra plemię inceli • Zandberg: Musi być miejsce dla wyborców PiS
- Brzezińska: Kobiety nie miały renesansu • Zbierz grupę, z którą chcesz spędzić starość



WYSOKIE
OBCASY

Kobiety
w kryzysie
bezdomności
i szminka



GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

50. urodziny Poczobuta

FOT. AGATA ŁUSZCZAK NA PODSTAWIE ZDJĘCIA LEONIDA SICHIEGLOVA/AP

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Stalo się coś,
co przerosło nasze
marzenia:** Niemcy uciekli
z getta – pisał w ostatnim liście



Wróg Korfanty
Poprowadził Ślżaków
do zwycięskich powstań,
a potem go znienawidzili

Musk nie był pierwszy
Przed sztuczną inteligencją
dużo wcześniej ostrzegali
już Mrozek ► 28

Problem ze zbożem. Nie tylko ukraińskim

Będzie jeszcze drożej

Od nowego ministra rolnictwa zależy trzecia kadencja PiS

Naszkowska

Nowy minister rolnictwa podjął się straceńczego zadania: ma do żniw pozbyć się z kraju ogromnej nadwyżki zboża i sprawić, by cena rynkowa w Polsce wzrosła na tyle, by zadowolić rolników. Od powodzenia jego misji zależy, czy PiS będzie w najbliższych wyborach miał głosy wsi i rolników, a tym samym – czy będzie trzecia kadencja PiS.

Łatwo Robertowi Telusowi nie będzie. Problem jest bardzo poważny, zaniedbania rządu tak olbrzymie, że nadmiaru zbóż szybko się nie pozbędzie. A rolnicy nie zamierzają nowemu dać forów, ich protesty nie słabną, wręcz przeciwnie: jeszcze się zaostrzają.

Sytuacja ze zbożami wygląda tak:

Zbieramy ok. 34-35 mln t (łącznie z kukurydzą) i jeszcze 3,5 mln t rzepaku. Ile mamy miejsca w magazynach, dokładnie nikt nie wie, ale specjaliści liczą je na ok. 30 mln t. Dziś w tych magazynach jest 8-10 mln t, dużo za dużo jak na tę porę roku. Takiej górki bez radykalnych, extraordinarynych działań nie zdołamy się do żniw pozbyć.

Żniwa zaczną się już za cztery miesiące, czyli do lipca nasze magazyny powinny być prawie puste, przygotowane na nowe zbiory. A ceny na rynku na tyle zachęcające, by rolnicy chcieli część nowego ziarna od razu, systematycznie sprzedawać. Słowo „syste-

matycznie” jest tu kluczowe – sprzedaż ma być stała, jak to zwykle bywało w poprzednich latach, by nasi przetwórcy pasz i młynarze mogli się płynnie zaopatrywać w potrzebne im ziarno, a eksporterzy płynnie wysyłać je za granicę. Zegar tyka, to wiedzą rolnicy, eksporterzy i przetwórcy. Rząd chyba już też, skoro po miesiącach nicnierobienia zaczął działać (czyli wymieniał ministra).

Możliwości są dwie. Scenariusz optymistyczny jest jednocześnie mało realny i zakłada, że do żniw uda się opróżnić magazyny, a jednocześnie zahamować napływ nowego ziarna ze Wschodu. Na razie nowy minister porozmawiał z ministrem rolnictwa Ukrainy i załatwił coś, co teoretycznie było postanowione od początku, czyli że ukraińskie pszenica, kukurydza, rzepak i słonecznik będą tylko przez Polskę przejeżdżać. Eksportu do Polski ma do żniw nie być. A dopilnować tego ma strona ukraińska, co jest swobodnym przyznaniem się Warszawy do bezradności. To Ukraina będzie wciąż

Umawiając się, że to Ukraina będzie pilnować zakazu handlu jej zbożem w Polsce, polski rząd przyznał się do bezradności

gać na swoją czarną listę firmy, które kupią u niej zboże, ale go nie wywozają z Polski.

Minister Telus ogłosił też, że polskie państwowe firmy zaczną skupowanie zboża od rolników „po cenach wyższych od rynkowych”, co ma uspokoić wieś. To oczywiście wywoła wzrost cen w całym kraju, bo cena ustalona przez ministra stanie się automatycznie najniższą ceną, poniżej której nikt już nie zechce niczego sprzedać.

Zdaniem Roberta Telusa musimy do żniw wywieźć z kraju 3-4 mln t. Po winniśmy wyeksportować znacznie więcej – nawet 8 mln t – ale to absolutnie niemożliwe. 3 mln t może jakimś cudem się uda, „stając na rękach”, jak mówi Monika Piątkowska, szefowa polskiej Izby Zbożowo-Pasowej. Minister z tego zdaje sobie sprawę, dlatego mówi asekurancko – jeśli wypchnie 3 mln t, będzie mógł odtrąbić sukces.

Tyle że to wszystko mało. By cała akcja się udała, muszą być tzw. systemowe rozwiązania. Po pierwsze – uruchomienie nowych terminali zbożowych, które minister Kowalczyk zapowiadał już na wiosnę 2022 roku, ale do tej pory nie rozstrzygnięto nawet przetargu na budowę.

Po drugie – trzeba usprawnić transport kolejowy: ma być więcej wagonów, bocznice itd.

Po trzecie – rząd musi znaleźć sposób na pozbycie się zboża inną dro-

gą niż eksport, np. dogadać się z gorzelniami, by przerabiać pszenicę na alkohol albo przerabiać zboże na bioenergię.

Dlatego dużo bardziej realny jest drugi scenariusz: nie uda się nam pozbyć nawet tych 3 mln t, czyli w żniwa się totalnie zapchamy. Zwłaszcza że początek działań nowego ministra nie rokuje dobrze: od czasu podpisania porozumienia z rolnikami, czyli od 30 marca, mieliśmy na rynku sytuację znaną z przeszłości, kiedy minister Kowalczyk zapowiedział wyższe ceny zbóż: rolnicy wstrzymali sprzedaż i czekają na lepsze czasy. Mają przecież obietnicę, że ruszy coś w rodzaju skupu interwencyjnego po wyższych cenach, czekają więc, co się wydarzy, jaka ta cena będzie. Jeśli zbyt niska – będą protestować. Mamy okres wyczekiwania, a czas nagli.

Każdy tydzień, nawet dzień, kiedy w portach nie ma przeładunku, to strata czasu, której nie da się odrobić. Do lipca tych tygodni zbyt wielu nie ma, a między 5 a 15 kwietnia praktycznie zboża nie było w obrocie.

Żegnając się z resortem, Henryk Kowalczyk z pewną ironią życzył Robertowi Telusowi „powodzenia”. Evidentnie nie wierzył w spełnienie tego życzenia. I chyba mało kto wierzy, że Telus dotrwa do wyborów parlamentarnych w resorcie rolnictwa.

Krystyna Naszkowska

Życzenia dla Poczubuta

Kamień z procy Dawida

Drogi Andrzeju.

Pozwól, że przyłączę się do głosów Twoich przyjaciół i znajomych, współpracowników, którzy Ci życzą wszystkiego najlepszego. Przede wszystkim zdrowia, cierpliwości, wytrwałości. I szczęścia, żeby to się wszystko skończyło dobrze, o czym jestem głęboko przekonany i w co głęboko wierzę.

Od siebie zupełnie prywatnie już dodam, jak kryminalista do kryminalisty się zwracam, że więzienie jest dobrą szkołą na resztę życia. Tam masz czas, żeby sporo poczytać. Ja przynajmniej w więzieniu bardzo sobie chwaliłem ten wolny czas, który poświęcałem lekturom, na które wcześniej, na wolności, kiedy wojowałem z polskimi Łukaszenkami, nie miałem czasu po prostu. I dzięki więzieniu stałem się znanym polskim intelektualistą i publicystą. Ty już się stałeś bardzo znanym europejskim publicystą i intelektualistą.

Twoja książka o Łukaszence, precyzyjna i przenikliwa, okazała się prorocza. Mimo że nie unikałeś w niej słów ostrych, to



Adam Michnik

nic gorszego o Łukaszence nie można powiedzieć niż to, co on Tobie zrobił.

To, co on Tobie zrobił, to zwyczajne bestialstwo, to po prostu chuligaństwo. Tylko tak to może być nazwane i tak zostanie potraktowane w przyszłości.

Mam nadzieję, że prędzej niż później Ty, Andrzeju, wyjdiesz na jasne słońce wolności. A takich ludzi, jak Łukaszenka i jego lizusy, sługusy, będzie czekało lekceważenie i pogarda.

A teraz ciesz się tą chwilą, w której możesz powiedzieć o samym sobie, z całym przekonaniem, że jesteś po dobrej stronie i nie marnujesz życia.

Każdy dzień spędzony przez Ciebie w więzieniu jest jak kamień, który ze swojej procy wystrzelał Dawid, celując w Goliata. Wiadomo, jak to się zakończyło. Dawida podziwiamy i wspominamy, a Goliatowi możemy powiedzieć tylko to, co powiedział obrońcy Wyspy Węzowej do rosyjskich opresorów i posłali ich na trzy litery.

Wszystkiego dobrego, Andrzeju.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Spis powszechny

Ponad milion mieszkańców nie wybrało narodowości polskiej

Więcej ► [Biqdata.wyborcza.pl](https://biqdata.wyborcza.pl)

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Minuty szczęścia

Zbudziłam się rano i zrozumiałam, że muszę jechać. Odzyskać męża, choć na minutę.

• **Wira Kuryko, ukraińska dziennikarka, jedzie na front, by zobaczyć męża**



Andrzej rysuje





CO SPRAWIA, ŻE ROLEX TO ROLEX?

To nie koła i trybiki. To nie stal, którą hartujemy, ani złoto, które wytapiamy. To nie suma poszczególnych części zaprojektowanych, uformowanych, pieczolowicie wypolerowanych i zamontowanych z ogromną dbałością i dzięki mistrzowskim umiejętnościom.

To poświęcenie czasu. Trzeba wielu dni pracy w naszych warsztatach, abyśmy mogli w końcu umieścić na tarczy to słowo: „*Superlative*”. To symbol naszej niezależności, odpowiedzialności i uczciwości. Ponieważ wszystko, co robimy, dotyczy Twojego cennego czasu.

#Perpetual

W. KRUK
1 8 4 0


ROLEX

WYTRZYMAJCIE

FOT. LEONID SHCHEGLOV/AP

Spaceruj nad rzeką za nas dwoje” – napisał Andrzej Poczobut w liście do żony. W liście z więzienia. – Andrzej kocha Niemen. Chodzimy dzisiaj trasami, które wcześniej przemierzaliśmy razem z nim. To trochę tak, jakby z nami był – mówi Oksana Poczobut. Dziennikarz, który od lat uczula nas na niebezpieczeństwo, jakie nie tylko dla Białorusinów, ale też całego regionu stanowi Aleksander Łukaszenka, w więzieniu Łukaszenki spędzi 50. urodziny.

Mimo że skutkowało to represjami, aresztami i rewizjami, wyrokiem trzech lat kolonii karnej w zawieszeniu na dwa lata, który zapadł przeciwko niemu w 2011 r., Andrzej nigdy nie ukorzył się przed władzami. „Tylko prawda jest ciekawa”, wielokrotnie podkreślał, ze spokojem i godnością wysłuchując absurdalnych zarzutów stawianych mu przez białoruski sąd.

Taki był na długo, zanim stał się znany reporterem. Od wczesnej młodości działał w białoruskich prodemokratycznych organizacjach, sympatyzował z ekologami, a z młodszym bratem Stasem współtworzył punkowy zespół Deviation, kojarzony dzisiaj przez miłośników kontrkultury z wolnościowym anarchizmem.

Znający go od lat białoruscy działacze zauważają, że potrzeba sprawiedliwości i wewnętrzna niezgoda na dyktaturę i przemoc sprawiły, że zajął się dziennikarstwem, a nie, jak początkowo planował, prawem. „Marzenia o karierze adwokata zostały zniweczone przez rzeczywistość, gdy Aleksander Łukaszenka doszedł do władzy”, wspominają na łamach opozycyjnego portalu Charter 97. To korespondencje z Białorusi przyniosły Andrzejowi nie tylko rozpoznawalność, ale też najbardziej prestiżowe nagrody dziennikarskie.

Andrzej to aktywny działacz niezależnego Związku Polaków na Białorusi, od początku jego istnienia angażujący się w obronę praw polskiej mniejszości i pielęgnowanie pamięci historycznej. To właśnie historia, w szczególności II wojny światowej oraz polskiego ruchu partyzanckiego, jest największą pasją Andrzeja. I to ona też ukształtowała go na człowieka, którego ludzie pokroju Aleksandra Łukaszenki nie mogą znieść. Franak Wiaczorka, starszy doradca Swiatłany Cichanouskiej, przekonuje: „Andrzej stał się symbolem niezłomności, wzorem dla wszystkich Białorusinów, którzy walczą dzisiaj z reżimem. Andrzej, nawet przebywając w więzieniu, jest w stanie pokazać – demonstrując przy tym własną siłę i wysoką moralność – słabość i nikczemność Łukaszenki oraz jego systemu. I nawet zza krat działa na rzecz wolnej Białorusi, jednocząc poprzez swoją tożsamość Białorusinów i Polaków”.

Zawsze mieliśmy możliwość wyjazdu. Gdyby tylko Andrzej podjął taką decyzję, wyjechalibyśmy razem bez żalu. Ale Andrzej nie chciał i nie chce. Zawsze powtarza mi, że może być sobą, tylko żyjąc tutaj, na Białorusi. I że jeśli się wyjedzie, to trzeba żyć tak, by nie oglądać się przez ramię. Ale on by tak nie umiał. On Grodno zawsze miałby tuż za plecami” – opowiadała Oksana. Mówią o tym także rodzice dziennikarza. Stanisław Poczobut w rozmowie z Wirtualną Polską przyznał, że wraz z żoną, widząc narastające w kraju represje, usiłował nakłonić syna do wyjazdu: „Andrzej za każdym razem odpowiadał



Żyć teraz na Białorusi, to wiedzieć, że ktoś musi zostać złożony w ofierze i że mogę to być ja, ktoś, kogo kocham, albo sąsiad.

Wiktorja Bieliaszyn

twardo: »przecież was nie zostawię«. To bardzo wrażliwy mężczyzna. Powtarzał: »Cokolwiek się zdarzy, nie martwie się zbyt. Wytrzymajcie«”.

I jego rodzice, i żona podkreślają, że choć Andrzej nie zdecydował się nigdy wyjechać na stałe z Białorusi, to dbał o kultywowanie polskiej tradycji, dołożył starań, by nie tylko jego dzieci, córka Jana i syn Jarosław, ale też Oksana mówili po polsku. „Andrzej mnie nauczył. Jestem Białorusinką, nie mam raczej polskich korzeni, może w jakichś odległych pokoleniach. Ale dzięki Andrzejowi po polsku rozmawiam z dziećmi” – wspomina.

Nikt z jego rodziny nie jest zdziwiony, że nie ugiął się przed reżimem, nie przystał na stawiane przez Łukaszenkę warunki i nie poprosił o ulaskawienie. I jego bliscy nie czują, by mieli prawo zrobić to w jego imieniu. Ojciec dziennikarza mówił: „Skoro Andrzej się na to nie godził, my też nie. Nie chciałem, by go poniżyli. Gdyby się przed nimi upokorzył, zadałby sobie ranę na całe życie. A Wanda, jak to matka, zawsze wspierała decyzję Andrzeja, a jednocześnie marzyła o jego powrocie. Nigdy nie pomyślała jednak, by prosić władze o ulaskawienie syna. Jest uparty, doprowadza sprawę do końca”.

Młodszy brat, Stanisław, potwierdza: „Jest taki od dzieciństwa. Jeżeli widział cel, metę wyścigu, to nie można było go przesunąć, stracić z drogi do niej. On po prostu szedł, szedł. Teraz jest taki sam. Nic się nie zmieniło”.

To kłopot. Bo ludzi wykształconych, silnych, odważnych i honorowych Aleksander Łukaszenka nie toleruje. A takich, których nie da się zmusić do „współpracy”, karze wyjątkowo surowo. To dlatego nasz redakcyjny kolega został skazany 8 lutego na osiem lat kolonii karnej o zaostrzonym rygorze oraz wpisany przez KGB do rejestru terrorystów. Sędzia Dmitrij Bubieńczyk, znany z orzekania w sprawach wytaczanych przez reżim Łukaszenki przeciwko opozycyjnym działaczom, uznał go tym samym za winnego wzywania do nałożenia sankcji na Białoruś, a także podżegania do nienawiści społecznej oraz wrogości. Proces odbył się za zamkniętymi drzwiami, a Andrzej stał się jedynym skazanym i osadzonym w więzieniu figurantem tzw. sprawy Polaków. Pozostali działacze zgodzili się na deportację lub zostali oczyszczeni z zarzutów.

Dla białoruskiego społeczeństwa historia Poczobuta, choć przejmująca, bolesna i oburzająca, nie jest szokująca. Nie jest nawet szczególnie wyjątkowa. – Każdy Białorusin wie, że zajmowanie się prawdziwym dziennikarstwem jest niebezpieczne i wiąże się z ryzykiem – mówi były korespondent niezależnych mediów, który – ze względu na pozostawanie w kraju – prosi o anonimowość. Wcześniej była to głównie „mądrość ludowa”, przejawiająca się m.in. w białoruskich anegdotach, ale i wspomnieniach reporterów, których rodzice zawsze odradzali swoim dzieciom studia dziennikarskie, w ostatnich latach stała się wiedzą powszechną.

Dziennikarka telewizji Bielsat Kaciaryna Andrejewa skazana na dwa lata więzienia za relacjonowanie protestów przeciwko dalszym rządów Łukaszenki, krótko przed zakończeniem odsiadki została uznana za winną w kolejnej sprawie. Kontrolowany przez reżim sąd uznał ją winną „ujawnienia tajemnic państwowych” i wymierzył karę: osiem lat więzienia.

Marina Zołotowa, redaktorka naczelna rozgromionego przez władze portalu Tut.by, znanego z rzetelnego relacjonowania wydarzeń w kraju i ujawniania przestępstw popełnianych przez przedstawicieli władz, została w marcu skazana na dwa naście lat. W uzasadnieniu wyroku sędzia podkreślił, że szefowa niezależnej redakcji „wzywała do działań mających na celu zaskłodzenie bezpieczeństwu narodowemu Republiki Białoruś” oraz „podżegała do nienawiści i wrogości”. Giennadija Możejka, dziennikarza zablokowanej obecnie w kraju redakcji „Komsomolska Prawda Białoruś”, pod koniec marca sąd skazał na trzy lata więzienia. Opisuując strzelani-

nę, w wyniku której zginął funkcjonariusz KGB. Możejka miał dopuścić się „podżegania do nienawiści” oraz „znieważenia przedstawiciela władzy”.

A to tylko kilka przykładów.

Skalę represji wobec dziennikarzy pokazują raporty międzynarodowych organizacji. Z jednego z najnowszych, przygotowanego w 2021 r. przez Reporterów bez Granic, wynika, że Białoruś zajmuje 158. miejsce w rankingu wolności mediów i jest najniebezpieczniejszym państwem w Europie dla niezależnych dziennikarzy. „Państwo sprawuje pełną kontrolę nad wszystkimi kanałami telewizyjnymi. Istnieje kilka niezależnych mediów, ale wiele z nich jest zmuszonych do pracy za granicą. Mimo to władze wciąż je nękają” – podkreślali działacze.

Opublikowany w grudniu ubiegłego roku raport Komitetu Ochrony Dziennikarzy dodał do tego, że Białoruś znajduje się w ścisłej światowej czołówce, jeśli chodzi o liczbę osadzonych w więzieniach reporterów. Reżim Łukaszenki, który przetrzymuje obecnie za kratami co najmniej 30 dziennikarzy, ustępuje jedynie Iranowi, Chinom, Mjanmie i Turcji.

W pewnym sensie widziałam to na własne oczy. Najpierw obserwując w 2020 r. brutalne zatrzymanie i pobicia znajomych reporterów niezależnych białoruskich i rosyjskich mediów, później – masowe pozbawianie ich akredytacji, ponowne areszty i zmuszanie do emigracji, a następnie, w 2021 aż do teraz, relacjonując aresztowanie, proces i wyrok, jaki zapadł wobec Andrzeja Poczubuty. W jednym z tekstów, które w 2020 r. przysłałam redakcji z ogarniętej protestami Białorusi, komentując na gorąco postrzeżenie przez siłowników Natalli Lubnieuskiej, dziennikarki niezależnej „Naszej Niwy”, pisałam: „Dla reżimu Aleksandra Łukaszenki dziennikarze stali się żywymi tarczami. Celem, w który służby bezpieczeństwa muszą trafić, by go uciszyć”. I to niestety była trafna diagnoza.

Protesty, które wybuchały tuż po wyborach prezydenckich lub w reakcji na co bardziej oburzające decyzje władz, były brutalnie tłumione. Kandydaci białoruskiej opozycji, którzy mogą stanowić realne zagrożenie dla władzy Łukaszenki, są aresztowani, torturowani, zmuszani do emigracji albo znikają.

Nic więc dziwnego, że reżim Łukaszenki w dużej mierze ukształtował codzienne zachowanie Białorusinów. O tym, że nie mieli oni okazji, by zapomnieć o nawykach z radzieckiej przeszłości, przekonałam się pod-

czas podróży do tego kraju – moi rozmówcy, ilekroć temat rozmowy schodził na politykę, ściszały głos, domykali uchylone drzwi i okna. „Nigdy nie wiesz, kto słucha” – mówili przeprasząc.

Rozmawiając o tym w 2018 r. w Mińsku z białoruską noblistką Swietlaną Aleksijewicz, usłyszałam: „Ludzie są zastraszeni, żyją w poczuciu, że cały czas są obserwowani i każdy najmniejszy nawet przejaw niezadowolenia może przysporzyć im ogromnych kłopotów. Na Białorusi jest wielu mądrych ludzi. Problem polega na tym, że nie mają żadnych mocy sprawczych. Nie mogą zajmować się polityką. Nie mogą nawet o niej otwarcie się wyowiadać, dyskutować”.

Sytuacja w ostatnich latach tylko się pogorszyła; białoruskie władze, jak przepowiedziała w 2020 r. słynna dzisiaj działaczka opozycji Maria Kalesnikawa, ostatecznie „wbili społeczeństwo w asfalt”.

przemocy wobec funkcjonariuszy struktur siłowych. Albo dlatego, że zostały pozbawione wolności częściowo, np. siedzą w areszcie domowym, a nie – kolonii karnej.

Większość z nich, tłumaczą działacze, to osoby aresztowane na fali prześladowań, które ogarnęły Białoruś w 2020 r. To wtedy, w reakcji na sfalszowane, jak uważa znaczna część społeczeństwa oraz opozycja, wyniki wyborów prezydenckich setki tysięcy Białorusinów wyszły na ulice, by zaprotestować przeciwko dalszym rządom Łukaszenki. „Białoruscy więźniowie polityczni to osoby, które nie bały się skorzystać ze swoich praw: prawa do udziału w pokojowych zgromadzeniach, do wyrażania opinii i uczestniczenia w życiu politycznym kraju” – opisują działacze Wiasny. I choć od ostatnich masowych protestów minęły już dwa lata, nikt, kto brał w nich wtedy udział albo w jakikolwiek sposób wyrażał dla nich aprobatę, nie może czuć się bezpiecznie.

szających porządek publiczny”. „Początkowo w kolonii karnej w Homlu było sześciu, może siedmiu więźniów politycznych, a potem nas przybywało, aż w końcu w każdej grupie było trzech, czterech. Wychodząc z kolonii karnej jesienią 2022 r., widziałam, że więźniów politycznych jest coraz więcej. »Przestępcy« skazani za komentarz w internecie czy lajk zapelniają dzisiaj białoruskie więzienia” – opowiada. Może pozwolić sobie na komentowanie tylko dlatego, że mieszka za granicą i nie planuje na razie powrotu do kraju. „Opuszczenie kolonii karnej na Białorusi nie oznacza wcale, że odzyskujesz wolność. Na Instagramie podziękowałam wszystkim osobom wspierającym mnie w ostatnich latach. Natychmiast rodzina i znajomi kazali mi je usunąć, powiedzieli, że dziękować będę, jak wyjadę” – wspomina.

Daria, podobnie jak inni byli polityczni lub ich krewni, zwraca uwagę na „specjalne traktowanie” przeciwników reżimu w więzieniach. Większość z nich doświadcza przemocy fizycznej i psychicznej, naruszane są ich prawa. Administracja więzienia w zamian za obietnicę zwolnienia warunkowego lub drobne przywileje innym więźniom zleca śledzenie, donoszenie albo inne formy dręczenia politycznych, by ich upokorzyć i złamać. „Politycznych szantażowano, straszono konsekwencjami wobec nich samych, innych więźniów albo rodziny. Po takich wielogodzinnych rozmowach ludzie wracali wyczerpani, z pustym wzrokiem. Czujesz się w ciągłym zagrożeniu. Nie możesz spać, nie możesz jeść. Ludzie chudną po 10 kg w ciągu miesiąca, bo współwięźniowie im grożą albo podrzucają rzeczy zabronione czy oskarżają o kradzież, co pozwala na dodatkową karę” – opowiada Czulcowa.

Zdałam sobie sprawę, że o atmosferze w kolonii karnej mogę powiedzieć nawet od szczegółowych opisów więziennej codzienności mówiły mi jej nerwowe prośby: „Proszę, nie każ mi tego wspominać, bo zaraz oszaleję”.

O tym, co konkretnie kryje się za podobnymi słowami byleży więźniarki, można się tylko domyślać. Żona jednego z więźniów politycznych, która prosi o anonimowość, gdyż odbywa on wciąż wyrok, opisuje: „Administracja więzienia pozbawia więźniów politycznych listów, dostępu do gazet, możliwości oglądania telewizji. Izuluje ich od informacji, zmusza innych, by się do nich nie odzywali, co trwa niekiedy miesiącami. Do ich celi często wtrącane są osoby chore psychicznie lub cierpiące np. na przewlekłą

Jak traktowany jest Andrzej w białoruskim więzieniu? Tego nie wiemy. Poczubut to wojownik, który się nie skarży

Potwierdzają to smutne statystyki. Białoruscy obrońcy praw człowieka, zmuszeni, ze względu na panujący terror, do kontynuowania działalności na emigracji od blisko trzech lat regularnie aktualizują liczbę więźniów politycznych. Zwiększa się ona każdego dnia. W połowie kwietnia według niezależnej, a więc oficjalnie zlikwidowanej przez władze organizacji Wiasna było ich już blisko 1500, choć to wciąż tylko wierzchołek góry lodowej.

Działacze Wiasny uświadamiają, że w białoruskich aresztach śledczych, więzieniach i koloniach karnych przetrzymywanych jest co najmniej drugie tyle, jeśli nie więcej osób, przeciwko którym wszczęto postępowanie karne motywowane politycznie. Wielu z nich nie zostało wpisanych do rejestru więźniów politycznych, m.in. ze względu na wysuwane przeciwko nim zarzuty zastosowania

Szczegółowo opisuje to dziennikarka Hanna Liubakowa, wielokrotnie apelująca do społeczności międzynarodowej, by nie odwracała oczu od Białorusi: „Nie ma już masowych ulicznych protestów i inspirowanych zdjęć, które efektownie prezentują się na łamach mediów, ale to nie znaczy, że Białorusini się poddali, a represje – ustały lub się osłabiły. Wręcz przeciwnie. Funkcjonariusze struktur siłowych analizują dzisiaj te nagrania i fotografie, by zidentyfikować protestujących. Przeglądają też sieci społecznościowe. Na Białorusi do więzienia można trafić za publikację na Facebooku”.

Jej słowa potwierdza Daria Czulcowa, dziennikarka telewizji Bielsat, która za relacjonowanie powyborczego protestu w listopadzie 2020 r. została skazana na dwa lata więzienia. Białoruski sąd uznał ją za winną „organizacji czynów rażąco naru-



Festiwal operowy Pucciniego

Zobacz dwie wspaniałe opery Pucciniego podczas słynnego festiwalu w Torre del Lago w połączeniu z wycieczkami do San Gimignano i Luccy.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Bolonii i przejazd do Toskanii. Dz. 2 Zwiedzanie Montecatini Terme i miasta Lucca – miejsca urodzenia Pucciniego. Wieczorem opera. Dz. 3 Relaks w Montecatini Terme lub opcjonalna wycieczka do Florencji lub Pistoii. Wieczór z operą. Dz. 4 Średniowieczne San Gimignano oraz wizyta w winnicy wraz z obiadem. Dz. 5 Bolonia i powrót do domu.

La Boheme i Turandot
5 dni | Wylot z Warszawy 13/07 2023

Madame Butterfly i La Boheme
5 dni | Wylot z Warszawy 27/07 2023

Zeskanuj kod QR i sprawdź cenę!



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: GW23



wszawicę. Polityczni oznaczani są żółtymi metkami, by od razu łatwo ich było rozpoznać. Poddawani są ciągłym rewizjom, a za najmniejsze przewinienie wtrącani do karceru, czyli małej celi, w której często śmierdzi szambem, a ściany są wiecznie zimne i mokre”.

Przedstawiciele opozycji mówią, że „białoruskie więzienie to piekło”. 20 marca niezależne media poinformowały, że Igor Łosik, opozycyjny blogger, a niegdyś współpracownik Radia Swoboda, po raz drugi usiłował odebrać sobie życie. Mężczyzna odbywał karę piętnastu lat pozbawienia wolności w kolonii karnej o zaostrzonym rygorze. Białoruski sąd uznał, że Łosik, który aktywnie relacjonował kampanię prezydencką 2020 r., nawoływał w ten sposób do udziału w masowych zamieszkach, a wręcz je koordynował, choć został zatrzymany na kilka miesięcy przed wybuchem protestów.

Rozmawiając pod koniec 2021 r. z jego żoną Darią, usłyszałam: „Więzienny psycholog, widząc blizny po cięciu się, oznajmił mu, że źle się do tego zabrał i że cięć trzeba odwrócić. Na koniec powiedział mu, żeby pokazał niedługo, jak to trzeba zrobić prawidłowo” – opowiadała. Dzisiaj kobieta również jest więźniarką polityczną. W styczniu sąd skazał ją na dwa lata kolonii karnej. Daria Łosik została uznana

• **Andrzej Poczobut przytula synka Jarosława i pokazuje znak zwycięstwa przed gmachem sądu, gdzie toczył się proces przeciwko niemu. Grodno, 5 lipca 2011 r.**

FOT. SERGEI GRITSAP

niów do niewolniczej pracy, biła ich i torturowała. „Praca była obowiązkowa. Jak to się mówi, »Arbeit macht Frei«. Za odmowę groziło pobicie i kilka dni karceru”.

Jak traktowany jest Andrzej? Tego nie wiemy. Poczobut to wojownik, który się nie skarży. Najmocniejszą skargą, na jaką sobie pozwolił, była uwaga, że po przewiezieniu do kolonii karnej „urządzono mu wesołe życie”. Pozostałe listy, których fragmenty niekiedy publikują jego bliscy, wyraźnie mają poprawić im nastrój. „Chociaż rzeczywistość tutaj jest ponura, nie tracę optymizmu i pogody ducha. Wierzę, że w końcu prawda i sprawiedliwość zwyciężą” – pisze.

Więźniowie polityczni są szykanowani także poza więziennymi murami. Propaganda Aleksandra Łukaszenki regularnie oczernia ich w państwowych mediach, narażając na nieprzyjemności przede wszystkim ich rodziny. Doświadcza tego tak-

Opuszczenie kolonii karnej nie oznacza wcale, że odzyskujesz wolność

za winną „promowania działalności ekstremistycznej”. Sędzia uzasadniał wyrok: „udzieliła wywiadu »ekstremistycznej formacji« Bielsat, w którym określała się mianem żony więźnia politycznego. Negatywnie oceniła organy państwowe, do których kompetencji należy m.in. prowadzenie postępowań karnych i wymiar sprawiedliwości. Jednocześnie powiedziała, że jej mąż nie popełnił czynów przestępczych i został skazany nielegalnie. Wezwała krewnych innych skazanych, aby poszli za jej przykładem”.

Tichon Klukacz, jeden z byłych więźniów politycznych, pozbawiony wolności w 2020 r. za udział w proteście, opowiedział dziennikarzom zachodnich mediów, że administracja więzienia zmuszała więź-

że Andrzeja. W głównych wydaniach propagandowych wiadomości dziennikarz jest przedstawiany jako „ekstremista”, który dopuszczał się „destrukcyjnych działań przeciwko Białorusi”, „przejawiał sympatię wobec warszawskiego reżimu” oraz „pochwalał działania terrorystyczne Armii Krajowej”. Białoruscy propagandyści wmawiają widzom, że Poczobut współpracował z polskimi władzami, od których miał otrzymywać pieniądze, by destabilizować sytuację na Białorusi. W tych samych programach pracownicy państwowych mediów wmawiają Białorusinom, że Polska zagraża Białorusi, sugerując nawet możliwość zbrojnej napaści.

Oksana Poczobut mówiła „Wyborczej” rok temu: „Ludzie są różni. Zdarza się, że

mijam na ulicy czy w sklepie osobę, z którą wcześniej przynajmniej się witaliśmy, byliśmy na „dzień dobry”. Teraz część udaje, że mnie nie zna. Nie mam żalu. Po prostu ludzie pokazują, jacy są naprawdę”.

Gdy niedawno zapytałam Darię Czulcową o siłę białoruskiej propagandy, przyznała: „Tych, którym propaganda wyprała mózgi, jest mniej... ale są”.

Kiedy rozmawiam z jedną z nielicznych znajomych, która pozostała w Mińsku, jak wygląda jej życie, słyszę: „Żyć teraz na Białorusi, to jak wiedzieć, że ktoś popełnił przestępstwo, o które mogą oskarżyć każdą niewinną osobę w mieście. To świadomość, że ktoś musi zostać złożony w ofierze i że mogę to

być ja, ktoś, kogo kocham, albo sąsiad. To świadomość, że nikt nie będzie w stanie nas uratować. To myśli, które przychodzą przed snem: żeby tylko jutro nic się nie wydarzyło, żeby nikt nie przyszedł, nikt nie zadzwonił. Żeby nie pojawiły się nowe, straszne wiadomości. Żeby ten dzień nie był ostatnim, zarówno dla moich bliskich, jak i nieznajomych, którzy myślą o tym samym, zasypiając każdej nocy w Mińsku albo innym białoruskim mieście”. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Anna Piwkowska*

Jak mi żal...

„Tak bez szafotu i bez kata
Poecie nie sądzone życie
Przystała nam pokutna szata
I świeca, i na ustach wycie”.

Anna Achmatowa

„Współkochać przyszląm, nie współnienawidzić”.
Sofokles, „Antygona”

*Jak mi żal Petersburga, tych rozległych przestrzeni,
w twym imieniu otwartych spółgłosek,
nim się Azja, myślałam, dobrze tu ukorzeni,
będziesz wiodła rozmowę z logosem.
Nie ma śladu po tobie, znowu wiek się roztrzaskał
w zgrzycie szyn, w rytmie krwi katastrofy,
twoje wiersze spłynęły rzeką Moskwą, a miasta
powtarzają złym echem twe strofy.*

*Te Hekuby szalone, te cierpliwe stopiątki,
te przy Krestach milczące godziny,
trzy kolory, trzy kłębki mocnych nici, trzy prządkie,
tam gdzie groby trzy krzewy tarniny.
I zbiorowe mogiły na pustynnych śmietniskach,
tyś Cassandra z Czuchłomy, nieszczęśliwa Dydona,
a twój stos suchy piach, nocny strach, wyrobiska,
twoja Siostra, ta młodsza, zgwałcona.
Twoja Siostra zbierała sny-sasanki liliowe,
w Zazierkale buczańskie są rowy,
gdy sen z baśni koszmarnej prześnił się pod Kijowem
tam sasanki rzuciła na groby.*

*Jak mi żal Ukrainy, tych rozległych przestrzeni,
czy umiałabyś dzisiaj się wstydzić?*

*Czy byś przyszła pogrzebać brata swego w tej ziemi,
by współkochać, nie współnienawidzić?*

23 marca 2023



***Anna Piwkowska** – poetka, eseistka i pisarka, członkini Polskiego Pen Clubu. Autorka m.in. wierszy, powieści (także dla młodzieży), książek o Annie Achmatowej i Marinie Cwietajewej.

Cytaty u góry: Anna Achmatowa, „Po cóżście zatruli wodę...”, przeł. Adam Pomorski; Sofokles, „Antygona”, przeł. Kazimierz Morawski.

FOT. PRZEMEK WIERZCHOWSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

Kraj jak OIOM w Legnicy

To właśnie bezdusznosc reguł gwarantuje ich człowieczeństwo.

Marcin Matczak



Polskie instytucje potrzebują intensywnej terapii. Niestety, wszystkie łóżka od prawie ośmiu lat blokuje PiS. Od samego początku swoich rządów atakuje prawo jako zbiór bezdusznych reguł, pomijających jakoby człowieka i nierealizujących jego prawdziwego dobra.

Narracja ta rozpoczęła się od przerażających w swym kryptofaszyzmie słów Kornela Morawieckiego wypowiedzianych w Sejmie w roku 2015: „Prawo jest ważną rzeczą, ale prawo to nie świętość! Nad prawem jest dobro narodu! Jeżeli prawo to dobro zaburza, to nie wolno uważać tego za coś, czego nie możemy naruszyć, czego nie możemy zmienić!”.

Jeśli prawo ma realizować dobro narodu, pojawia się pytanie: kto definiuje to dobro? A ponieważ naród to grupa ludzi, pojawiają się też pytania, kto jest człowiekiem i kto decyduje, czy ten człowiek należy do narodu. Zakończenie tyraady Morawieckiego, o którym nieraz się zapomina, wskazało jasno kierunek odpowiedzi, której państwo PiS udziela do dziś: „Prawo ma służyć nam!”. Prawo, a więc i instytucje, i ci, którzy w tych instytucjach pracują.

Istnieje ścisła relacja między tym, co się stało w Legnicy na OIOM-ie, a tym, co się stało z prawem, instytucjami, niezależnością ekspertów (sędziów, ale też lekarzy) w całej Polsce. Kiedy zamiast rządów reguł rządzą ludzie, paradoksalnie człowieka jest w tym rządzeniu coraz mniej. Bo abstrakcyjne reguły, które gwarantują, że człowiek będzie traktowany jak człowiek, albo się wprost narusza, albo się je nagina, tak aby służyły komu trzeba. Dla tych rozważań nie ma znaczenia, że nikt nie potwierdził jeszcze złamania prawa w Legnicy. Jak wskazuje życiowa mądrość, jeśli coś jest dziwne, kryje się za tym albo przestępstwo, albo poważne nadużycie prawa. A ponadwuletni pobyt na OIOM-ie jest bardzo dziwny.

Może się to wydawać zaskakujące, ale to właśnie rzekoma bezdusznosc reguł gwarantuje ich człowieczeństwo, bo gwarantuje neutralność. Wiemy to na przykład od Hayeka, który wykazał związek pomiędzy generalnymi i abstrakcyjnymi regułami, które tak samo dotyczą i księcia, i żebraka, a wolnością i praworządnością. Te bezduszne reguły mają na celu nie dopuścić, aby w konkretnej sytuacji ktoś mógł zdecydować tak, a nie inaczej, ponieważ kogoś bardziej lubi albo kogoś bardziej się boi. I dlatego komuś pozwoli przeżyć, a komuś innemu każe umrzeć. Te rzekomo bezduszne reguły są przejawem dojrzałości społeczeństwa i mądrości, że rządy ludzi wcale nie są bardziej ludzkie od rządów prawa. Historia uczy, że jest dokładnie odwrotnie.

Bo zamiast zasady: „twarde prawo, ale prawo”, zaczyna rządzić antyzasada: „miękkie prawo, ale moje prawo”. Zamiast stosowania twardej reguły, na przykład dotyczących pobytu na oddziale intensywnej terapii, w państwie zniszczonych reguł w przestrzeni swobody decyzyjnej wchodzi czyjaś sympatia albo antypatia, czyjaś kalkulacja („co mogę zyskać przez decyzję x, co mogę stracić przez decyzję y?”). Albo czyjś strach.

W tę przestrzeń między regułami wkłada się mikrowładza, o której pisał Foucault,

a szpital to jego ulubiony przykład. Mikrowładza to władza, którą trudno kontrolować, władza wypływająca z wiedzy na temat zawitych procedur i nierówności wiedzy w ogólności – władza lekarza, od którego przecież wszystko zależy, jak czytamy w tłumaczeniach pani Witek. Ta mikrowładza to moc podjęcia decyzji, którą można pokrętnie uzasadniać, ale która łamie podstawową zasadę: że jesteśmy równi i że czyjeś życie nie może zależeć od tego, że w szpitalu, do którego się trafiło, ktoś komuś służy albo kogoś się boi.

„Człowiek przede wszystkim! Człowiek ponad wszystkim! Formalistyczne reguły mają służyć człowiekowi, a nie odwrotnie!” – krzyczy propaganda PiS. Szkopuł w tym, że jak już przykłaśniemy tym humanistycznym hasłom i pozwolimy ich głosicielom postawić człowieka i jego dobro ponad regułami, oni dodają szeptem: „A my zdefiniujemy nie tylko to dobro, ale też tego człowieka”.

I definiują. Widać to w propagandowych komentarzach do sprawy marszałek Witek, w których PiS już całkiem przeszedł na człowieczeństwo wyborcze – masz rodzinę i prywatność godną ochrony, masz cierpienie, które trzeba uszanować, i masz prawo walczyć o swoich bliskich tylko wtedy, gdy należysz do właściwej partii. Nawet zabierając innym.

Propaganda, która definiuje człowieka, często wyklucza z definicji, a więc odczłowiecza. Dlatego tak wielu z nas w oczach PiS nie jest już Polakami, ale unijczykami i zdrajcami. A ponieważ jako nie-Polacy nie należymy do narodu, prawo i instytucje nie powinny nam służyć, zgodnie z tezą Kornela Morawieckiego. W konsekwencji życie staje się nierówne życiu – tak jak w pozornie zwalczanym przez PiS komunizmie, także głoszącym pustą równość. Ostatecznie ją zredefiniowano i zniszczono, zamieniając w klientelizm, w którym zawsze lepiej ma ten, kto jest bliżej władzy.

Niszczenie autorytetu reguł jest szczególnie groźne w społeczeństwie, któremu historia nie pozwoliła nabrać szacunku do państwa, bo przez ostatnie 200 lat prawie zawsze było ono obce, a reguły przez to państwo ustanawiane były wrogie. Ten, kto je łamał lub naginał, był patriotą i wzorcem moralnym. Ten, kto ich przestrzegał, był zdrajcą i kooperantem. Najwyraźniej to przekonanie w głowie PiS siedzi mocno i szkodzi nam wszystkim.

W efekcie PiS, uczłowieczając prawo i instytucje, odczłowiecza je. Zamiast na równości skupia się na pogłębianiu szacunku dla rządzących widocznym w rytuałach, pomnikach i tablicach pamiątkowych, które prawica uwielbia. Chodzi o potwierdzenie u obywateli przekonania o nadzwyczajności władzy, a nawet o jej boskości – o tym, że ci, którzy nami rządzą, są ulepieni jednak z innej, lepszej gliny.

Potem transparent witający prezydenta nabożnym hasłem: „Błogosławione łono, które cię wydało, i piersi, które ssąłeś”, wydaje się całkiem na miejscu. Polska to nie równościowa demokracja, w której prawo i abstrakcyjne reguły określają nasze role, ale państwo w istocie arystokratyczne, w którym oprócz równych są jeszcze równiejsi.

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”.

Nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



PO PRAWDZIE

Fochmistrz

Jest coś, co Hołownia lubi nawet bardziej niż obrażanie się.

Agnieszka Kublik



Prezes PiS lubi mantrę, że wszystko, co złe, to wina Tuska. Akurat w jednym przypadku się nie myli. Arcywielną winą Tuska jest to, że latem 2021 r. w ogóle zaczął mówić o wspólnej liście. Bo gdyby o niej nie nawijał, to jej brak nie byłby dziś problemem opozycji. A jest. I to najgorszym. To test, którego opozycja demokratyczna nie zdała – test na zaufanie i zdolność do kompromisów. Brak jednej listy fatalnie wróży ewentualnej po-wyborczej koalicji. Bo jak liderzy mieliby się dogadać co do wspólnego rządu, skoro nie potrafią umówić spotkania?

Liderzy od stycznia – czyli od głosowania w sprawie Krajowego Planu Odbudowy, kiedy klub Hołowni głosował inaczej niż reszta demokratycznej opozycji – nie rozmawiają ze sobą.

To już nie ciche dni, ale ciche miesiące. Kto im dał prawo, by tak marnować czas? Bo nie wyborcy.

Hołownia lubi się obrażać, a jeszcze bardziej kocha mówić o tym, że się wcale nie obraża. I nie uważa, że to strata czasu. Naczelny fochmistrz – tak sam siebie często nazywa, by żartobliwie rozbroić krytyków i zaprzeczyć, że tym fochmistrem naprawdę jest. Lider Polski 2050 uwielbia wykłady, na których opowiada, jak inni go obrażają, ale on jest ponad to. Oczywiście w tle i między wierszami tych opowieści wiele ataków na Tuska, na PO, bo Hołownia jest przekonany, że Platforma chce jego PL 2050 unicestwić, by przejąć jego elektorat.

– Wszyscy jesteśmy tresowani choćby tą kwestią jednej listy. Cały ten Kościół jednej listy, który dorobił się już swoich parafii, prasy parafialnej, ministrantów, akolitów, ewangelizatorów. To już trudno wytłumaczyć racjonalnie. Widać, jak to zaganie – toporne, nieracjonalne, zupełnie bezsensowne, przemocowe, oparte na pogardzie – rozlewa się po warszawskich niektórych mediach, po Twitterze. Uważam, że strategia, którą przyjął w pewnym momencie Donald Tusk, zaganiania nas wszystkich na jedną listę, jest strategią błędną – wykladał niedawno Hołownia. – Ciągłe poruszanie tematu jednej listy to jest przepalanie energii, to pokazywanie ludziom, że zajmujemy się sobą, a nie nimi – wyjaśniał.

W tym sęk. Aby opozycja mogła się zająć wyborcami, czyli rządzić, musi najpierw zająć się sama sobą, by utworzyć rząd, który rządzi.

Jednak czasami Hołownia potrafi się nie obrazić, a nawet wybaczyć. Bo np. taki Marek Sawicki z PSL, z którego partią Hołownia tworzy listę wspólnych spraw do załatwienia, a może i listę wyborczą (teraz akurat twierdzi, że negocjowane porozumienie z PSL „jest wyłącznie taktyczne”), nie ma u niego tylów, jakie ma Tusk.

Ba, Hołownia publicznie powtarza, że z np. z Lewicą nigdy na jednej liście nie wystartuje, bo nie chce tego właśnie Marek Sawicki.

Ten sam Sawicki, który całkiem niedawno, bo w wyborach prezydenckich 2020 r., nie miał o Hołowni najlepszego zdania.

Trzy lata temu Hołownia był jednym z konkurentów Władysława Kosiniaka-Kamysza, lidera PSL. Sawicki rywala szefa traktował ostro: „Szymon Hołownia w mojej ocenie to między innymi taki Palikot współczesnych czasów. Niby kandydat niezależny. Chciałbym wiedzieć, skąd i w jaki sposób gromadzi tak duże środki na swoją kampanię, kto rzeczywiście go finansuje. Mam poważne obawy, czy nie jest to kandydat któregoś ze środowisk politycznych po to tylko, żeby konkurentom typu Kosiniak-Kamysz odbierać głosy”.

W sierpniu (kiedy już było wiadomo, że Hołownia zgarnął w I turze 13,87 proc., czyli 2 mln 693 tys. 397 głosów, a Kosiniak-Kamysz zaledwie 2,36 proc., czyli 459 tys. 365) Sawicki perorował: „Mam takie wewnętrzne, głębokie przekonanie, że mamy do czynienia z syndromem Ryszarda Petru bis. W 2016 r. poziom poparcia 30 proc., podniesiona głowa do góry i praktycznie zero chęci współpracy z opozycją, no bo przecież to był nowy lider opozycji i miał już całą opozycję przejąć”.

Sawicki teraz zmienił zdanie. Ma prawo. Hołownia mu to zapomniał. Ma prawo. Ale dlaczego Hołownia jest taki zawzięty na Tuska? Ma prawo z nim walczyć i przez to przegrać z PiS? Nie, nie ma prawa.

W lutym obiecywał: „Naszą wstępną decyzję [w sprawie jednej listy] podejmiemy w lutym, bo wtedy zakończy się cykl rozmów i spotkań w terenie, które pozwalają nam wsłuchać się w to, czego potrzebują dzisiaj nie politycy, nie komentatorzy, nie eksperci medialni z Warszawy, tylko ludzie. Skończy się też wtedy cykl badań, które prowadzimy”.

Cyklu badań chyba nie było (Hołownia w marcu rzucił, że nie ma kasy), ale ze wszystkich innych badań wynika, że wyborcy PL 2050 oczekują właśnie tego, że opozycja się dogada i wystartuje na jednej liście. Bo tylko dogadana opozycja daje szansę na większą parlamentarną.

Chyba że Hołowni chodzi o coś innego niż podążanie za oczekiwaniami własnego elektoratu, zbieżnymi i z interesem poszczególnych partii, i z demokratyczną racją stanu.

Bo przecież nie o jakąś tam urazę wyborczą wyborczą wobec Tuska. Czyżby kalkulował, że start w wyborach parlamentarnych 2023 ze wspólnej listy zmniejsza jego szansę na start w wyborach prezydenckich 2025?

Tak, to jakoś tłumaczyłoby te fochy. Prezydenckie.

FOT. COREY SIPKIN/AP



SHOW DEKADY

Konserwatywny biały seksista kontra czarny postępowy prokurator i nowojorska prawniczka.
To proces całej Ameryki, nie tylko Trumpa.

Maciej Jarkowicz

**PROLOG:
BYŁO NORMALNIE,
JEDNA POZYCJA**

Aktorka Stormy Daniels i przyszły prezydent USA Donald Trump poznali się w lipcu 2006 roku na charytatywnym turnieju golfa dla celebrytów nad jeziorem Tahoe w Kalifornii. Cztery miesiące wcześniej żona Trumpa Melania urodziła ich syna Barrona.

Donald zaprosił Stormy do swojego wózka. Potem na kolację. Wieczorem zjawiała się u drzwi jego apartamentu. Rozmawiali o jej pracy – Trump chciał wiedzieć, jak działa branża porno od strony biznesowej. Wyszła do toalety, a gdy wróciła, siedział na krawędzi łóżka w piżamie. „Obyło się bez fajerwerków – opowiadała później magazynowi „In Touch”. – Normalnie, jedna pozycja, tak jak można oczekiwać od mężczyzny w jego wieku”.

**OSKARŻONY:
WYMARZONY MODEL**

We wtorek, 4 kwietnia 2023 roku, Trump wchodzi do budynku sądu przy Centre Street na Manhattanie. Strażnik idący przodem nie przytrzymuje dla niego drzwi, co odnotują serwisy informacyjne. Były prezydent siada za stołem w obstawie czworga prawników. Fotoreporterzy pstrykają zdjęcia, po czym sędzia Juan M. Merchan wyprasza ich z sali. Oskarżonemu odczytane zostają zarzuty.

- Czy przyznaje się pan do winy?
- Nie przyznaję się – odpowiada Trump.

Artystka Jane Rosenberg rozpoczynała karierę kilka dekad temu, portretując prostytutki zeznające w nowojorskich sądach. Teraz w ciągu kilkunastu minut tworzy dwa szkice z historycznego posiedzenia z udziałem pierwszego w dziejach prezydenta USA – byłego lub urzędującego – postawionego w stan oskarżenia. Za kilka dni Rosenberg powie, że „Trump to wymarzony model. Twarz pełna wyrazu, fryzura jak czapka”.

Jeden z jej szkiców staje się wiralem. Autorzy memów przerabiają go między innymi na „Krzyk” Edwarda Muncha. Trump opiera się o stół ramionami założonymi na piersiach. Patrzy ponuro w bok, usta wygięte w podkowę. Magazyn „New Yorker” pierwszy raz umieszcza na okładce szkic sądowy. Dyrektorka artystyczna pisma Françoise Mouly mówi, że Trump, który doszedł do wszystkiego, kreując swój wizerunek w mediach, pierwszy raz nie był w sta-

nie kontrolować tego, jak zostanie sportretowany.

**ZBRODNIĄ:
JEDNA Z DZIESIĄTEK
PODOBNYCH, ALE...**

Trump nie jest oskarżony o to, że kiedy jego żona zajmowała się ich czteromiesięcznym synem, przespał się z aktorką porno. To nie jest nielegalne. Prokuratura zarzuca mu, że wystawiał fałszywe dokumenty. W szczycie kampanii prezydenckiej 2016 roku do sztabu Trumpa dotarła wieść, że Stormy Daniels zamierza sprzedać historię ich romansu tabloidom. Prawnik przyszłego prezydenta Michael Cohen zapłacił Daniels za milczenie 130 tysięcy dolarów z własnej kieszeni. Trump oddał mu pieniądze przy użyciu faktur i innych papierów księgowych – łącznie 34 dokumentów – wystawianych na nieistniejące usługi. Taki proceder stanowi wykroczenie, misdemeanor. Jeśli dokonano go w kampanii wyborczej w celu ukrycia prawdy na temat kandydata – staje się przestępstwem, felony.

Prokuratorzy regularnie prześwietlają finanse sztabów wyborczych. Richard Brega, milioner z hrabstwa Rockland w stanie Nowy Jork, fałszował papiery, żeby ukryć datki na kampanie znajomych polityków. Dostał rok więzienia. W hrabstwie Oneida sąd skazał miejscowego polityka Johna Dote’a za brak faktur na niektóre wydatki sztabowe. Podobne zarzuty doprowadziły do skaza-

nia Clarence’a Normana, członka legislatury stanu Nowy Jork. To tylko trzy z dziesiątek podobnych spraw. Przypadek Trumpa jest wyjątkowy, dlatego że jest on byłym prezydentem. W dodatku był prezydent znów chce zostać prezydentem. Spolaryzowane społeczeństwo jest uzbrojone po zęby. Po ostatnich wyborach w budynku Kongresu połała się krew.

**PROKURATOR:
„POLITYCZNY
KRZYŻOWIEC”**

Alvin Bragg, lat 49, metr osiemdziesiąt sześć wzrostu, grubo ponad 100 kilo wagi, broda przyprószona siwizną. Wychowany na Harlemie, w dzieciństwie sześć razy kierowano w jego stronę broń. Nadal tam mieszka. Na poprzednim stanowisku – w prokuraturze krajowej dla południowego okręgu stanu Nowy Jork – był jednym z dziesięciu czarnych pośród 200 śledczych. Niedługo po tym, gdy 15 miesięcy temu wziął stanowisko szefa prokuratury okręgowej na Manhattanie, odeszło dwóch podwładnych, którzy prowadzili sprawę Trumpa. Twierdzili, że Bragg obawia się postawić byłego prezydenta w stan oskarżenia. On tłumaczył dziennikarzom: „Nie macie pojęcia, co zamierzamy zrobić. No, chyba że jesteście mistrzami w pokera”. Słynie z tego, że kontroluje emocje. „W środę będzie wyglądał tak jak w poniedziałek, nawet jeśli we wtorek przez biuro przetoczy się huragan” – powiedział jego znajomy w poniedziałek przed wtorkiem, w którym Bragg oskarżył Trumpa. Inni mówią, że interesuje go nie liczba wyroków, do których doprowadzi, tylko ich jakość.

Sprawę Trumpa rozłożył na czynniki pierwsze i postanowił się skupić na wpłatach dla Stormy Daniels. Wcześniej ten wątek nazywano „zombie”, bo wracał jak z martwych, ale donikąd nie prowadził. Bragg zatrudnił Susan Hoffinger, prawniczkę słynną w Nowym Jorku z umiłowania do metodycznej pracy. „Nie da się przesaadzić z przygotowaniem do sprawy” – mawia Hoffinger. W grudniu wygrała proces z imperium biznesowym Trumpa. Były prezydent nie brał w nim udziału, zarzuty zostały przedstawione jedynie jednemu z menedżerów. Za oszustwa podatkowe i fałszowanie dokumentów sąd wymierzył karę 1,6 miliona dolarów grzywny.

Gdy prasa zaczęła pisać, że prokuratura pod wodzą Bragga wcale nie odpuściła sprawy Trumpa i przygotowuje przeciw niemu oskarżenie, były prezydent wytoczył polityczne działa. Bragg według prawicy stał się lewicowym radykałem. Trump nazwał go rasistą. Przypomniiał, że Bragg wziął pół miliona dolarów na kampanię od liberalnego filantropa i jednego z głównych negatywnych bohaterów prawicowych teorii spiskowych, George’a Sorosa. Większość prokuratorów okręgowych w Stanach wybiera się w głosowaniu powszechnym, ich poglądy polityczne są znane. Bragg należy do Partii Demokratycznej. Według Trumpa i jego zwolenników prowadzi polityczną krucjatę.

Oskarżenie przeciw byłemu prezydentowi pomogły Susan Hoffinger przygotować trzy prokuratorki – Catherine McCaw, Rebecca Mangold i Katherine Ellis. Według krytyków – również po stronie lewicy – jest ono słabe. Dotyczy księgowej usterki sprzed lat.

Za to inni wskazują, że manhattańska prokuratura obejmuje Wall Street. Sprawy dotyczące księgowości i przejrystości finansowej, również przeciw największym bankom świata i najmniejszym korporacyjnym menedżerom, to dla niej chleb powszedni. Jeśli Bragg zdecydował się wnieść oskarżenie, znaczy, że ma mocne karty. Odkąd objął stanowisko, poza Trumpem z tego samego paragrafu oskarżył 29 podejrzanych.

ŚWIADEK OSKARŻENIA: CHWY TAM PRZECIWN IKA ZA SZYJĘ

Wywiad dla ABC News, rok 2011: „Gdy ktoś działa na niekorzyść pana Trumpa, robię wszystko, co w mojej mocy, aby obrócić sprawę na korzyść pana Trumpa. Chwy tam przeciwnika za szyję. Nie puszczam, dopóki nie wykończę”.

Cztery lata później reporter „The Daily Beast” dopytywał o dawną sprawę oskarżeń o gwałt, jakie w stronę Trumpa kierowała jego była żona Ivana. Michael Cohen ostrzegł: „Uważaj, kurwa. To, co ci zrobię, będzie kurewsko obrzydliwe”. Cohen był najgroźniejszym pitbullem pośród prawników Trumpa.

W 2016 roku zadzwonił do niego znajomy z tabloidu „The National Enquirer” z informacją, że Stormy Daniels szuka kupca na swoją historię. Cohen spotkał się z aktorką, dogadał transakcję i ją przeprowadził.

Dwa lata później przys zli do niego fałceci z federalnej komisji wyborczej. Później ludzie od specjalnego prokuratora Roberta Muellera prowadzącego dochodzenie w sprawie powiązań otoczenia Trumpa z Rosjanami. Później FBI. Przeszukali jego dom i biuro. Zabrali laptopy i telefony. Trump dopingował go przez telefon: „Trzymaj się mocno”.

Cohen powtarzał, że układ z Daniels wart o bez wiedzy prezydenta.

Ale gdy rosły rachunki za prawników, którzy reprezentowali go w starciu ze służbami, imperium Trumpa zakręciło kurek z kasą. Pitbull został sam. Zaczął ujadać w drugą stronę. Powiedział, że transakcja z Daniels została przeprowadzona na polecenie ówczesnego kandydata. Nazwał byłego szefa kłamcą, oszustem i manipulatorem. Poszedł na układ, żeby uniknąć procesu i wysokiego wyroku. Przyznał się do zarzutów nielegalnych operacji dla firm Trumpa. Dostał karę więzienia.

Po 13 miesiącach odsiadki Cohen walczył z depresją i myślami o samobójstwie. Napisał książkę. Gdy Susan Hoffinger zaprosiła go na rozmowę, był skory do współpracy. Dwadzieścia razy spotkał się z manhattańskimi prokuratorkami i prokuratorami. Dał materiały i zapewnienie, że będzie mówił w sądzie.

W amerykańskim systemie prawnym w wielu przypadkach o postawieniu podejrzanego w stan oskarżenia decyduje wielka ława przysięgłych – grand jury. Jest większa od 12-osobowej ławy zasiadającej na procesie i decydującej o winie bądź niewinno-

ści – może liczyć nawet 24 osoby. Jej członkowie są anonimowi, obrady tajne. Decyzję podejmuje większością głosów, a nie jednogłośnie. To zeznania Cohena przed wielką ławą zdecydowały, że Trump dostał zarzuty.

Krytycy taktyki prokuratury Bragga wskazują, że jeśli dojdzie do procesu, głównym świadkiem oskarżenia będzie kłamca, cynik, narcyz, tchórz. W sensie moralnym – lustrzane odbicie Trumpa. Przez lata – jego człowiek od czarnej roboty. Prawnicy byłego prezydenta z łatwością podważą wiarygodność Cohena i rozjadą go w czasie przesłuchania na rozprawie.

OBRONA: WYPATRZONA W TELEWIZJI (I NA PROCESACH MAFII)

Artykuł w „Esquire”, rok 1978: „Każdy proces jest dla niego wojną. Walczy, jakby reprezentował samego siebie. Na śmierć. Żadnych jeńców. Zatrudniasz go, jeśli masz zamiar zabić męża, torturować współnika, oszukać rząd. Jest katem. Najtwardszym. Najokrutniejszym. Najbardziej lojalnym. Najinteligentniejszym prawnikiem w Ameryce”.

Inni pisali: „Wściekły zwierz zamknięty w klatce. Wypuszczasz go na proces i nie ma co zbierać”. Hipnotyzował ławę przysięgłych swymi błękitnymi oczami. Jedna z jego mów końcowych trwała siedem godzin. Ani razu nie spojrzał w notatki.

Zaczynał tam, gdzie wiele dekad później Alvin Bragg – w prokuraturze krajowej dla południowego okręgu stanu Nowy Jork. W 1951 roku w najgłośniejszym procesie zimnej wojny doprowadził do skazania na śmierć za szpiegostwo na rzecz ZSRR Juliusa i Ethel Rosenbergów. Później współpracował z polującym na komunistów senatorem Josephem McCarthym. Później bronił najważniejszych nowojorskich bogaczy łącznie z ojcami chrzestnymi wszystkich pięciu rodzin Cosa Nostry. Gdy w latach 80. izba adwokatów chciała go usunąć z zawodu za oszustwa, twierdził, że lewacka elita ściga go z zemsty za czasy maccartyzmu.

Był uosobieniem stereotypu agresywnego i chciwego prawnika. Nie płacił podatków, bo oficjalnie nic nie posiadał – cały jego majątek zarejestrowano na zaprzyżnione firmy. Pobierał skromną pensję. Tłumaczył, jak się wykańcza wrogów: „Atakujesz ich procesami. Bronią się, zatrudniają prawników. Wtedy wytaczasz następny proces i następny, i następny. Najlepszą bronią jest zmuszanie ich do zatrudniania kolejnych prawników”. Ktoś napisał, że był prawnikiem, który nienawidził prawników. Żydem, który nienawidził Żydów. Gejem, który nienawidził gejów. On sam, pytany przed śmiercią o wyrzuty sumienia, stwierdził: „Czuję się świetnie”.

W serialowej ekranizacji sztuki Tony’ego Kushnera „Anioły w Ameryce” (2003, reż. Mike Nichols) jego postać zagrał Al Pacino. W jednej scenie ze wściekłością opisywał prawniczy fach: „Gastrologia. Enzymy, kwasy trawienne, jelita. Flaki i czerwone mięso. Smród. Polityka”.

Taki był Roy Cohn – najlepszy prawnik, jaki kiedykolwiek pracował dla Trumpa. Reprezentował go do śmierci w 1986 roku. Od tamtej pory Trump szuka adwokatów zbliżonych do niedoścignionego ideału Cohna. W Fox News wyznał, że zanim zatrudni, ostrzega: „Jesteś pewny, że chcesz dla mnie pracować? Robisz błąd. Po co ci to?”. Zapewnia ich, że jest od nich mądrzejszy i bardziej doświadczony w bataliach prawnych. Zmienia jak rękawiczki. Nowych bierze, gdy robią na nim wrażenie w telewizji. W ciągu ostatnich dwóch lat wydał na nich ponad 10 milionów dolarów. Kilkunastu prawników po pracy dla Trumpa spotkały sankcje ze strony izby adwokackiej. Najsłynniejszy, były burmistrz Nowego Jorku Rudy Giuliani, podjął się zadania dowodzenia wojną prawną po ostatnich wyborach. Miał przekonać sądy, że Joe Biden nie wygrał, a Trump został oszukany. W kulminacyjnej scenie tragedii, w czasie konferencji prasowej po jego twarzy ciekły stróżki potu brą-

zowego od farby do włosów. Wyglądał szatańsko. Niedługo potem jego licencja na wykonywanie zawodu została zawieszona za szerzenie kłamstw i teorii spiskowych.

W sprawie na Manhattanie Trumpa reprezentują Joe Tacopina i Susan Necheles. Pierwszy specjalizuje się w bronienu celebrytów. Bryluje w telewizji – tam wypatrzył go były prezydent. Pozostająca w cieniu Ne-

Trump stanie przed ławą przysięgłych złożoną z 12 mieszkanek i mieszkańców hiperliberalnego Manhattanu, gdzie głosowało na niego 12 proc. wyborców

cheles pracowała dla mafii i dla polityków z obu stron barykady. Podobnie jak prokuratorka Susan Hoffinger ma w Nowym Jorku nieskazitelną opinię: kreatywna, pracowita, odważna, inteligentna. Gdy imienniczki starły się w grudniowym procesie w sprawie oszust podatkowych Trump Organization, okazywały sobie szacunek i serdeczność. Jeśli Necheles wytrzyma z Trumpem, będzie mózgiem jego obrony.

PROCES: TYSIĄC KRETYNÓW W CIEMNOŚCI

Sędzia Juan M. Merchan wyznaczył datę następnej rozprawy na 4 grudnia. W tym czasie oskarżenie przekaże zebrane dowody obronie. Obrona złoży w sądzie odpowiedź na zarzuty. Na tym etapie sędzia będzie mógł oddalić sprawę. Raczej tego nie zrobi. Jak mówiliśmy: skoro Bragg oskarża, ma mocne papiery.

Adwokaci mogą namówić oskarżonego, aby przyznał się do części zarzutów i porozumiał z prokuraturą. Tak kończy się w Stanach 98 proc. spraw. Nie ma procesu. Oskarżony dostaje niższy wyrok, niż mógłby otrzymać, gdyby zdecydował się na batalię w sądzie i ją przegrał. Dzięki badaniom DNA w ostatnich dekadach wolność odzyskały setki niewinnych osób odsiadujących długie wyroki. Okazuje się, że niesłusznie skazani sami często przyznają się do niepopelnionych zbrodni. To ludzie najmniej zamożni, z reguły z mniejszości etnicznych. Nie mają pieniędzy na prawników. Obrońcy z urzędu przekonują ich, że po przegranym procesie czeka ich stryczek lub dożywocie. Układ z prokuratorem zapewni niższy wyrok.

Trump ma miliardy, świetnych prawników, nie grozi mu krzesło elektryczne ani długa odsiadka i raczej nie pójdzie na układ. Musiałby przyznać się do winy, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzyło. Adwokaci będą grać na odroczenie procesu. Z czasem maleje zapal świadków do składania zeznań, często obniżają swoją wiarygodność przez występy w mediach. Obrona zyskuje czas na poszukiwania kompromitujących ich materiałów.

Istnieje jednak duże prawdopodobieństwo, że w końcu dojdzie do procesu z udziałem ławy przysięgłych. Prawniczy dramat zakończony rozprawą: jedna z ikonicznych opowieści amerykańskiej popkultury. Sędzia Sądu Najwyższego Sonia Sotomayor postanowiła, że zostanie prawniczką, po tym, jak w college’u obejrzała „Dwunastu gniewnych ludzi”. Klasyk Sidneya Lumeta z 1957 roku rozgrywa się w czasie rzeczywistym podczas obrad przysięgłych w zamkniętej, dusznej sali. Po latach Sotomayor przyznała, że film jest fikcją daleką

od rzeczywistości. Gdyby ława przysięgłych pracowała w sposób pokazany w filmie – dokonywała domysłów, zamiast trzymać się faktów – proces zostałby unieważniony.

Wybór przysięgłych odbywa się z udziałem obu stron – oskarżenia i obrony. Kandydaci są przesłuchiwa ni. Każdy może zostać odrzucony bez podania przyczyny. Mimo to historia sądownictwa w USA peł-

na jest przypadków, kiedy nie udało się wybrać bezstronnych ławników. Za przykład często podaje się oglądany w telewizji przez 100 milionów Amerykanów proces O.J. Simpsona. Afroamerykański futbolista oskarżony o zabicie białej żony i jej białego kochanka został uniewinniony przez przysięgłych, którzy w większości nie byli biali. Po latach tamten proces opisuje się jednak jako triumf obrony, która potrafiła wzbudzić uzasadnioną wątpliwość co do winy. Oraz klęskę niekompetentnych prokuratorów, którzy nie potrafili wątpliwości obalić.

Niesprawiedliwość najczęściej dotyka Afroamerykanów. Na Południu przez dekady biali nienawidzący czarnych decydowali o ich winie. I o niewinności ich białych oprawców. Do dziś w dziesiątkach procesów, gdzie oskarżony jest Afroamerykanin, wszyscy przysięgli są biali.

Jeśli dojdzie do procesu byłego prezydenta, w trakcie kampanii wyborczej odbędzie się inscenizacja bitwy w wielkiej wojnie kulturowej, jaka rozgrywa się w Stanach. Trump reprezentujący konserwatywną, białą Amerykę przeciw czarnemu postępowemu prokuratorowi. Trump seksista przeciw Susan Hoffinger i jej przybocznym prokuratorom. Trump przed ławą przysięgłych złożoną z 12 mieszkanek i mieszkańców hiperliberalnego Manhattanu, gdzie głosowało na niego 12 proc. wyborców.

Legendarny reżyser Billy Wilder powiedział: „Publiczność nigdy się nie myli. Jej poszczegól ni członkowie mogą być kretynami, ale tysiąc kretynów siedzących razem w ciemności daje genialnego krytyka”. Pojedynczy przysięgli mogą być durni i niemoralni, ale jako 12-osobowa ława tworzą mechanizm wymierzający sprawiedliwość. Nie jest doskonały – w przeciwieństwie do kinowej publiki czasem się myli – ale jak do tej pory ludzkość nie wymyśliła lepszego. ●

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka” – książka reportersko-eseistyczna, w której Maciej Jarkowiec płynie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odwiedza kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie – dostępna na [KulturalnyKlep.pl](https://www.kulturalnyklep.pl) oraz w formie e-booka na [Publio.pl](https://www.publio.pl)



BUDAPEST,

MAŁA MOSKWA

Orbán uważa wojnę w Ukrainie za wewnętrzną sprawę dwóch państw słowiańskich

István Szent-Iványi*

Wiosną 2023 r. węgierska dyplomacja jest nie tylko izolowana wśród formalnych sojuszników, państw UE i NATO; ma wręcz status pariasa. Zawdzięcza to nie zdradzie aliantów, lecz sobie samej. Ciężko harowała przez dekadę, by osiągnąć ten efekt. Mimo tej katastrofy Viktor Orbán z uporem trzyma się szlaku wiodącego na bezdroża, na który dumnie i pewnie wkroczył już dziesięć lat temu.

Węgry, podobnie jak inne kraje wychodzące z komunizmu, w 1990 r. opowiedziały się zdecydowanie za integracją ze strukturami euroatlantyckimi i konsekwentnie wcielały tę deklarację w życie.

Przez następne dwie dekady węgierska dyplomacja trzymała się traktu wytyczonego przez Józsefa Antallą, premiera pierwszego demokratycznego rządu, i jego szefa MSZ Gézy Jeszenszkyego. Doktryna polityki zagranicznej opierała się na trzech filarach, takich jak:

- * integracja euroatlantycka,
- * dobre stosunki z sąsiadami,
- * odpowiedzialność za sytuację mniejszości węgierskich za granicą.

W kwestii tych celów strategicznych w elitach politycznych panował konsensus. Ta doktryna była też fundamentem polityki zagranicznej pierwszego rządu Orbána (1998–2002). W tamtym czasie proatlantycka była cała węgierska elita.

Zmiana zaczęła następować po ponownym dojściu Orbána do władzy w 2010 r. Nie rzucano się to w oczy, bo szefem MSZ został János Martonyi – zwolennik kursu euroatlantyckiego. Jednak od 2012 r. Orbán i jego zwolennicy coraz częściej mówili o tzw. otwarciu na Wschód, choć wtedy wszystkim wydawało się, że chodzi tylko o nową doktrynę współpracy gospodarczej.

Pierwszy spektakularny krok nastąpił w styczniu 2014 r. podczas wizyty Orbána w Moskwie, kiedy zawarta została umowa przewidująca, że Rosatom dobuduje kolejne dwa bloki do elektrowni jądrowej w Paks. Porozumienie przygotowano ukradkiem, a jego podpisanie wzburzyło całą opinię publiczną poza elektoratem obozu władzy. To był wyraźny zwiastun nadciągającej zmiany.

Zwrot symboliczny dokonał się 26 lipca 2014 r., kiedy Orbán wygłosił mowę w czasie dorocznego wakacyjnego węgierskiego festiwalu i obozu młodzieżowego w Băile Tușnad w Siedmiogrodzie w Rumunii. Zapowiedział budowę państwa nieliberalnego, a jako wzory wymienił Rosję, Chiny i Turcję. Mówił również o chylącym się ku upadkowi Zachodzie, rosnącym w potęgę Wschodzie i nowej strategii dyplomatycznej – otwarciu się na Wschód.

Strategia ta opiera się na trzech filarach: ideologicznym, dyplomatycznym i gospodarczym. Filarem ideologicznym jest idea państwa nieliberalnego. Nie jest to produkt rodziny, lecz towar importowany z Rosji, czerpiący m.in. z ideologii euroazjatyckiej Dugina i teorii demokracji suwerennej Surkowa. Filar dyplomatyczny oznacza zerwanie z wcześniejszą orientacją euroatlantycką, a w sferze współpracy gospodarczej mamy do czynienia z zacieśnieniem więzi ze Wschodem i rozluźnieniem zależności od Zachodu.

12 SPOTKAŃ Z PUTINEM

Kiedy szefem MSZ został Péter Szijjártó, orientacja wschodnia stała się kierunkiem dominującym. W 2014 r., w czasie konferencji z udziałem ambasadorów Węgier, Orbán oświadczył, że kraj potrzebuje nowej polityki zagranicznej, której fundamentem powinny być nie wartości, lecz interesy, bo polityka oparta na wartościach jest chytrym pomysłem, który państwa mądre podsunęły głupim. Swoją politykę Orbán określił mianem „tańca pawia”, a Węgry ustawił w roli mostu między Wschodem a Zachodem; miały czerpać korzyści gospodarcze z tego statusu.

Od tej pory kontakty węgiersko-rosyjskie zaczęły się zacieśniać i w czasie ostatniej wizyty w Moskwie w lutym 2022 r., trzy tygodnie przed inwazją na Ukrainę, Orbán mógł się chwalić, że spotkał się z Putinem w sumie 12 razy i wszystko to były pożyteczne rozmowy.

Władze zacieśniły również więzi z Pekinem, tutaj także Orbán był częstym gościem, zabiegając o udział Budapesztu w wielkich infrastrukturalnych projektach mających zwiększyć wpływy Pekinu w świecie. Węgry jako jeden z pierwszych krajów włączyły się w Nowy Jedwabny Szlak i z chińskich kredytów podjęły się wybudowania linii szybkiej kolei Budapeszt – Belgrad, która potrzebna jest Pekinowi do transportowania towarów z należącego do Chin portu w Pireusie na rynki zachodnie.

BUNT PRZECIWKO UE NIE WYPALIŁ

W węgierskiej polityce zagranicznej szczególnie ważny był rok 2015. Po wyborach władzę w Polsce przejął rząd PiS-u, który stał się jego ważnym sojusznikiem w Unii. W tym samym czasie niczym dar z niebios spadł kryzys uchodźczy, który wywindował Orbána do roli wpływowego gracza w europejskim obozie ksenofobii.

Szczęście nie opuszczało go także w roku kolejnym: wiatrem w żagle okazał się brexit, a potem wybór Trumpa na prezydenta USA. Orbán nabrał pewności siebie: charakteryzując rok 2017, mówił o „roku buntu”. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że oto wybiła godzina idei antyliberalnej.

W sposób jawny popłynął pod prąd głównego nurtu polityki europejskiej, orientując się na skrajną prawicę. Obserwując umacnianie się despotyzmów na Wschodzie, uwierzył, że nadeszła także jego chwila. Chciał być jednym z przywódców europejskiego buntu antysystemowego.

Te nadzieje spełzły na niczym. Ani podczas wyborów do europarlamentu w 2019 r., ani wyborów krajowych w poszczególnych państwach rebelia nie nastąpiła. Zamiast tego coraz głośniej zaczęły rozbrzmiewać głosy krytykujące Orbána. Mimo to obstawał przy idei budowy państwa nieliberalnego, bo wierzył, że przesilenie wkrótce nastąpi; liczył też na wschodnich sojuszników.

Najważniejsze dla niego było poparcie ze strony rządu polskiego. W 2018 r. przeciwko obu krajom wszczęto postępowanie z art. 7 traktatu europejskiego, jednak do nałożenia sankcji potrzebna jest pełna jednomyślność. Przywódcy obu krajów zawarli umowę, że nie zgodzą się na żadne sankcje wobec siebie nawzajem.

Węgierski rząd nie wydalil z kraju ani jednego rosyjskiego szpiega, a personel rosyjskiej ambasady od wybuchu wojny sie podwoil

Polityka Orbána stała się pasmem porażek i błędów. W Europejskiej Partii Ludowej znalazł się pod wzrastającą presją i w końcu, obrażony, wystąpił z niej, wieszcząc, że EPL zaraz się rozpadnie, bo wiele grup pójdzie jego śladem. Nikt nie wystąpił, nawet najbliżsi sojusznicy: ugrupowania Słoweńca Jansy czy Bułgara Borisowa.

Miał też nadzieję, że uda się zbudować silny alians europejskich partii skrajnej prawicy. Nie udało się do dziś i wydaje się wręcz, że wielu potencjalnych uczestników takiego sojuszu szuka raczej kontaktów z EPL. W 2020 r. postawił na reelekcję Trumpa. Również spudłował.

KOŃ TROJAŃSKI W UNII

W 2020 r. państwa Unii, mimo sprzeciwów i groźby weta ze strony Polski i Węgier, przyjęły mechanizm uzależniający przekazywanie funduszy od przestrzegania zasad praworządności. W rękach Komisji Europejskiej stał się on potężną bronią. Oba kraje zaskarżyły do TSUE ten mechanizm, ale Trybunał odrzucił wnioski i rozporządzenie weszło w życie. Po raz pierwszy mechanizm uruchomiono wobec Węgier.

W efekcie w ciągu ostatniego półtora roku rząd w Budapeszcie otrzymał tylko mi-

nimalną część przewidywanych funduszy unijnych. By otrzymać środki z siedmioletniej perspektywy budżetowej UE oraz z Europejskiego Planu Odbudowy, Węgry muszą spełnić liczne warunki w sferze zwalczania korupcji, w wymiarze sprawiedliwości oraz w sferze wolności nauki.

Jednak strategicznie najpoważniejszym błędem premiera było zbudowanie ścisłych związków z Kremlem i pokładanie w nich wielkich nadziei. W ślad za rosyjskimi ideologami snuł wizję rozkwitu sprzymierzonych ze Wschodem państw nieliberalnych.

Od początku było to urojenie, lecz bankructwo tej wizji stało się oczywiste dopiero po rosyjskiej agresji na Ukrainę. Orbán jednak miał nadzieję, że ta wojna to krótkie intermezzo, po którym świat wróci w stare koleiny i będzie można dalej robić szmerne interesy ze wschodnimi partnerami.

Zewnętrzni obserwatorzy nie mogli pojąć, dlaczego obstaje przy polityce, która doprowadziła go do klęski. Rosyjski najazd na Ukrainę uznał za agresję po długim ociąganiu się, pod przymusem (w pierwszych oświadczeniach mówił o konflikcie zbrojnym) i ani razu nie wymienił imienia Putina. Ani on sam, ani jego rząd słowem nie wspomnieli o rosyjskich zbrodniach wojennych.

Kontrolowane przez niego środki przekazu (80 proc. rynku medialnego) otwarcie uprawiają prokremlowską propagandę. Rząd nie wydalil z kraju ani jednego rosyjskiego szpiega, mimo że personel rosyjskiej ambasady od wybuchu wojny podwoił się i dziś w Budapeszcie Moskwa ma najliczniejszą placówkę dyplomatyczną w Europie.

Nadal bez przeszkód działa na Węgrzech International Investment Bank, rosyjski „bank szpiegów”, w którym Węgry są już jedynym europejskim udziałowcem, a szef MSZ Szijjártó mówił nawet o zwiększeniu udziałów. Rosatom kontynuuje prace w Paks. Rząd wprawdzie zaaprobował wszystkie dziesięć europejskich pakietów sankcji na Rosję, ale często spowalnia ich przyjmowanie lub uzależnia to od spełnienia jakichś warunków.

Tak więc Węgry zachowują się w Unii jak sojusznik nielejalny, piętrzący przeszkody. Bez powodów przez pół roku zwlekały w parlamencie z ratyfikacją przystąpienia Szwecji i Finlandii do NATO, wreszcie w końcu marca wyraziły zgodę w sprawie Finlandii, ale nie Szwecji.

Rząd co chwila wzywa do zawieszenia broni w Ukrainie i do negocjacji pokojowych, ale nie wyjaśnia, na jakich warunkach miałyby się to odbyć. Ani razu nie oświadczył też, że rosyjskie oddziały powinny się wycofać z zajętych ukraińskich terenów. W ten sposób tylko wzmacnia wrazenie, że staje po stronie agresora.

Orbán wielokrotnie mówił, że my, Węgrzy, zachowujemy neutralność, jest nam obojętne, jak zakończy się ten konflikt, byle tylko to nastąpiło. Ponadto uważa wojnę za wewnętrzną sprawę dwóch państw słowiańskich, z którą nie mamy nic wspólne-



• Maj 2017, Putin i Orbán z wizytą u Xi w Pekinie na konferencji promującej chiński pomysł Pasa i Szlaku, pakietu inicjatyw kolejowych, drogowych i inwestycyjnych nawiązujących do dawnego Jedwabnego Szlaku
FOT. MIKHAIL SVETLOV / GETTY IMAGES

go, a wspieranie Ukrainy przez Zachód dostawami broni jest jego zdaniem niewłaściwe, bo prowadzi do eskalacji konfliktu, który bez tego już by się zakończył.

JEDYNY MINISTER, KTÓRY ROZMAWIA Z ŁAWROWEM

Po ostatnich wyborach wiosną 2022 r. była jeszcze szansa na korektę tej polityki. Jednym z warunków musiałaby być dymisja Szijjártó, który ucieleśnia bliskie związki z Rosją. Zaledwie dwa miesiące przed inwazją na Ukrainę od szefa rosyjskiego MSZ Siergieja Ławrowa (którego nazywa „bliskim przyjacielem”, zaprasza do domu i który w 2021 r. był gościem honorowym na konferencji ambasadorów Węgier) otrzymał on Order Przyjaźni, najwyższe rosyjskie odznaczenie, które z dumą nosi.

Od początku wojny trzykrotnie był w Rosji, wielokrotnie spotykał się z Ławrowem. Jako jedyny szef MSZ państwa Unii i NATO utrzymuje tak ściśle kontakty z szefem rosyjskiej dyplomacji. Jeździł też do Mińska, gdzie rozmawiał z prezydentem Łukaszenką.

Orbán wzmocnił również w rządzie pozycję Antala Rogána, nieoficjalnie tytułowanego ministrem propagandy. To on od dawna kieruje rządowym imperium medialnym, narzucając mu prokremlowską linię. Teraz dostał jeszcze nadzór nad specslużbami. W ostatnim orędziu o stanie państwa Orbán oznajmił, że kurs polityki zagranicznej się nie zmieni, bo i po co – wszak w tej dziedzinie Węgry notują same sukcesy.

A MOŻE GO SZANTAŻUJĄ?

Co zatem kryje się za tym irracjonalnym, autodestrukcyjnym postępowaniem Orbána? Wszak za prorosyjską politykę płaci wysoką cenę. W Europie stracił wszystkich ważnych sojuszników, m.in. Polskę, na której bardzo mu zależało. Odwróciły się od niego pozostałe dwa kraje wyszehradzkie (czeski prezydent Petr Pavel podał nawet w wątpliwość sens utrzymywania Grupy Wyszehradzkiej). Zraził do siebie polityków Finlandii i Szwecji. Nie popierają go już władze Słowenii.

Zawód spotkał go także ze strony włoskiej premier Giorgii Meloni, na której poparcie liczył. Ostatnio mówił o tym Michael Gahler, niemiecki eurodeputowany, koordynator z ramienia EPL w komisji spraw zagranicznych europarlamentu.

Źródłem tego podejrzenia jest zeznanie złożone przed sądem przez niejakiego Dietmara Clodo, człowieka o dwuznacznej reputacji, który występując w charakterze świadka, powiedział, że Orbán otrzymał poważne wsparcie finansowe od rosyjskiego podziemia przestępczego i Putin dysponuje nagraniem wideo z dowodami. Poniważ wiarygodność źródła jest wątpliwa, także ta wersja nie brzmi przekonująco.

Jeszcze inni podejrzewają, że postępowanie węgierskiego rządu trzeba tłumaczyć interesami biznesmenów i oligarchów powiązanych z obozem władzy, którzy kupują po preferencyjnych cenach nośniki energii i surowce, by z gigantycznym zyskiem sprzedawać je na rynkach międzynarodowych.

Na Węgrzech szeroko kolportowana jest wersja, jakoby Putin szantażował premiera jakimiś kompromitującymi informacjami. Ostatnio mówił o tym Michael Gahler, niemiecki eurodeputowany, koordynator z ramienia EPL w komisji spraw zagranicznych europarlamentu.

Źródłem tego podejrzenia jest zeznanie złożone przed sądem przez niejakiego Dietmara Clodo, człowieka o dwuznacznej reputacji, który występując w charakterze świadka, powiedział, że Orbán otrzymał poważne wsparcie finansowe od rosyjskiego podziemia przestępczego i Putin dysponuje nagraniem wideo z dowodami. Poniważ wiarygodność źródła jest wątpliwa, także ta wersja nie brzmi przekonująco.

Jeszcze inni podejrzewają, że postępowanie węgierskiego rządu trzeba tłumaczyć interesami biznesmenów i oligarchów powiązanych z obozem władzy, którzy kupują po preferencyjnych cenach nośniki energii i surowce, by z gigantycznym zyskiem sprzedawać je na rynkach międzynarodowych.

Jeszcze inni podejrzewają, że postępowanie węgierskiego rządu trzeba tłumaczyć interesami biznesmenów i oligarchów powiązanych z obozem władzy, którzy kupują po preferencyjnych cenach nośniki energii i surowce, by z gigantycznym zyskiem sprzedawać je na rynkach międzynarodowych.

Jeszcze inni podejrzewają, że postępowanie węgierskiego rządu trzeba tłumaczyć interesami biznesmenów i oligarchów powiązanych z obozem władzy, którzy kupują po preferencyjnych cenach nośniki energii i surowce, by z gigantycznym zyskiem sprzedawać je na rynkach międzynarodowych.

WĘGRY W ŚLEPYM ZAULKU

Nie sposób znaleźć racjonalnego wytłumaczenia, dlaczego rząd prowadzi poli-

tykę sprzeczną z interesem narodowym, nic więc dziwnego, że wszyscy doszukują się ukrytych za kulisami tajemniczych sił i spisków. Niezależnie jednak od tego, czy prawdziwa jest którakolwiek z powyższych wersji, czy może jakaś ich kombinacja, pewne jest jedno: węgierska polityka zagraniczna znalazła się w ślepych zaułku. Prestiż kraju sięgnął bruku, zdolność do realizowania narodowych interesów zmalała do zera, Węgry straciły przyjaciół.

Jeżeli dalej będą iść tą drogą, czeka je upadek. Czy tak rzeczywiście będzie, czy może niczym syn marnotrawny wrócimy na łono rodziny? Nadzieja zawsze umiera ostatnia. ●

przeł. Wojciech Maziarski

*István Szent-Iványi

• ur. w 1958 r., kierownik Katedry Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jánoša Kodolányiego w Budapeszcie. W latach 80. działacz antykomunistycznej opozycji demokratycznej. Po upadku komunizmu m.in. członek władz liberalnego Związku Wolnych Demokratów, poseł, eurodeputowany, wice-szef MSZ

OGŁOSZENIE

Ukraińcy w Unii

pod tym hasłem opowiadamy o Ukrainie w Unii Europejskiej

wyborcza.pl PARTNER: European Parliament

Projekt realizowany we współpracy z Parlamentem Europejskim

34242497

NASZA EUROPA

Pedro Almodóvar

JESTEM
CORAZ SUROWSZY

– Gdybym nie opuścił mojej wsi, skończyłbym w więzieniu lub popełnił samobójstwo – mówi najsłynniejszy hiszpański reżyser.

Alex Vicente

EL PAÍS

Wydawanej właśnie książce „El último sueño” (Ostatni sen) Pedro Almodóvar zebrał swoje krótkie prozy z lat 1967-2023. Ta antologia odzwierciedla relacje w jego twórczości pomiędzy „tym, co przeżyte, co napisane i co sfilmowane”, od edukacji pobieranej u salezjanów po śmierć matki. I z wszystkim, co wiązało się z La Movida, czyli wielkim kulturalnym ożywieniem, które nastąpiło w stolicy Hiszpanii po śmierci gen. Franco.

Te teksty długo kurzyły się w starych niebieskich teczkach w biurze Almodóvara i gdyby nie Lola García („Moja wierna asystentka w tej i wielu innych sprawach”), przepadłyby w chaosie kolejnych przeprowadzek. „Uważałem, że moje dawne opowiadania mają wszystkie wady młodzieńczych utworów, są zbyt migotliwe i pstrokate. Ale kiedy przeczytałem je ponownie po wielu latach, nie wydawały się takie złe. Zobaczyłem w nich siebie – mimo wszystko jestem wciąż taki sam jak wtedy” – mówi 73-letni Almodóvar, gdy zaczynamy rozmowę w siedzibie jego firmy producenckiej El Deseo w Madrycie.

Kiedy skończył prace nad „Extraña forma de vida” z Ethanem Hawke’em i Pedro Pascalem, średniometrażowym filmem z gatunku, jak mówi, queer western (premiera odbędzie się na zbliżającym się festiwalu w Cannes), znalazł wreszcie czas na przygotowanie ich do druku.

...

Pisze pan, że ta antologia jest „najbliższa autobiografii”. Co w takim razie mówi nam o pańskim życiu?

– Co dziwne, mam wrażenie, że jestem bardziej wyeksponowany w tych opowiadaniach niż w moich filmach, mimo że zrobiłem przecież nawet coś takiego jak „Ból i blask”, gdzie Antonio Banderas gra postać bardzo podobną do mnie, uprawiającą mój zawód i mieszkającą w moim domu. Ale za tymi napisanymi historyjkami kryje się coś z mojej głębszej intymności. Dzięki nim uchylam szerzej drzwi do tego obszaru mojego życia, o którym dotąd nie mówiłem. Wchodząc w literaturę, ma się poczucie, że jednak trzeba opowiedzieć o sobie

szczerzej. Kino oferuje więcej trików, którymi można się zasłonić. W tym sensie literatura budzi mój większy szacunek. Nie wykluczone, że moja kariera sugeruje inaczej, ale jestem osobą skromną i dość wycofaną.

Chciał pan zostać pisarzem zamiast filmowcem?

– Miałem wczesne powołanie do pisania, od dziecka, choć to nie czyni mnie pisarzem. Wydanie tej książki również nie. Nie wstydzę się jej i uważam, że jest na tyle ciekawa, że można ją przeczytać, lecz prawdziwe pisanie to coś więcej. Wielka literatura to coś innego. Ja mam tylko ambicję, żeby ludzie byli rozbawieni, czytając. Żadnych nadziei na więcej. W każdym razie próby pisania od najmłodszych lat pozwoliły mi pójść na skróty, gdy przyszło do pisania pierwszych scenariuszy. Dało mi to narzędzia i pewną sprawność.

Te opowiadania były zapowiedzią przyszłych filmów, takich jak „Złe wychowanie” czy „Porozmawiaj z nią”, tak jakby były niemowlętami, które wyjmuje pan z inkubatora, gdy nadejdzie właściwy czas.

– To jest dokładnie to, bank zarodków, który trzymam w moim komputerze. „Ból i blask” napisałem w zaledwie trzy miesiące, ponieważ ta opowieść łączyła trzy wcześniej spisane historie: pierwsze pragnienie dziesięcioletniego chłopca, moje spotkanie po latach z aktorem, z którym kiedyś pracowałem, oraz mikrosztukę teatralną „La adicción”, która nigdy nie została zrealizowana.

Jednak to nie działa z automatu. Czasami kończyło się na tym, że rezygnowałem z pozornie dobrego pomysłu, bo nie działał w większej filmowej całości. Z reguły fikcja filmowa odrzuca proste przeniesienia z innych form czy zwłaszcza elementów prosto z własnego życia. One należą do różnych światów i momenty, w których to wszystko się jakimś cudem łączy i ząbacia, są wyjątkowe.

W „Życiu i śmierci Miguela” opisuje pan życie jako odliczanie czasu pozostałego do śmierci. To bardzo fatalistyczny pogląd na egzystencję, biorąc pod uwagę, że napisał to 18-latek.

– To wynikało z tego, że mieszkalem wtedy na wsi. Napisałem ten tekst na podwórku rodzinnego domu w Madrigalejo, ma maszynie marki Olivetti, którą kupiła mi matka, i z wiszącymi obok oskórowanymi królikami. Zainspirował mnie niepokój związany z życiem w miejscu, do którego zupełnie nie pasowałem. Gdybym stamtąd nie wyjechał, niechybnie skończyłbym w więzieniu lub popełniłbym samobójstwo. Kiedy miałem 17 lat, powiedziałem rodzicom, że wyjeżdżam do Madrytu. To była jedyna poważna rozmowa, jaką odbyliśmy. Ojciec oznajmił mi, że odstawi mnie na posterunek Guardia Civil, ponieważ byłem nieletni. Powiedziałem mu, że może zrobić, co chce, ale ja zamierzam jechać i koniec. Musieli widzieć niespotykaną determinację, bo się przestraszyli...

Życie na wsi jako równoznaczne z rozciągniętym w czasie umieraniem?

– Umieraniem w każdym sensie – tak, i niech mi wszystkie prowincje świata wybaczą, bo jednocześnie uważam, że to wspaniałe, że dzisiaj istnieje zjawisko powrotu do wiejskiego życia. Ale bycie dorastającym dzieckiem na hiszpańskiej wsi w środku powojennej dyktatury było jak

Dziś wstydzę się tamtej wiary. Chciałem być wierzący, bardzo się starałem wierzyć w Boga i w sens pobożności, ale nie udało się. Tak naprawdę to księża zmienili mnie w ateistę.

Są za to takie historie jak „Wizyta”, która 40 lat później zainspirowała „Złe wychowanie”, w której jestem wściekły i antyklerykalny. To zemsta na mojej szkole za nadużycia, które miały tam miejsce. Jeśli w Hiszpanii nie ma milionów pozwów o seksualne przestępstwa duchownych, to dlatego, że jesteśmy bardzo pruderyjni i wstydliwi i wstydzimy się do tego przyznać. W każdym razie idea Boga zniknęła z tego kraju absolutnie i pozostał jedynie ceremonial, rytuały. Żywy teatr – to część religii, która mnie najbardziej interesuje, tak właśnie praktykowały ją moje siostry i moja matka. Kobiety z La Manchy nie chodzą na msze. Praktyka religijna mojej matki polegała głównie na chodzeniu z przyjacielkami do pustelni i oddawaniu czci ich zaufanym świętym. Nie miało to wiele wspólnego z ideą Boga, który wysłał do piekła za nieposłuszeństwo.

Wyznał pan, że tekst tytułowy w tym zbiorze, napisany w dniu pogrzebu matki, to najlepsza rzecz, jaka kiedykolwiek wyszła spod pana ręki.

– Tak, szczerze uważam, że to pięć najlepszych stron, jakie w życiu napisałem. Szkoda, że abym osiągnął tę jakość, musiała najpierw umrzeć moja mama. Nigdy przedtem ani potem nie byłem w podobnym stanie. A za każdym razem, kiedy czytam ten tekst ponownie, wciąż ogarnia mnie wzruszenie.

Od tamtego czasu pańskie filmy są pełne widmowych matek i scen szpitalnych. Snu o burzy, o którym opowiadała panu matka przed śmiercią, nie ma jednak w żadnym.

– Śmierć mojej matki była punktem zwrotnym. Od czasu „Porozmawiaj z nią” moje filmy stają się coraz bardziej poważne, surowe. W ostatnich kilku zrezygnowałem ze wszystkich swoich dawnych znaków rozpoznawczych, takich jak piosenki i różne drobne elementy, które rozjaśniały narrację. I ja sam też stałem się bardziej ponury i melancholijny, bardziej niepewny i lękliwy.

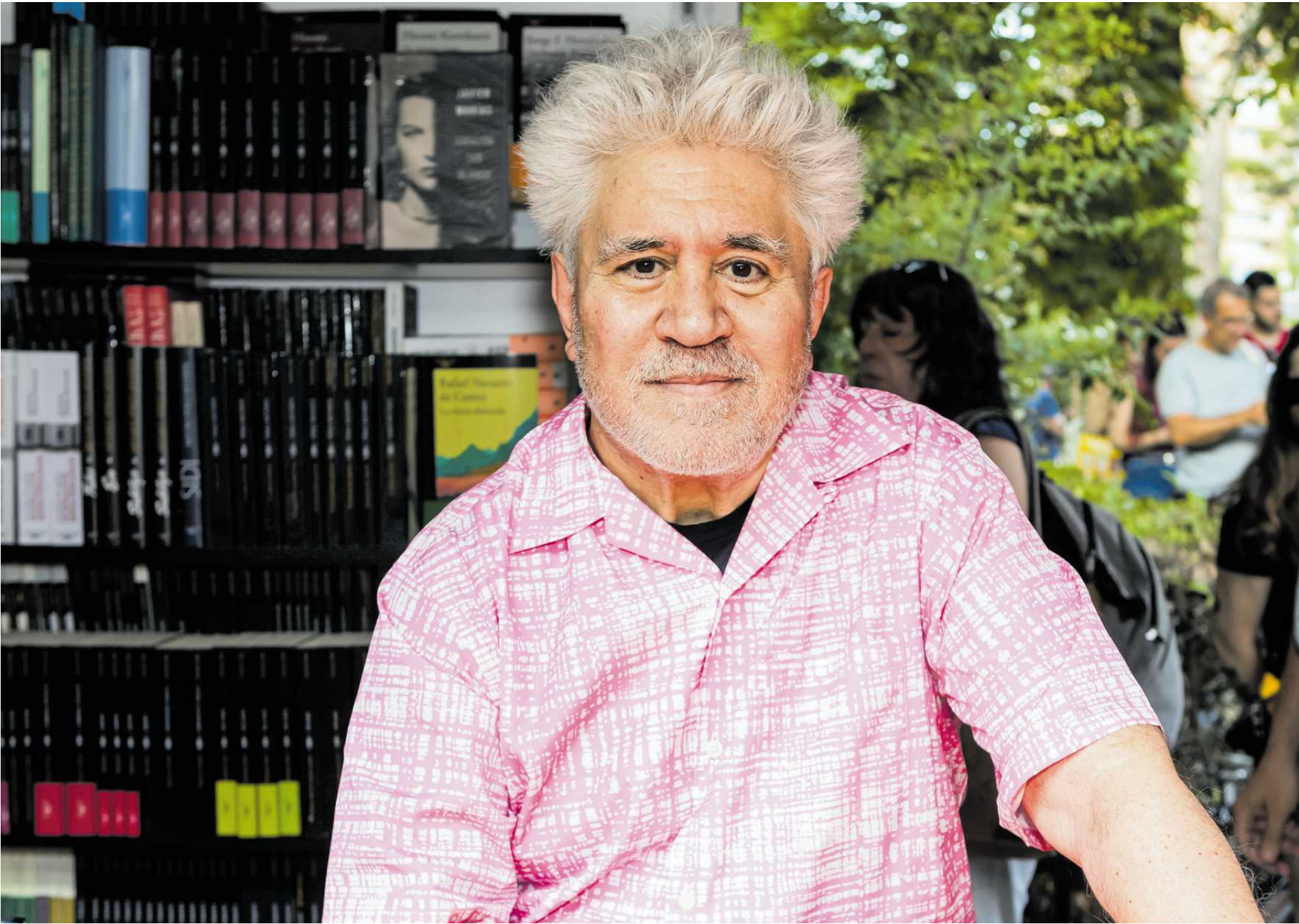
To zabawne, bo wszyscy myślimy, że wiemy, czym jest sieroctwo – dopóki nam się to nie przytrafi. Nagle ogarnia cię uczucie ogromnej samotności – nie masz już nikogo, kto mógłby cię chronić. Do tego czujesz, że już nikt nie odgradza cię od twojego własnego końca. Jesteś następny. Przeraża mnie śmierć, czyli coś, czego jeszcze nie przyswoilem i nie zrozumiałem. I to jest duży problem, bo czas sobie płynie, a ja nadal nie dojrzałem do tego, by to oswoić. Nadal czuję się jak dziecko – i nie mówię tego w sensie pozytywnym. W tej kwestii jestem ogromnie niedojrzały.

Od „Pośród ciemności” po „Przerwane objęcia” i „Kwiat mego sekretu” – dlaczego w pana filmach pojawiało się tak wielu pisarzy?

W niektórych tekstach można znaleźć ślady religijnego wychowania...

– Napisałem nawet jedno o Niepokalanym Poczęciu! Na szczęście go nie zachowałem.

NASZA EUROPA



FOT. GETTY IMAGES

– To ciekawe, bo w tych trzech przykładach te piszące postacie robiły to pod pseudonimami. Myślę, że jest to odpowiedź na tęsknotę za tym, by być kimś innym. Około 2000 roku kusilo mnie, by zacząć pisać pod innym nazwiskiem, z niejasną iluzją poczucia większej wolności. Mój brat mi jednak zabronił. Fascynują mnie historie Borisa Viana czy Romaina Gary’ego, którym zdarzało się wydawać książki pod fałszywymi nazwiskami, czy J.D. Salingera, który strzegł swojego wizerunku, albo i Eleny Ferrante, która trzyma swoją tożsamość w tajemnicy. Z kolei dla filmowca wizerunek jest wszystkim.

Pan też miał swoje alter ego – to Patty Diphusa, gwiazda porno, którą stworzył pan w 1979 roku i która stała się bardzo popularną felietonistką w latach 80.?
– Ku mojemu zdumieniu te felietony odniosły sukces znacznie większy niż moje kino. To było czyste szaleństwo – ale też Patty była świadkiem rewolucyjnej zmiany w naszym kraju. Stworzyłem ją dla magazynu „Vibraciones”, zyskała rozgłos na łamach miesięcznika „La Luna de Madrid”, a w końcu została przetłumaczona na kilka języków.

To prawda, że pisywał pan te felietony po zażyciu narkotyków?
– Czasami, kiedy zapomniałem, że muszę oddać tekst, i musiałem kończyć go na pełnym szwungu, gdy kurier już przyjechał, żeby go zabrać. W tym czasie bywałem na kokainie. Potem odstawiłem kokainę, a potem kawę, wreszcie nawet herbatę. Wtedy było to dla mnie dobre, ale nie polecam narkotyków do pisania.

Patty Diphusa była panem, tak jak Emma Bovary była Flaubertem?
– Nie. Inspirowała mnie znana aktorka, moja przyjaciółka, ale zadbałem o to, żeby nie

dało się jej rozpoznać w Patty. Kiedyś się zdenerwowała, bo podałem za dużo szczegółów, i myślała, że zostanie rozpoznana, jednak myślę, że nikomu się to nie uda. To były historie przesiąknięte hedonizmem tamtych czasów, podobnie jak moje wcześniejsze kino. Chociaż teraz dbam o pamięć historyczną, moje pierwsze filmy za jednym zamachem celowo i całkowicie wymazały obecność dyktatury, ona nawet nie pojawia się w nich jako cień czy wspomnienie.

No był ten policjant, sąsiad i zarazem gwałciiciel w „Pepi, Luci, Bom i innych dziewczynach z dzielnicy”, pańskim filmowym debiucie.
– Racja, nie do końca mi się udało, ale planowo zaprzeczałem niedawnej przecież obecności Franco i jego dyktatury. To była postawa artystyczna, lecz chcę podkreślić, że to nie było to samo co zapomnienie. Mam nienaruszoną pamięć o dyktaturze, żyłem przez lata pod jej rządami. 25 dusznych lat! Patty Diphusa była moją receptą na odzyskanie oddechu.

Jakie książki pana wtedy inspirowały?
– Moje siostry kupowały wysyłkowo z katalogu Galerías Preciados. Pierwszymi książkami, o które je poprosiłem, mając 10 lat, były „Wilk stepowy” Hessego i „Pewien uśmiech” Françoise Sagan. Później byli Henry James i Virginia Woolf, ale to już po przyjeździe do Madrytu. Uwielbiałem Trumana Capote’a za „Z zimną krwią” i „Śniadanie u Tiffany’ego”. Potem Marguerite Duras i Latynosi: Cortázar, Donoso i Vargas Llosa, z wyjątkiem ostatnich dwóch dekad jego kariery – przeszkadza mi jego persona, chociaż generalnie uważam, że dzieło nie powinno być rozpatrywane w połączeniu z jego autorem. Ostatnio: Coetzee.

A w nowszej literaturze?

■
Moje pierwsze filmy celowo i całkowicie wymazały obecność dyktatury, ona nawet nie pojawia się w nich jako cień czy wspomnienie. Ale to nie to samo co zapomnienie. Mam nienaruszoną pamięć o dyktaturze, żyłem w niej przez 25 dusznych lat!

– Lubię Érica Vuillarda czy Leïlę Slimani, której poświęciłem w tej książce tekst „Memoria de un día vacío” (Pamięć pustego dnia). I widzę w Hiszpanii zjawisko, które mnie interesuje: młode pisarki, które odrzucają miasto i zaczynają prowadzić złe życie w samotności. Na przykład Sara Mesa czy Eva Baltasar. Bardzo chciałbym zaadaptować „Głaz” autorstwa tej ostatniej. Zastanawiam się, jak mogę zatopić w nim zęby, żeby przekształcić go w coś filmowego. Jeszcze nie znalazłem sposobu, ale ja jestem bardzo wytrwały. To trudna pisarka i bardzo oryginalna. Zaproponowałem ją pewnej francuskiej reżyserce, lecz nie chciała tego zrobić, więc spróbuję sam...

Dalej mamy autorów, którzy inspirowali pańskie filmy, takich jak Ruth Rendell („Drżące ciało”), Thierry Jonquet

(„Skóra, w której żyję”) czy Alice Munro („Julietta”). Jest pan jednak znany z tworzenia dość swobodnych adaptacji.
– W moim związku z literaturą jestem niewierny. Wyzwaniem było dostosowanie opowiadań Alice Munro do kontekstu hiszpańskiego. Kanadyjska kultura rodzinna i nasza nie mają ze sobą nic wspólnego. Pamiętam, że czytałem thriller Jonqueta podczas długiego lotu samolotem w latach 90. i pomyślałem, że jest świetny. Próbowałem go zaadaptować, jednak cały wątek sado-masochistyczny odepchnął mnie od tego. A jest jedna rzecz, której nigdy nie powinno się robić: pisać scenariusz, oceniając swoich bohaterów. Podjąłem próbę 20 lat później, zmieniając sadomasochizm na coś zupełnie innego – i nagle okazało się, że to działa.

A dlaczego nic nie wyszło z zapowiedzianej ekranizacji „Instrukcji dla pań sprzątających” Lucii Berlin?
– Poddąłem się z bólem, kiedy miałem już gotowy scenariusz. Odkrycie Lucii Berlin było jak znalezienie bratniej duszy. Wysłałem tekst Cate Blanchett, która powiedziała mi, że chce w to wejść jako aktorka, producentka, a jak trzeba, to może to także wyreżyserować. W styczniu 2022 r. byłem gotowy do zdjęć, ale ona była dostępna dopiero na wiosnę. Utknąłem w systemie produkcji, który jest mi obcy. Ja zwykle wybieram nawet kolor dywanu w filmowanym pokoju, a oni proponowali mi odtworzenie Oakland w wersji cyfrowej. Do tego doszły problemy z kregosłupem – czułem, że nie spełnię oczekiwań producentów i że będzie mnie to frustrować. Nie każde marzenie da się zrealizować. ●

tłum. Łukasz Grzymiśławski



LENA LEADING EUROPEAN NEWSPAPER - ALLIANCE

Z **ADRIANEM ZANDBERGIEM**,
WSPÓŁPRZEWODNICZĄCYM LEWICY
RAZEM, ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

O czym będzie kampania wyborcza?

– Na pewno dużą rolę odegra strach przed jutrem. Bo Polki i Polacy boją się, że ich sytuacja materialna realnie się pogorszy. I mają poważne powody, żeby tak myśleć. Lewica jest od tego, żeby zapewnić bezpieczne jutro.

Jakakolwiek nowa koalicja rządząca by powstała, nie dacie ludziom więcej, niż dał PiS.

– Nie róbmy z PiS-u jakiegoś giganta w polityce społecznej, bo to nieprawda. PiS się schylił po niziutko wiszący owoc. Dał trochę wsparcia rodzinom, które wychowują dzieci...

...a także dopieścił emerytów i ogólnie seniorów, do tego płaca minimalna, zerowy PIT.

– Ani w 500 plus, ani w minimalnej płacy godzinowej nie ma żadnego mistrzostwa świata. To absolutna podstawa – do systemów socjalnych z Zachodu PiS nawet nie startuje. A te rzeczy dawno powinny być zrobione. Wrażenie, że Kaczyński dokonał w polityce socjalnej jakichś wielkich rzeczy, bierze się z tego, jak słabe były poprzednie rządy. Z tego ich mantrowania, że pieniędzy „ni ma i nie byndzie”. Okazało się, że są. Tamto skąpstwo i brak wrażliwości społecznej pozwoliły PiS-owcom przez kilka lat uwiarygadniać się przed społeczeństwem. Tyle że to się kończy. Weźmy mieszkania: są w praktyce niedostępne dla średnio zarabiającego pracownika. Dach nad głową to elementarna potrzeba, tymczasem stał się luksusem. Pan mówi „płaca minimalna”. Wtedy to była duża rzecz, pełna zgoda. Tylko że wprowadzono ją jeszcze za rządów Beaty Szydło. A pod rządami Mateusza Morawieckiego płace realnie maleją. W moim okręgu wyborczym nauczycielka nie jest w stanie ze swojej pensji wynająć mieszkania i jednocześnie przeżyć. To nie jest tylko przypadek stolicy. Tak jest w wielu miastach w Polsce.

Platforma proponuje kredyty mieszkaniowe z zerowym oprocentowaniem...

– Co oznacza pompowanie pieniędzy w deweloperów i banki. A w Polsce nie ma deficytu kredytów mieszkaniowych – jest deficyt mieszkań! Platformerski pomysł przyniósłby niestety taki skutek, że ceny mieszkań by wzrosły. Bo jak podaż się nie zmienia, a państwo dotuje kredyt, to wyższy popyt oznacza hoszę dla deweloperów i wzrost ceny metra. Komu to służy? Tym, którzy mieszkania już mają, i tym, którzy sprzedają. Moim zdaniem wtopimy dziesiątki miliardów, a większość potrzebujących dachu nad głową i tak zostanie z niczym, bo gdy ceny wzrosną, znów nie będą mieć zdolności kredytowej. Państwo z PO niczego się w tej sprawie nie nauczyli.

Jakaś kontrpropozycja?

– W polityce mieszkaniowej trzeba się uczyć od tych, którym się udało, na przykład od austriackich socjalistów. I takie rozwiązanie proponujemy. Zamiast topić pieniądze w kredytach, damy je samorządom na budowę mieszkań do wynajęcia. Chcemy, żeby szedł na to co roku jeden procent PKB. Ale pod twardym warunkiem: lokale zbudowane za te pieniądze nigdy nie mogą zostać sprywatyzowane, muszą zostać w zasobie gminy. I musi w nich obowiązywać czynsz regulowany, tak żeby każdego młodego pracownika było stać na wynajem. Nasz plan posłuży też tym, którzy chcą kupić mieszkanie na wolnym rynku. Bo młodzi ludzie, którzy zamieszkają w mieszkaniu wynajętym od miasta, wyjdą z kolejki po kredyt. A to oznacza spadek popytu i obniżenie cen. Upprzedzam pytanie – lewicowe rozwiązanie jest też lepsze od dopłat do czynszów, o których mówił Tusk. Bo jak wprowadzi się dopłatę, to prywatni właściciele skorzystają z okazji i pod-



NIE BĘDĘ GWIAZDORZYĆ

**Z góry informuję, jakby ktoś miał takie plany:
nie podniesiemy ręki za cięciami wydatków społecznych**

niosą czynsze, żeby zgarnąć tę kasę od państwa. Tak właśnie było na Wyspach Brytyjskich. Na dopłatach wzbogacili się tak zwani landlordowie. W Polsce byłoby podobnie. Na rynku, na którym prywatny właściciel dowolnie ustala czynsz, to się po prostu nie sprawdza.

Pan proponuje typowo lewicowe majsterkowanie przy ekonomii. A PiS daje ludziom kasę – i to się podoba. – Fajnie, tylko jak się człowiek rozchoruje albo straci pracę, to w dzisiejszej Polsce natiychmiast leci w dół. Nie ma instytucji, która poda mu rękę, a PiS przez lata niewiele z tym zrobił. Dlatego nie kupuję opowieści, że mają świetną politykę społeczną. Mieli sporo szczęścia, bo trafili akurat na te kilka lat, kiedy światowa gospodarka szybko się kręciła, więc ich zaniedbania nie były bardzo bolesne. Jednak każdy okres szybkiego wzrostu gospodarczego i niskiego bezrobocia się kończy.

Oni mówią, że musieli się zmierzyć z najtrudniejszym okresem. Najpierw COVID, potem wojna. – Widzę, że pan chce, żebym za coś PiS chwalił. Mogę za jedno: po ich rządach nie da się już powrócić do głaskania zamożnych i prywatyzacji wszystkiego, co się rusza. Ta koncepcja została wystawiona na stryszek i mam nadzieję, że już stamtąd nie wróci. Bo polityka „cieplej wody w kranie” miała też ciemną stronę, dla milionów ludzi ta woda była zimna, wręcz lodowata. My nie zapomnimy, na czym wyrósł PiS – a wyrósł na poczuciu krzywdy. Więc z góry informuję, jakby ktoś miał takie plany: choćby nas wołami do tego zaciągali, nie podniesiemy ręki za cięciami wydatków społecznych.

Pytam znów, bo pan mi nie odpowiedział: o czym będzie kampania wyborcza? – Powinna być o tym, jakiej chcemy Polski po ustąpieniu PiS-u.

Jakiej? – Mówmy o zatrudnieniu, o mieszkaniach właśnie, o ochronie zdrowia. O czasie pracy, o ubezpieczeniu od bezrobocia, o pensjach w budżetówce, o naprawie sektora publicznego, o administracji. Chciałbym dyskusji takiej, jaka zwykle toczy się przed wyborami w krajach północnej Europy. Tam, gdzie politycy kombinują, jak łączyć wzrost gospodarczy z dbałością o ludzi biedniejszych.

Pan mówi: administracja i asekuracja. A PiS na to znów: damy kasę. – Nie kupuję tego, że jak się da ludziom kilka stów, państwa może nie być. Bo to jest w gruncie rzeczy naiwna wiara, że rynek załatwi każdą sprawę. Weźmy ochronę zdrowia – w naszym pararynkowym systemie nadal rosną kolejki do lekarzy. A jak ktoś odżałuje i pójdzie do gabinetu prywatnie, to i tak mu doktor wystawi skierowanie na leczenie w państwowym szpitalu. Z tej kolejki nie da się uciec na własną rękę. Musimy zainwestować wspólnie w publiczną ochronę zdrowia. Co do administracji – lubimy w Polsce narzekać, że ona fatalnie działa. A jak ma działać, kiedy tam straszą wakaty? Fachowcy uciekają z marnie opłacanej pracy, bo państwo – w porównaniu z rynkiem – wynagradza źle. A jak są wakaty, to sprawy petentów się wloką. Wyższe place w budżetówce to nie jest wydatek socjalny, jak się wydaje niektórym liberalom, tylko inwestycja w działające państwo. Od sprawności administracji zależy rozwój gospodarki, czyli na koniec to, ile będziemy mieli kasy z podatków w budżecie.

A jeśli PiS weźmie trzecią kadencję? – No... to już zależy od nas. Od tego, czy pójdziemy na wybory. Ja wierzę, że ludzie pójdą. I robię, co mogę, żeby Polacy o lewicowych poglądach mieli po co głosować. Tu jednak ważny przypis. Ci, którzy głosowali na PiS, po wyborach nie znikną. I ja chcę

takiej Polski, gdzie jest dla nich miejsce. I bardzo mi się nie podoba taka opowieść, że my jesteśmy oświeconymi demokratami, tymi lepszymi, a po drugiej stronie – totalitarny motłoch, który trzeba wygnać na podkarpacką wieś. Że najlepiej, jakby zniknęli. Po pierwsze, to się nie stanie. A po drugie, to nie jest demokratyczna emocja. To jest na odwrtkę taki szlam, jaki się leje z TVP. Tylko tam politycy PiS-u są prawdziwymi Polakami, a reszta to zdrajcy Polski. Unikajmy tego rodzaju zapędów, bo to jest chore. Jeśli chcemy żyć w trwałej demokracji, musimy wyjść z tych cholernych okopów, bo stoczymy się w wojnę domową – prawdziwą, a nie tylko słowną.

Chyba już ją mamy: walczymy na ulicach o prawa kobiet, o pamięć o polskim papieżu, dalej o media prywatne i publiczne... – To, co prawica wyprawia w sprawie papieża, to raczej próba wzbudzenia histerii. Mniej więcej taka jak z jedzeniem robaków. Kilka tygodni temu strasz yli, że zła Europa nas zmusi do wcinania chrabąszczy, teraz straszą, że przyjdzie zły Zandberg i zakaże ludziom chodzić do kościoła. To kompletne brednie. I nie ma co odpowiadać na podobnym poziomie wzmożenia. Choć jest faktycznie kilka spraw, które trzeba uczciwie przegadać. Jak się pozbędziemy z debaty inwektyw, emocji i zakłęb, to zostanie normalna dyskusja o relacjach Kościoła i państwa. Lewica mówi jasno: oddzielić jedno i drugie. Chcemy skończyć z finansowaniem Kościoła przez budżet. I może to pana zdziwi, ale kiedy o tym mówię na spotkaniach kół gospodyń wiejskich, na podkarpackich bazarkach, nikt się nie oburza. Ba, wielu ludzi, którzy głosowali na PiS, uważa, że państwo i Kościół trzeba separować – dla dobra tego drugiego. W sumie o to chodzi w porządnym świeckim państwie. Jest w nim miejsce dla wszystkich, także dla wierzących.

Witold Gadomski napisał niedawno w „Wyborczej”, że awantura o Karola Wojtyłę to dla PiS-u polityczne złoto. Jarosław Kaczyński „kreuje się na jedyne go obrońcę Jana Pawła II, zmuszając opozycję do lawirowania”. – A ja myślę, że PiS tutaj przegrał. Że to machanie portretami papieża, te nade te opowieści, że trwa apokaliptyczna walka dobra ze złem, są po prostu niewiarygodne. Reakcje na reportaż TVN „Franciszkańska 3” pokazują, że wciąż jest nierozwiązany problem z kościelną pedofilią. Nasze stanowisko wygląda bardzo prosto: otworzmy kościelne archiwa i zadośćuczynimy ofiarom.

Najlepszym zadośćuczynieniem jest kasa. W USA pokazali, co robić. Kancelaria prawna gromadzi ofiary, składa wielomilionowy pozew zbiorowy, wygrywa proces, który wyjaśnia, co się wcześniej działo, po czym do kurii diecezjalnej jedzie komornik, spienięża kościelny majątek, wypłaca odszkodowania. To jest sprawiedliwość. – Zgadza się. Tylko dlaczego w Polsce tak nie ma? Bo politycy traktują Kościół jak jakieś państwo w państwie. Tchórzą przed nim po prostu. Sam pan widzi, że postulat świeckiego państwa to niby mało – a wiele. Świeckie państwo jest zresztą na dłuższą metę lepsze dla wierzących. Zapisywanie Jezusa do PiS-u tylko przyspieszyło lacyzację młodych, wypisywanie się z lekcji religii i tak dalej. To oczywiście i tak by się działo, ale biskup Marek Jędraszewski i jemu podobni wcisnęli gaz do dechy. Przegrali. To nie jest tylko moje zdanie, ale też wielu zaangażowanych katolików. Dojrzewa świadomość, że związanie Kościoła z władzą zaszkodziło wierze.

Pan się urodził w Danii. – W rodzinie emigranckiej. Ale w domu mówiło się po polsku. Nie mieszkalem tam długo. Wróciliśmy, gdy ciężko zachorował mój dziadek. Do podstawówki chodzi-

łem w Polsce. Dorastałem w czasach planu Balcerowicza, oczami dziecka widziałem, jak wszystko się rozjeżdżało, jak ludzie bez własnej winy łądowali na dnie. I myślę, że stąd się wzięła moja lewicowość. Wtedy w telewizji leciały transmisje z obrad Sejmu, moja babcia była ich wielką fanką, a ja tym jakoś nasiąkałem. Słuchałem Aleksandra Małachowskiego, Ryszarda Bugaja, Karola Modzelewskiego... Kiedy szedłem na studia, władzę brała akurat liberalna prawica – AWS i Unia Wolności. Próbowali zlikwidować bezpłatne studia wyższe, co by już kompletnie zamknęło dzieciom z biednych rodzin drogę do awansu. Mój chrzest bojowy to była organizacja studenckich demonstracji przeciw tej koncepcji. Udało się, zatrzymaliśmy wprowadzenie czesnego, a studiaienne na uniwersytetach nadal są bezpłatne. To był też czas, kiedy po wypadnięciu Unii Pracy z Sejmu pomyślałem sobie: czas pomóc.

Platforma w telewizji gardłowała o wspólnej liście, ale wcale jej nie chciała

Przypomnijmy młodszym: Unia Pracy miała być niebolszewicką lewicą – czymś ponad podziałami na postkomunę i post-„Solidarność”. Skończyła jako przystawka SLD w rządach Leszka Millera i Marka Belki. W Wikipedii można przeczytać, że w proteście przeciw liberalnej polityce tych rządów „doszło do poważnego rozłamu w młodzieżówce UP”. Pan i pańska dziewczyna Barbara Nowacka, córka posłanki UP, stworzyliście efemerydę: Młodzi Socjaliści. – Z partii odeszła wtedy cała organizacja młodych. Nie chcieliśmy żyrować bezsensownej wojny z Irakiem, antypracowniczej polityki rządu, który obniżał podatki milionerom, a starszej pani zamykał przed nosem bar mleczny. Spychanie kosztów przemian na biednych i brylowanie na galach Business Centre Club... Taka lewica – uważałem i uważam nadal – nie ma racji bytu. Miller zresztą jest dziś w praktyce politykiem Platformy. W Lewicy Razem by się nie odnalazł.

Ta wasza lewica... dziwna zbieranina. Mamy Włodzimierza Czarzastego i jego Nową Lewicę powstałą z resztek po SLD i z Wiosny Roberta Biedronia oraz Lewicę Razem, która tworzy z NL koalicję o krótszej nazwie: Lewica. Mówiąc po ludzku: stoicie na trzech nogach – postkomunistycznej, gejowskiej i tej pańskiej w odcieniu fioletu. – Lewicowi wyborcy są różnorodni i na tym jest oparta nasza koalicja – na szacunku dla tej różnorodności. Jest jednak wspólne jądro: stoimy po stronie pracy. Większość naszych wyborców to zatrudnieni – przyszli, obecni lub byli.

Podobnie jak wyborcy wszystkich innych partii. Mnie chodzi o to, że Adrian Zandberg – w debacie przed wyborami 2015 r. pierwszoplanowa gwiazda – całkiem się rozpuścił w tych licznych odmianach lewicy. Jest was z Czarzastym

i Biedroniem trzech, a o żadnym nie powiem: polityk z pierwszej ligi. – Nie zająłem się polityką po to, żeby gwiazdorzyć. Gwiazd, które mocno rozbłysły – i równie szybko znikły – było całkiem sporo. Palikot, Petru... Ich nie ma, a Razem, jak pan widzi, jest. I będzie, bo ma rolę do odegrania. Żeby Polska była krajem sprawiedliwym i demokratycznym, potrzebna jest prospołeczna lewica. Taka, która nie będzie kwiatkiem do neoliberalnego kożucha. I to mogę obiecać: nie będziemy wygodnym, potulnym koalicyjantem.

Może was nie zaproszą? – Zobaczymy. Chętnie weźmiemy współodpowiedzialność za Polskę, ale na sensownych, programowych warunkach. Zadbamy o pracowników.

Niech pan się nie rozpędza. Na razie z Robertem i Włodzimierzem macie w sumie około 10 proc. Zbadaliście, kto na was głosuje? – Prekariat i budżetówka. Problem mamy natomiast z geografią. Jesteśmy silni w dużych miastach, a ciągle słabsi w mniejszych. W Warszawie przysgniatająca większość głosów oddanych na Lewicę to były głosy na Razem, w Zagłębiu Dąbrowskim – odwrotnie: tam 80 proc. zebrali ludzie Czarzastego. Ale my też mamy propozycje dla mniejszych miejscowości, powoli się tam budujemy. W Kutnie Paulina Matysiak z Razem wywalczyła mandat. W Trzemesznie, w Bolechowie, gdzie udało się wygrać strajki, na Podbeskidziu, gdzie walczymy o sprawy pracowników branży auto-moto – tam ludzie widzą, jak krok po kroku budujemy naszą wiarygodność.

Udało się też parę rzeczy w Sejmie. Kiedy przyszedł COVID, wydrapaliśmy wsparcie dla osób na śmieciówkach. To była ważna sprawa i – nie ukrywam – jestem z tego dumny. Udało nam się ustawowo zapisać rozwiązanie, że jeśli firma dostaje pomoc na restrukturyzację, to ta kasa nie może zniknąć w kieszeni prezesa. Nie jest więc tak, że w opozycji można tylko jęczeć lub siedzieć na Zbawiksie i machać tęczową flagą...

Dobrze, że pan to wspomniał, bo ta sympatia lewicy dla ruchu LGBT jest ciekawą sprawą. Zdaniem konserwatystów geje i lesbijki są nowym proletariatem – ludzkim wehikulem, na którym współczesna lewica chce wieźć nas do „nowego, wspaniałego świata”. – To wielopoziomowa bzdura. Sprawa jest tymczasem prosta: kiedy władza szczuje na mniejszości, my będziemy ich bronić. Nie tchórzyc, kluczyć, asekurancko się chować jak niektórzy. Chcemy równego traktowania dla wszystkich – niczego więcej i niczego mniej!

Trochę się już powtarzamy, więc może skończmy z bazą, przejdźmy do nadbudowy. Jak pan ocenia politykę godnościową obecnego rządu? – Myślę, że ona się wypaliła i jest martwa w środku. „Żołnierze wyklęci” to najlepszy przykład. Te oprawy meczowe, biegi wilczymi tropami – to było jakoś tam buntownicze, prawdziwe około 10 lat temu. A teraz mamy w szkołach nudne akademie ku czci „Burych” i „Szarych”, na których dzieciaki przede wszystkim potwornie się nudzą. A co mądrzejsze wiedzą już, kogo władza wynosi na piedestał. Że każą im na przykład uczestniczyć w kulcie człowieka, który mordował białoruskie dzieci. To nie gra. Zresztą ci „leśni bohaterowie” pasują dzisiejszej prawicy tak jak świni siodło. Ci faceci przyssani do posad w spółkach skarbu państwa, te miliony dla krewnych, znajomych. Co to ma wspólnego z mitem romantycznego partyzanta? Ich patronem mógłby być raczej sekretarz podstawowej organizacji partyjnej rozdający po uważaniu talony na maluchy.

Lecz prawdą jest również, że PiS powiedział rodakom: nie mamy się czego

wstydić, nie jesteście brzydką panną bez posagu, jesteście dumnym narodem ze wspaniałą historią – należy nam się podziw.

– To, co PiS mówi o godności, to jest fałszywa odpowiedź na bardzo dobrze postawione pytanie: z czego możemy być dumni? I nie, tego się nie da opędzić czeladkowym orłem. Fajnopolski liberalizm w ogóle na tę potrzebę nie odpowiadał, bo alergicznie reagował na każdą wspólnotę. Ale nasza polska wspólnota ma wspaniałą historię! Z wielu jej epizodów możemy i powinniśmy być dumni! My w Razem jesteśmy. Z ludzi żyjących razem w wieloetnicznej, wielokulturowej Rzeczypospolitej. Z Polaków budujących pod zaborami spółdzielczość. Z rewolucji 1905 roku. Z Tadeusza Kościuszki i z Kazimierza Pużaka, z Lidii Ciołkoszowej i z Jacka Kuronia. I z tego, co się udało. Z naszych własnych sukcesów

dział ojczyzny najsilniejsze, czyli Niemcy i Francja.

Cała ta szarpanina w wykonaniu PiS-u jest zresztą strasznie pusta. Przypomina się Jakub Bojko. To był mądry ludowiec, który sto lat temu opisał dwie dusze polskiego chłopu pańszczyźnianego. Jak siedział ze swoimi w karczmie, to wygrażał panu pięścią. Jak szedł do dworu, pokornie giął czapkę w rękach, na wszystko się zgadzał. To jest wypisz, wymaluj Morawiecki. W TVP wygraża pięścią całemu kontynentowi, żąda reparacji od Niemiec, rozstawia sąsiadów po kątach, a potem jedzie do Brukseli i grzecznie podpisuje, co każą. Tak to się kończy, jak się nie umie znaleźć sojuszników. A PiS ich nie ma, poza Victorem Orbánem, o którym wiadomo, że zdradzi, gdy mu się to opłaci. Dlatego przegrywamy nawet w tych wypadkach, w których racja jest po naszej stronie.

Pomogliśmy i za to rząd nie usłyszy ode mnie złego słowa, przeciwnie. Zrobilibyśmy sąsiada, który walczy z imperialistyczną agresją. W tej sprawie polska lewica nawet przez chwilę nie miała wątpliwości. Pomoc humanitarna jest ważna. Dostawy, żeby Ukraina mogła się bronić, są ważne. Jednak wojna kiedyś się skończy. Dlatego dobrze, że zaczynamy rozmawiać o tym, co będzie po niej. Dla Kanadyjczyków czy Greków Ukraina to kraj na mapie, dla nas to sąsiad. I w naszym interesie jest to, żeby u sąsiada dało się godnie żyć. Dlatego powinniśmy naciskać na naszych zachodnich partnerów, by potrząsnęli sakiewką. Mają z czego pomóc. Ukraiński dług na Zachodzie powinien być umorzony, tak jak kiedyś umorzono polski. I trzeba też pilnować, żeby pieniądze na odbudowę nie przechwyciła garstka oligarchów. Żeby Ukraina przyjęła porządne standardy, jeśli chodzi o prawa pracowników, działanie administracji. Polska ma więcej do zyskania na stabilnym sąsiedztwie niż na tym, że paru naszych miliarderów zrobi tam interesy.

Ze zbożem głupio wyszło.

– Ono miało jechać w zaplombowanych wagonach do Afryki. I słusznie, bo tam jest potrzebne. Tyle że nie dojechało. Jedno z dwojga: albo transportem rządzą nieudacznicy, którzy nie umieli tego dopilnować, albo – to byłaby gorsza wersja – coś innego publicznie obiecano, a na coś innego się decydenci umówili. Jak było? Nie wiem. Natomiast pochwałę konkurencję, czyli PSL. Oni już w 2022 r. proponowali wprowadzenie kaucji na tranzyt.

To znaczy, że polski przewoźnik musiałby zdeponować tysiąc złotych od tony, odbierając towar, a odzyskiwałby kasę, gdy ziarno wypłynęłoby z portu.

– To był dobry pomysł, Lewica go poparła, ale PiS temat przespał. Teraz się przestraszyli – ich nerwowe ruchy mówią same za siebie. Podobno w ostatnich godzinach dosłownie coś tam wymyślili. Na pewno jednak rolnicy zdążyli się wkurzyć.

Tylko czy to jakkolwiek wpłynie na wybory?

– Też mam wątpliwości. Tym bardziej że większość polskiej wsi już dawno nie żyje z rolnictwa.

Czyli wiejskie poparcie dla PiS-u wcale nie musi spadać z powodu nadmiaru zboża, drogich nawozów i reszty...

– No właśnie.

Wyobraźmy sobie czas po wyborach. Wynik starcia między władzą i opozycją: w przybliżeniu remis. Mam pat. Jarosław Kaczyński proponuje wam koalicję – w imię utrzymania zdobyczy socjalnych, przeciwko liberalom. Daje wam

pięć ministerstw. Wchodzi pan w taki układ?

– Nie. Jarosław Kaczyński na własne życzenie zrobił wszystko, by nie mieć zdolności koalicyjnej z nikim. A czyścić w ławach opozycji mu się po prostu należy. Za aborcję, za ataki na prawa kobiet, za nieprzyzwoite zupełnie szczucie na wiele grup społecznych, wreszcie za robienie rynszotka z tak zwanych mediów publicznych.

No to inny scenariusz przy wspomnianym remisie wyborczym. Opozycja może skompletować większość, lecz tylko z Konfederacją. Lewica wejdzie do koalicji z Mentzenem i Bosakiem?

– Nie wejdziemy do rządu ze skrajną prawicą. Trochę dziwne, że takie pomysły w ogóle się wśród demokratów pojawiają. Konfederaci otwarcie mówią, że demokracją gardzą. To religijni fanatycy. Przypominam, że to oni doprowadzili do barbarzyńskiego zaostrzenia ustawy aborcyjnej. Ich podpisy widnieją pod wnioskiem do Trybunału w tej sprawie. I śmiesz mnie, kiedy słyszę: „Dobra, może i fanatycy, ale znają się na gospodarce”. Przecież to, co Mentzen i Korwin mówią o gospodarce, to żenada. Rozumiem, że taki towar może kupić piętnastolatek, ale jak czytam poważnych podobno publicystów wzdychających do tego bajdurzenia, to naprawdę ręce nie mają gdzie opadać. Konfederacja taka fajna, bo zlikwiduje podatki, zlikwiduje składki. Tylko z czego potem utrzymamy państwo? Rozwaliliby Polskę w mgnieniu oka. Nie byłoby na emerytury, na szkoły, na szpitale. Jak pana, odpukać w nie-malowane, dotknie rak, to chce pan płacić 200 tys. zł za leczenie? Chce pan, żeby ktoś, kto nie ma na lekarza, umierał pod plotem? Żeby starszyski bez emerytur żebrały na ulicach? To jest przyszłość, do jakiej doprowadziłaby Konfederacja. Jak ktoś chce zobaczyć efekty takiej gospodarki, niech jedzie do Somalii. My do tego ręki nie przyłożymy, już nie mówiąc o kwestii prorosyjskiej postawy konfederatów...

No to teraz scenariusz optymistyczny. PiS przegrywa. Przetrwą utratę władzy?

– Nie jestem tego pewien. Dziś spajają go głównie stanowiska, pieniądze i strach przed zmianą. To nie jest trwały fundament. Może za kilka lat na tym miejscu pojawi się formacja konserwatywno-prospołeczna, ale szanująca prawa człowieka i ład konstytucyjny. Może, nie wiem tego. Wtedy byłoby o czym rozmawiać – dziś nie ma.

Ten optymistyczny scenariusz byłby nawet prawdopodobny, gdybyście zdołali stworzyć cholerną wspólną listę.

– Wspólna lista byłaby skrajnie ryzykowna w trakcie kampanii wyborczej, ponieważ nie ma takiego zwierzęcia jak jeden anty-PiS. On jest zbiorem bardzo różnych wyborców o bardzo różnych, często przeciwnych, preferencjach. Powiem otwar-

Ci, którzy głosowali na PiS, po wyborach nie znikną. I ja chcę takiej Polski, gdzie jest dla nich miejsce

sów z ostatnich 30 lat – choć popełniliśmy w transformacji ciężkie błędy, było wiele niesprawiedliwości, one nas ciągle gryzą w tyłek. Lewica jest jednak po to, żeby ich nie powtarzać. Polska jest dzisiaj rozwiniętym krajem w Unii Europejskiej, który powinien rozmawiać z innymi państwami bez zbędnych kompleksów i bez lokajskiego podejścia, jakie miewała Platforma.

Jak to mówił Radosław Sikorski: robimy laskę Amerykanom i w dodatku za nic. Taka murzyńskość.

– A co PiS zrobił zamiast? Zaczął się szarpać z Brukselą zupełnie bez sensu, dla samego szarpania. Mamy kiepskie relacje ze wszystkimi, poza Ukrainą. I myślę, że w połowie przypadków rząd już sam zapomniał, o co się z kim pokłócił. Tak się nie nie załatwi. W Unii Europejskiej trzeba budować koalicje, to jest abecadło. Inaczej łądujesz na aucie. To samo dotyczy prawicowej alergii na pogłębienie integracji europejskiej. Silna Europa jest w naszym interesie, bo ludzi mieszkających w takich krajach jak Polska jest więcej niż Niemców. W federalnej Europie byłoby łatwiej walczyć o nasze interesy niż w Europie ojczyzn, którą z oczywistych względów rzą-

Jak w sprawie KPO.

– Polska w Unii znalazła się przez PiS na spalonym. I kosztuje nas to niestety grubo miliardy euro. Zresztą w kraju, na naszym podwórku, też już kręcą się w kółko. Parę lat temu PiS faktycznie miał dla ludzi nowe propozycje. Teraz tylko straszy. A w tle kręcą się spoceni faceci, którzy zgarniają szybko, w ostatniej chwili jak najwięcej kasy. Wypełził cały zastęp panów Mejzów i mają się świetnie. Oczywiście będą przykrywać ten proceder, wymachując portretami papieża albo gardlując o robakach, które zła Unia wsypie nam podstępnie na talerze. Ale to już – zobaczy pan – nie zagra.

Polityka przeżenia muskułów ma jednak pewne blaski. Przyleciał do nas Wołodimir Zełenski, wcześniej się zjawiał Joe Biden, przelatując – jak powtarzała do znudzenia TVP – nad Francją i Niemcami. Propaganda głosi, że zaraz będziemy pierwszą armią lądową Europy, że w europejskiej polityce bez Polski dziś ani rusz, że ciężar się przenosi z Berlina do Warszawy.

– Nie lubię tych wielkich słów. Fakt, że jesteśmy w takim miejscu na mapie, iż bez nas byłoby krucho z dostawami sprzętu.

OGŁOSZENIE

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



34243576

WYBORCZA.PL/JEDNAPLANETAJEDNOZYCIE

Mniej demografii, więcej słońca. Jak spać „dzieciowy” biznes?

#jednaplaneta
jednożycie
energia

ORGANIZATOR:

wyborcza.biz

PARTNER:



cie: nie chce mi się o tej jednej liście już nawet gadać. Straciliśmy wszyscy rok czasu, chociaż liderzy wiedzieli, że listy nie będzie. Marnowanie uwagi ludzi – zamiast mówić o problemach z pracą, mieszkaniem, socjalnym bezpieczeństwem...

Jednak aby wprowadzić pańskie koncepcje mieszkaniowe, trzeba wygrać wybory. Wspólna lista premiuje... i tak dalej.
– Niekoniecznie. Taka lista to potężne ryzyko, że ludzie, którzy nie przełkną na niej albo Tuska, albo Zandberga, pozostaną w domach. A wtedy wygrywa PiS. Wszyscy na Wiejskiej to wiedzą. Zresztą ci, którzy w studiach telewizyjnych najgłośniej o wspólnej liście gardłowali, sami jej nie chcieli.

Ma pan na myśli Platformę.
– Tak. To było tylko legendowanie siebie. Po to, żeby później mówić elektoratowi: kochani, oni z nami nie poszli, wybierzcie najsilniejszego.

Dlaczego nie poszliście?
– Pan mnie jednak mężczy. Z różnych powodów. Kosiniak jak ognia boi się stanąć na jednym obrazku z Lewicą.

Nie chce być już „tęczowym Władkiem”.
– Konserwatywni liberalowie z PO też Lewicy nie cierpią. Nie pan jeden zdecydowanie przecenia jednoczącą siłę antypolskiej emocji. A ludzie są przecież różni. Wielkomiejski prekariusz, który głosu-

Ostatnio przebąkuje, że się przylączy do PiS. Pan liczy, że władza wpadnie wam w ręce nawet przy trzech, czterech listach. Ja bym na to nie stawiał.
– Wszystko będzie zależeć od mobilizacji w dniu wyborów, to jasne. Ale PiS strukturalnie słabnie. Naprawdę pan tego nie widzi?

Jakoś niespecjalnie. Od lat ma wynik ponad 35 proc.
– I największe poparcie pośród wyborców po 60. roku życia. Młodszy go nie chcą. Demografia ma oczywiste konsekwencje.

Pan jest chyba słaby z matmy. W miejsce zmarłych wchodzi nowi seniorzy. Starzych nam nie ubywa.
– I sądzi pan, że ci młodszy, wcześniej wyborcy Lewicy albo Hołowni, nagle po sześćdziesiątce przerzucą się na Kaczorę?

W latach 80. malowałem kościoły. W powszedni dzień w ławkach siedziały same babcie. Teraz jest podobnie, tylko dzisiejsze babcie w moich czasach malarskich szalały na dyskotekach. Pęd do Kościoła narasta wraz z lękiem przed śmiercią i na tym korzysta PiS.
– Te „babcie” jedne są w PiS-ie, inne w KOD-zie. A wcześniej po kościele głośno na Aleksandra Kwaśniewskiego. Więc wszystko nie jest takie proste, zero-jedynkowe. Możemy sobie dywagować, lecz jedno wydaje się pewne: kluczowa będzie mobilizacja.

W porządnym świeckim państwie chodzi o to, by było miejsce dla wszystkich, także dla wierzących

je na Razem, dostał po tyłku za rządów PO. Żył na śmieciówkach, a władza radziła mu „zmienić pracę, wziąć kredyt”. Oczywiście, że ma dość PiS-u, ale zapewniam: Tuska nie pokocha.

To uporczywe gadanie o wspólnej liście tylko wszystkim szkodzi. Jeszcze nie ma wyborów, a już jest „porażka opozycji”. Bo się nie dogadali, ale są beznadziejni! Uprzejmie informuję szanownych publicystów, że właśnie takimi tekstami się demobilizuje opozycyjnych wyborców.

Moim zmartwieniem nie jest dziś taka czy owaka lista, tylko to, żeby polski pracownik miał po co pójść na wybory. I dlatego z uporem będę mówić: program! Położyliśmy na stole krótszy tydzień pracy – dla wszystkich, nie tylko dla wybranych. Chcemy wzmocnić pozycję pracowników w negocjacjach zbiorowych. Dziś w Polsce, kraju „Solidarności”, prawo jest takie, że trudno zastrajkować. Ludzi zakładających związki zawodowe wyrzuca się z roboty pod fałszywymi zarzutami. Idą do sądu pracy, czekają tam na wyrok rok albo dwa lata. Wygrywają, tylko co z tego, skoro związek w tym zakładzie został już zniszczony? Nieuczciwemu pracodawcy zwyczajnie się opłaca wyrzucić związkowca. My mamy rozwiązanie: na zwolnienie chronionego pracownika musi dać zgodę sąd. Projekt Maćka Koniecznego i Agi Dżianowicz poparła komisja sejmowa, ale PiS go ciągle nie poddał pod plenarne głosowanie. To tyle w sprawie prospołeczności rządu.

I jeśli opozycja nie wygra wyborów, będziecie tak dalej czekać na łaskę PiS-u. Bez szans na powodzenie. Bliższy mu Paweł Kukiz osiem lat czeka ze swymi postulatami – i się nie może doczekać.

Jak zmobilizujecie swoich?
– Jeździmy po Polsce i pokazujemy ludziom, co zamierzamy zrobić. Chcemy skrócić czas pracy, więc pokazujemy gotową ustawę. Chcemy budować mieszkania, pokazujemy, jak to zrobiliśmy we Wrocławiu, gdzie wiceprezydent z Lewicy przekonał samorząd i już rośnie osiedle domów komunalnych. To ludzi bardziej interesuje niż taka czy inna lista.

To wszystko hasła pod młodych. Seniorzy nie pracują i zwykle mają gdzie mieszkać.
– Lecz mają inne problemy. Ubóstwo w Polsce ma dziś twarz starszej kobiety, zwykle wdowy. Lewica ma rozwiązania, z których jednym jest wdowia renta. Kluczowe jednak – powtórzę – musi być podniesienie płac. Drożyzna szczególnie mocno uderzyła w budżetówkę. Ludzie pracujący dla państwa i samorządu, ludzie, którzy powinni otaczać obywateli opieką – sami nie mają życiowej stabilności. Więc jak mają tworzyć sprawne państwo, kiedy zarabiają blisko minimalnej? ●

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę*

2.

Fragmentu książki „Ludzie Kremla nad Wisłą. Ideowcy czy zdrajcy?”
Nikołaja Iwanowa



*Zbiorowy portret Polaka komunisty
– odpowiedź na jedno z najtrudniejszych i najbardziej niewygodnych pytań w polskiej historii.
Tysiące Polaków umacniało z uporem
władzę imperium Stalina w Związku Radzieckim
i władzę ludową w Polsce. Kim byli ci szeregowi
komuniści i ich przywódcy?*

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Ludzie Kremla nad Wisłą. Ideowcy czy zdrajcy?”
Nikołaja Iwanowa oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

NILKW23

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywować dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytać na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 15.04.2023 r. do 16.04.2023 r.

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

FOT. ŁUKASZ GIZA / AGENCJA WYBORCZA.PL

LEPIEJ SPŁONAĆ, NIŻ ZBLAKNAĆ

Plemię canceli kontra plemię inceli. Zaorać lewaka kontra zaorać prawaka.
Algorytmy internetowe robią resztę i paranoja się nakręca

Z REŻYSEREM **JANEM KLATĄ*** ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**



* Jan Kłata

• ur. 1973 r., jeden z najwybitniejszych polskich twórców teatralnych, laureat kilkudziesięciu polskich i zagranicznych nagród teatralnych, m.in. Nagrody im. Konrada Swinarskiego i Europejskiej Nagrody Teatralnej. Jego spektakle prezentowane były na Festiwalu Jesiennym w Paryżu, Olimpiadzie Teatralnej w Petersburgu i Biennale w Wenecji. Za kilka tygodni odbędzie się pokaz „Trojanek” Eurypidesa z Teatru Wybrzeże w Gdańsku na Olimpiadzie Teatralnej w Budapeszcie. Jest ojcem trzech córek i mężem Justyny Łagowskiej, scenografki i reżyserki.

O! Kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy ze sobą 10 lat temu, przyszedł pan na spotkanie w tym samym futrze.

– Mam też dużo innych przyrodziewków. Ten mi służy, jest z recyklingu i ładnie lysieje. A to jest ważne, żeby w życiu dobrze lysieć.

Dekadę temu uchodziło chodzić w futrach, lecz czasy definitywnie się zmieniły. Nie wyrzucę żrebaka na śmietnik tylko dlatego, że czasy się zmieniły. Ale oczywiście to jest nie do pomyślenia dla moich córek, by zakładać futra. One nie noszą, jednak innym nie zabraniają. Wydaje mi się, że to powinno być ponadczasowe podejście.

To widzę, że od razu zaczynamy.

– Nie? Proszę bardzo, mogę nie mówić o moim szorstkim postrzeganiu świata. Pani ma jakiś inny plan na tę rozmowę?

Niekoniecznie. Sądziłam, że zacznę od życzeń, bo dopiero co skończył pan 50 lat, a potem zapytam, czy czuje się pan dziadersem.

– A to nie jest dyskryminujący ageizm? Jakie są feminatywne słowa „dziaders”?

Dziaderska, dziadersczyni?

– Nie. Pytałem o to moją córkę Jadwigę. Babers. A jaki jest feminatyw od słowa „przemocowiec”, bo do tego chyba też zaraz dojdziemy.

Przemocowczyni?

– A słyszała pani taki wyraz? Może najwyższy czas, żebyśmy go również zaczęli używać. Ograniczanie poszukiwań przemocy do niecałej połowy społeczeństwa jest, delikatnie mówiąc, naiwnością. Tak jak myślenie, że jak prezydentem przestanie być Andrzej Duda, mężczyzna, a prezydentką zacznie być Beata Szydło, to będzie lepiej, bo to kobieta. Pozwolę sobie na ryzykownie kontrowersyjne przypuszczenie, że może nie całe zło tego świata jest związane z plcią rządzących.

A nie?

– (*śmiej*) Być może niezbyt sensowna jest dość popularna w niektórych kręgach teza, że obecni przedstawiciele grup, które sprawowały władzę przez tysiące lat, powinni być teraz szykanowani. Przepraszam bardzo, ale ja ze sprawującym władzę Bolesławem Krzywoustym, reprezentantem patriarchatu, nie poczuwam się do żadnej solidarności. Domyślam się, że współczesne kobiety czują się odpowiedzialne za Elżbietę Batory?

Ona akurat była kobietą uprzywilejowaną i seryjną morderczynią wszech czasów, a pan uprawia demagogię.

– Proszę pani, moje córki są najmłodszymi czarnymi pasami w kraju, jedna z nich jest czempionką brazylijskiego dżiu-dżitsu – gdybym nie był feministą, spuściliby mi niezłe manto. Oczywiście, że „Woman Is the Nigger of the World”. Pytanie, jak konstruktywnie świat zmieniać, żeby ludzie płci wszelakiej wyciągali sensowne wnioski z mrocznej przeszłości. Naturalnie mogę się mylić, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że świat nie będzie mądrzejszy, jak zamienimy „habemus papam” na „habemus mamam”. Czy jeśli inkwizycja rodzaju męskiego zastąpiona zostanie przez inkwizycję rodzaju żeńskiego, to będzie sprawiedliwiej?

„Sprawowaliście władzę przez tysiące lat, to teraz zobaczycie, jak my na was tysiące lat będziemy się mścić?” – nie jest to hasło szczególnie płodne intelektualnie.

Wiem, że pan reżyserował w Szwecji spektakl „Marat/Sade”, ale to nie powód, by nie wierzyć w ideały rewolucji.

– W rewolucji nader często skrywa się marzenie o tym, żeby dojść do władzy i wędług ponadczasowej zasady „teraz, kurwa, my” zemścić się za wszystkie krzywdy, które mnie spotkały.

Doceniam pana brawurę, ale jednak patriarchat nas, kobiety, gnoil. I czas się z nim rozliczyć.

– Tak, gnoil, gnoil nikczemnie i haniebnie. Rozumiem, że odpowiedzią jest matriarchat?

Nie, odpowiedzią jest równość.

– No właśnie, równość, to znaczy, że nikogo nie prześladowamy, nawet jeśli zdarzyło mu się – nie z własnej winy – być mężczyzną. Nikogo nie dyskryminujemy ze względu na płeć i wiek, à propos dziaderstwa.

À propos, pan nie odpowiedział na moje pytanie, ale mam jeszcze inne w zapasie.

– Ja też. W dniu moich urodzin mieliśmy próbę wznowieniową i spektakl „Trojanek” Eurypidesa. I sześciolatek Kajetan, który pierwszy raz grał składanego w ofierze Astyanaksa, syna Andromachy i Hektora, na dzień dobry zapytał mnie w kulisach: „A czy ty będziesz dobrą, czy złą postacią?”. Oto najważniejsze pytanie, z jakim musiałem się w ostatnim czasie zmierzyć.

Wydawać by się mogło, że w tym wieku fundamentalne jest pytanie o frustrację, kryzys wieku średniego i tym podobne historie.

– Nie, nie jestem sfrustrowany, jestem dorosły. Staje się podejrzanie wręcz pogodny, a kryzys wieku średniego już przeszedłem z mocnym wyprzedzeniem. I wbrew najmodniejszym tendencjom nie przetrząsam swojego życiorysu w poszukiwaniu osób, które mnie skrzywdziły. Pielęgnuję w sobie, niezwykle przekornie, poczucie wdzięczności, często paradoksalne.

Na przykład wobec kogo?

– Na przykład wobec Krystiana Lupy. Albo Mikołaja Grabowskiego, który wie-le lat temu postawił mi dwóję w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krako-

wie. Z Czechowa, zdaje się. Wtedy myślałem, że dostałem pałę, bo jego sposób myślenia jest skostniały, że mści się na mnie, bo się przeniósłem z Warszawy i tak dalej, ale kilka lat później doszedłem do wniosku, że on miał rację. Bo on wiedział, czym jest prawdziwy teatr, a ja tego nie wiedziałem. A nie miałem w sobie wystarczająco dużo pokory, żeby odrzucić pewne różnice estetyczne i generacyjne między nami.

Czy dziś walka pokoleń nie zastępuje walki klasowej?

– Coś w tym jest, jednak mnie się to wydaje prawdą tylko i wyłącznie w ramach wielkomiejskiego lewicowo-liberalnego środowiska.

Jeśli ktoś może sobie pozwolić na walkę pokoleń i się jej z pasją godną lepszej sprawy poświęca, to również dlatego, że ma na to pieniądze od rodziców.

Przepraszam, to, co powiedziałem, jest straszne? Przejmuję się tym jak Mick Jagger wigilijnym wpisem Krystyny Pawłowicz.

Sądząc po pani minie, czeka mnie ban i cancel w mediach społecznościowych. Będzie gównoburza na Fejsie z uwagi na naruszenie tabu jakiegoś -izmu.

Nie życzę panu tego w każdym razie. A skoro o Czechowie pan wspomniał, to o strzelbie, która wisi na haku, musimy też pogadać.

– To jest dwururka. Ma dwa cyngle. Cyngiel z prawej strony jakoś tak ma, że chce się nim pociągnąć jak najszybciej. Jeżeli chodzi o lewy cyngiel, to jego skuteczność polega nie na tym, żeby go nacisnąć, tylko żeby gonić króliczka. Więc ta strzelba jeszcze powisi, zwłaszcza że nabita jest mokrymi kapiszonami.

Zaskakująco pan teraz obrywa od środowisk progresywnych. W kuluarach, dodam.

– Czy Polakom wolno tańczyć latynoamerykańskie tańce? Oto performatywny problem na miarę ćwierćwiecza! Tzw. środowisko staje się coraz bardziej infantylnie agresywne wobec każdego, kto nie zakłada ideologicznego gorsetu, nader często dość bezmyślnie importowanego. A mnie akurat gorset uwiera, chociaż generalnie wydaje się, że ideologiczny gorset pomaga w życiu, zwłaszcza jeśli się go z odpowiednim wyprzedzeniem zmieni na modniejszy. Pomaga w karierze, ale bardzo szkodzi na głowę, przede wszystkim artystom, ponieważ powoduje, że sztuka, której strumień przez człowieka przepływa, przestaje być sztuką, a staje się propagandową agitką. Czy to jest agitka prawicowa, czy lewicowa, to tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Efekty są zadziwiająco podobne pod względem artystycznym. Podobnie nieudane, choć oczywiście recenzje będą dobre, zwłaszcza kiedy recenzent jest jednocześnie dramaturgiem spektaklu.

Nie każda ideologizacja jest nieetyczna.

– Nie powiedziałem, że każda ideologizacja jest nieetyczna. Powiedziałem, że ideologizacja sztuki ją zabija.

Czy artysta nie powinien stanąć po stronie etyki, czyli tej ideologii, która jest etyczna? Przecież nie da się oddzielić etyki od ideologii i sztuki od etyki.

– Przepraszam bardzo, pani uważa, że lewicowy nurt jest z założenia etyczny, a prawicowy nieetyczny? Przecież to jest nieprawda. Często mamy do czynienia z obłudną monokulturą. Deklaruje się inkluzywność i afirmację, a praktykuje cenzurę i wykluczanie.

Jeśli ktoś może sobie pozwolić na walkę pokoleń i się jej z pasją godną lepszej sprawy poświęca, to również dlatego, że ma na to pieniądze od rodziców

Zaroilo się od poszukiwaczy myślozbrodni przeczesujących internet w poszukiwaniu lupu.

Nie mam ochoty funkcjonować w ramach określonego sztywno zestawu poglądów na świat, który z jednej strony zapewnia mi głębokie przekonanie o mojej wyższości w stosunku do wszystkich spoza mego stada, a z drugiej zapobiegliwie chroni mnie przed herezją, która, jak wiadomo, jest najgorsza. I dotyczy to każdego Kościoła. I tego prawicowego Kościoła, i tego lewicowego. Ja nie wyję w stadzie. Moim podwójnym rozczarowaniem ostatnich lat jest Kościół i część środowisk lewicowych.

Kościół, wiadomo, ale czemu lewica?

– PiS przez odwieczne siedem lat rządów wyciągnął z ludzi to, co najgorsze, ale wyciągnął zarówno z prawicy, jak i z lewicy. Część opiniotwórczej lewicy zobaczyła, że można bezkarnie ludzi odstrzeliwać. W imię moralnej wyższości strażników ortodoksji wznieca się gównoburze na temat Andrzeja Stasiuka, Ziemowita Szczerka, Olgi Tokarczuk. Gumkuje się myślozbrodniarzy w ramach kolejnych ataków moralnej paniki. I teraz każdy lewicowy i prawicowy aktywista klawiatury heroicznie cierpi na pluszowym krzyżu, ujeżdżając konika ulubionego -izmu oraz -ingu. Satanizm w teatrze kontra fat shaming na basenie. Jedni cierpią z powodu tego, że ich wartości zostały obrażone, drudzy cierpią z powodu tego, że inne wartości zostały obrażone itd. Kluczowa jest tu kategoria „obrazy”. Poczuliem się obrażony tym spektaklem, tą wypowiedzią, tym filmem, tą piosenką, tym wierszem, tym człowiekiem. W związku z tym co trzeba zrobić? Wygumkować, zabronić, wykazać się rewolucyjną czujnością, zrobić

spektakularny shitstorm i zniszczyć. A rzeczy, które obrażają różnych ludzi, jest nieskończenie dużo. Dlatego istoty *Homo sapiens* gromadzą się w stada, żeby ustalić, co będą gumkować w ramach tego obrażania. I problem znika.

Żeby było miło. W życiu przecież z założenia ma być miło, przyjemnie, ujetnie, komfortowo, czyż nie?

Chciałabym.

– Pozwalam sobie zauważyć generalną niechęć do rzetelnego, żmudnego ogarniania świata przez ludzi do tego powołanych, czyli przedstawicieli polskiej inteligencji. W uczciwej rozmowie próbuję zrozumieć argumentację drugiej strony, następnie staram się powtórzyć tę argumentację, zapytać, czy dobrze zrozumiałem, a potem dopiero mówię, z czym się nie zgadzam. Na tym polega sztuka logicznego myślenia. A to jest już właściwie u rzesz polskiej inteligencji różnej maści niespotykane. Przeciwnika trzeba skancelować, nie trzeba i nie wolno z nim uczciwie dyskutować, jako że jest przeciwnikiem. Nie zadaję sobie trudu zrozumienia czyjegoś poglądu, skoro jego poglądy mnie obrażają. A zatem ma ich nie być i tego człowieka też ma nie być.

Plemię canceli kontra plemię inceli. Zaorać lewaka kontra zaorać prawaka. Algorytmy internetowe robią resztę – i paranoja się nakręca.

Nie sprawdzamy już mocy swoich poglądów w konfrontacji z poglądami innych, nie poddajemy ich próbie, bo to wymagałoby wyjścia poza naszą strefę komfortu.

Jeśli jestem skonfrontowany z czymś, co nie mieści się w ramach mojej ujetności, to budzi mój niepokój, a zaraz po nim jest już agresja. A przecież nie powinienem czuć niepokoju, nikt nie powinien czuć niepokoju, bo wszyscy powinni się czuć tak ujetnie jak ja. Skoro jednak ktoś wychodzi poza moją ujetność, to zadaje i mnie jakieś pytanie. I może się okazać, że moja ujetność nie jest znowu taka ujetna?

Sądzi pan, że o ujetność idzie, kiedy zamykamy się w bańkach?

– I o wskazywanie wroga, który nas w tych bańkach zjednoczy. W internecie, dodajmy, co jest paranoiczne, zwłaszcza w środowisku teatralnym, bo z zasady to, co robimy, jest ucieczką od internetowego zapośredniczenia. Przecież teatr polega na tym, że dosłownie wychodzi się ze swojej banieczki po to, żeby się skonfrontować z żywymi ludźmi, którzy przez półtorej czy trzy godziny grają i performują dla nas. Wcielają się w postaci, które nie zawsze są tak bardzo światłe i godne pochwały jak my, czasem te postaci teatralne są mordercami, gwałcicielami, zachowują się przemocowo, nie wszystkie postaci są wyrazicielami poglądów autora, reżysera czy aktorów. Eureka? Teatr jest spotkaniem, a nie nawałanką za pomocą kciuków. Teatralnej rewolucji nie przeprowadza się na Facebooku. Rewolucję teatralną przeprowadza się na scenie spektaklami, które są ciekawsze, lepsze od tych, które były dotychczas, które nam się nie podobają, z którymi uczciwie rywalizujemy. Nie zabraniaj innym, zrób swoje lepiej! Moi studenci reżyserii to rozumieją, a część pedagogów nie.

Czy to nie jest iluzja, że spotykamy się w teatrze poza swoją bańką?

– Zależy od władz miasta, nieprawdaż? Podzielę się niepopularną tezą, że ludzie teatru nie są po to, żeby miło spędzać czas w ramach etatu, tylko po to, żeby robić możliwie jak najczęściej grane fascynujące spektakle, na które możliwie licznie przychodzą „osoby widzkie”. Te „osoby widzkie” mogą się z tym zgadzać albo nie zgadzać, mogą być oburzone, nieoburzone, ale przynajmniej winny otrzymać jakąś artystyczną wypowiedź, z którą mogą się, przepraszam bardzo, skonfrontować. I za to „osoby podatnicze” placą naszej branży ciężko zarobione pieniądze.

Prowadziłem jakiś czas temu zajęcia ze studentami Uniwersytetu Jagiellońskiego, teraz prowadzę zajęcia ze studentami reży-

serii na Akademii Teatralnej w Warszawie. I dostrzegam u ludzi o pokolenie ode mnie młodszych głębokie zrozumienie dla wartości, które wyznają w teatrze. Że warto jest zajmować się w teatrze tekstami, które są mądrzejsze od nas. Że warto jest rzeczywiście zadawać sobie trud zrozumienia tych tekstów po to, żeby je zinterpretować. Że aktor może grać kogoś innego niż on sam, jakąś postać, dajmy na to. Szokujące, nieprawdaż? Monokultura jest zabójcza, dla intelektu również.

Ale są dzieła, które nie przystają do dzisiejszej wrażliwości. Albo ich przemocowi twórcy.

– Najpierw może o dziełach: trzeba się z nimi konfrontować, podejmować wyzwanie, wyciągać wnioski na życie. Ryszard Koziołek niedawno pięknie pisał o tym na łamach „Wyborczej”. Nie chować głowy w piasek. To oczywista oczywistość na gruncie teatru, który od czasu Ajschylosa służył jako narzędzie krytycznego namysłu zbiorowości nad sobą. Inaczej będziemy wyznawcami zasady: słucz termometr, to nie będzie gorączki. Teraz o twórcach: Max Scheler zapytany przez studentów, dlaczego sam nie stosuje się do zasad etycznych, które głosi, odpowiedział: „Czy widzieliście drogowskaz, który kroczy drogą, którą wskazuje?”. Jeśli będziemy czepiać się twórców za to, że nie są dobrymi ludźmi, to pozostaje nam tylko jeden człowiek teatru, ideał, którego dzieła powinniśmy wystawiać i za którego myślą powinniśmy podążać – oczywiście również wielki aktor, poeta i dramatopisarz Karol Wojtyła, który w przeciwieństwie do Romana Polańskiego jest święty, w przeciwieństwie do Susan Sontag mył zęby, w przeciwieństwie do Francisa Bacona nie był nałogowym hazardzistą, w przeciwieństwie do Caravaggia nie był mordercą i w przeciwieństwie do Dostojewskiego nic nie ma wspólnego z pedo... Oj, wróć! Wróćmy z nieba na ziemię: cenzurowanie „Umarłej klasy” pod kątem tego, czy Tadeusz Kantor był prywatnie miły, czy niemiły, nie ma sensu.

Muszę zapytać dlaczego?

– Ludziom nie wolno odbierać możliwości refleksji nad światem i nad sobą samym za pomocą arcydzieł, które zostały stworzone przez strumień piękności. Możemy wsadzić Polańskiego do pierdła, ale odpieprzmy się od „Chinatown”. Tuż przed COVID-em pojechałem do Neapolu pochodzić śladami Gesualda de Venosy, jednego z najbardziej progresywnych, ekscentrycznych i genialnych kompozytorów w dziejach muzyki. Byłem na placu przed rodową siedzibą, do której Gesualdo chytrze przed czasem powrócił z siepaczami z wyprawy myśliwskiej specjalnie po to, żeby dopaść małżonkę oraz jej kochanka na gorącym uczynku w swoim małżeńskim łóżu. Następnie znienacka wpadł do sypialni, wziął topór i wspólnie z pacholkami poćwiartował oboje. Wywleczono potem zmasakrowane resztki na plac i tak zostawiono ku przestrodze. Zebrał się gapie, jeden z nich, mnich dominikański bodajże, wysiusiał się na zwłoki. Odbył się praworządny proces i Gesualdo został uniewinniony, ponieważ działał w afekcie.

Czy w związku z tą niewątpliwie przemocową historią mam już nie słuchać wspólniałych madrygałów Gesualda? Muzyki na Wielki Tydzień, w nieprawdopodobny sposób pokazującej nutę cierpienia, na przykład w wykonaniu Graindelavoix? Może ja się nie znam na muzyce, ale Strawiński chyba się znał i był Gesualdem zafascynowany. Herzog zrobił świetny film dokumentalny, ale Herzoga oczywiście również trzeba skancelować, bo jest przemocowcem i po co w ogóle tego „Aguirre” czy innego „Fitzcarralda” oglądać, skoro reżyser na planie podnosił głos na współpracowników.

Istnieje różnica pomiędzy człowiekiem, który z natury jest omylny, targany nie zawsze pozytywnymi emocjami i stara się opanowywać swoje zło za pomocą sztuki, a tą sztuką właśnie.

Czy ja mogę panu zadać samobójcze pytanie?

– Ależ bardzo proszę.

Jest pan przemocowcem?

– Zaraz zajmę się nieznosną nieostrością terminu „przemocowiec”, lecz najpierw się zwierzę, że jestem wobec siebie bardzo krytyczny, wiele od siebie wymagam, również na polu pracy nad sobą. Wymagam od innych, bo wymagam od siebie. Zdaję sobie sprawę z tego, że tkwi we mnie przemoc, lecz nie wykorzystuję jej do niszczenia innych. Jednak są ludzie, którzy myszkują po życiorysach, dzwonią po aktorach i pytają.

Pytają aktorów, czy Kłata jest przemocowcem?

– Takie mają niewinne hobby najwidoczniej. A to jest pojęcie, które może określać wszystko. Magiczna abrakadabra, za pomocą której można kogoś zniknąć, kogoś z jakiegoś powodu niewygodnego. Takie pojęcia jak „mobbing” są uchwytne, funkcjo-

Możemy wsadzić Polańskiego do pierdła, ale odpieprzmy się od „Chinatown”

nują w systemie prawnym i kiedy spotykamy się z długotrwałym, uporczywym nękanieniem, to trzeba działać. Natomiast „przemoc” jest nieokreślona. Dla kogoś jednego nie jest przemocą coś, co jest nią dla kogoś innego. Mój spektakl może być niezwykle przemocowy...

...uściślmy, że chodzi o „Act of Killing”.

– Dla niektórych ten, a dla innych jakiś inny, choćby „Utwór o Matce i Ojczyźnie”. Bo kryteria się zmieniają, chodzi o to, kto dzierży władzę sądzenia. „Transfer” może być przemocowy dla części widzów, którzy nie chcą słuchać opowieści Hanne-Lore Pretzsch z dzieciństwa o tym, jak jej matka i ciotka były zbiorowo gwałcone przez rosyjskich żołnierzy, a ona leżała pod łóżkiem. „To jest straszna przemoc. Dlaczego mam tego słuchać? To narusza mój poziom komfortu. Czuję się zgwałcona”, powie ktoś. Inny powie, że nie chce słuchać opowieści tej Niemry, bo im się należało.

Chyba nikt już tak teraz nie powie.

– Kiedy graliśmy w Moskwie, to młode dziewczyny wychodziły. Niektóre krzyczały: „Mam się litować nad tą Niemrą, a co oni robili mojej babci?”. Kontekst jest wszystkim.

Dlatego dziecinnością jest mówienie o tym, że oto zlikwidujemy przemoc. Nie lekceważę tego, że ludzie, którzy mają władzę nad innymi, mają tendencję do nadużywania władzy. W tym sensie dyskusja o przemocy, zwłaszcza wobec tych, którzy są na nią najbardziej narażeni, jest bardzo zasadna. I każdy, absolutnie każdy powinien wyciągnąć dla siebie krytyczne wnioski z tej dyskusji. Czasem wnioski powinien wyciągnąć prokurator. Natomiast nie można używać znacząco szeptanego określenia „przemocowiec” jako pały na tych, których się po prostu z jakichś powodów nie lubi i których się chce wykończyć.

Mówimy o przemocy wynikającej z hierarchii.

– Tam, gdzie jest zbiorowość, zawsze jest jakaś hierarchia, nawet jeśli hierarchowie udają, że jej nie ma. Ludzie zdają matury, potem kończą studia i opowiadają o tym, że z hierarchią należy skończyć, bo kiedy skończymy z hierarchią, skończy się przemoc. Nie. Jestem zwolennikiem merytokracji.

Jeśli nie stworzymy hierarchii merytorycznej, hierarchią będzie ten, kto najgłośniej wrzeszczy.

I nie jest wykluczone, że wrzeszczy na zasadzie: łapaj złodzieja. Jeśli hierarchia

jest tworzona na zasadach merytorycznych, znajduje sposoby na opanowanie przemocy. Proste.

A kolektywne zarządzanie?

– Trzymam kciuki za duet Strzepka/Mrozek w stołecznym Teatrze Dramatycznym. Będę trzymał przez pięć lat, jako że jestem długodystansowcem.

Teraz odpowiem nieco bardziej ogólnie: polecam książki René Girarda. To bardzo mądry, niekonformistyczny myśliciel zajmujący się tematem kontroli przemocy. Natomiast dyskusja w środowisku jest na takim poziomie, że każda hierarchia jest be, każdy kolektyw super, bo przecież praktyka zarządzania czymkolwiek jednoznacznie wskazuje na to, że im więcej osób decyduje w ramach organizacji, tym lepiej, gdyż odbywa się wtedy kuratorskie zarządzanie procesem.

Dziś, kiedy reżyser mówi aktorowi, z której strony postać ma wejść na scenę, to już jest akt przemocy. Tak napisał pewien za-

cny profesor na szacownych łamach. Na takiej zasadzie przemocowe jest absolutnie wszystko. Najbardziej przemocowy jest budzik rano.

Doznałam tego dziś, jadąc do pana.

– A był alert RCB: nie wychodzić z domu, bo niebezpiecznie wieje. Po co w ogóle wychodzić z domu? Czy nie lepiej posiedzieć w przyjemnym ciepłku?

No nie wiem, ogrzewanie jest drogie, oszczędzamy.

– Wszystko podróżowało, ale zostały jeszcze kieszonki. Są dobre na zawiść, odkwaszają. Korzystnie wpływają na głowę w przeciwieństwie do mediów „społecznościowych”.

Mówimy o ciepłku, a pan nagle wyskakuje z zawiścią.

– Rozmawialiśmy też o gumkowaniu, bo to jest narzędzie, które pozwala mi wykończyć tego, komu zazdroszczę. Wykończyć tego, kto jest ode mnie lepszy na jakimś polu. Ewentualnie lepiej zarabia. A zawiść niszczy człowieka, choć akurat niekoniecznie tego, przeciwko któremu jest skierowana.

O pana zarobkach też mówią w kulturalnych kłopotach.

– Pani naprawdę zadała mi pytanie, dlaczego zarabiam tyle, ile zarabiam?

Moje pytanie pochodzi z waszego środowiska. O tym się plotkuje na imprezach towarzyskich.

– Smętne muszą być te imprezy... Zapewniam panią, że moje honoraria były badane na wszystkie możliwe sposoby i przez lewicową, i przez prawicową policję myśli – śledztwa kończyły się rozczarowaniem „życziwych”.

Ale porozmawiajmy o pieniądzach w teatrze: konstruktywnie, bo zdaje się, że nikt z bardzo wielu znawców środowiskowych z jakichś powodów nie chce się naprawdę zająć tym, jak są wydawane. Nie na poziomie ploteczek o apanażach tego czy innego artysty, lecz na poziomie efektywności dotowania teatru publicznego. I tu się robi ciekawie i naprawdę kontrowersyjnie.

Otóż ja niezwykle ekscentrycznie uważam, że teatr jest po to, aby jak najczęściej grać spektakle teatralne. Szokująca deklaracja, wiem.

Jeśli w teatrze powstaje spektakl, którego budżet wynosił sporo pieniędzy, a jest grany kilka razy i schodzi, to stopa zwrotu z inwestycji jest kilkadziesiąt razy mniejsza, niż

gdyby ten sam spektakl był grany kilkadziesiąt razy, nieprawdaż? I pieniądze się marnują, duże pieniądze. Zakładam oczywiście, że na spektakl przychodzi publiczność, bo na moje spektakle akurat tak się składa, że przychodzi. I tak się składa, że spektakle, które reżyseruję, są grane po 50-100, czasem 150 razy, a zatem kosztują podatnika dużo, dużo mniej niż spektakle ludzi, którzy mi zazdroszczą honorariów.

To pan wie, kto panu zazdrości?

– Tyle w temacie stopy zwrotu z inwestycji. Kontekst jest wszystkim.

Swoją drogą, pierwszy spektakl, który zrobiłem w życiu – poprzedzony pięcioma latami bezrobocia – miał zawrotny budżet w wysokości 500 zł. Budżet. Nie mówię o moim czy czymkolwiek honorarium. 500 zł na dekoracje i na wszystko. Pożyczone od mojego ojca, jako że jestem uprzywilejowany.

I co pan tymi słowy chce powiedzieć młodym artystom?

– Dlaczego tylko młodym, dlaczego tylko artystom? Eliud Kipchoge, człowiek już dojrzały, pod czterdziestkę, mistrz świata w maratonie, zapytany, czy kiedykolwiek było tak, że obudził się rano i pomyślał, że nie chce mu się wychodzić z domu na trening, odpowiedział, że...

...codziennie?

– Tak właśnie. Powiedział, że bez dyscypliny człowiek pada ofiarą swojego lenistwa i wygodnictwa. Jeśli nie stawiamy sobie celów, które być może są celami odrobinę za wysokimi, to gnuśniejemy. I zostaje nam tylko i wyłącznie płodzenie w sobie żółci wobec tych, którzy stawiają sobie cele i czasami udaje się je realizować. I tu się kłania sławetna „kultura zapierdolu”.

Dyscyplina i „kultura zapierdolu” to są dwie różne rzeczy. Młodzi ludzie, że użyję wielkich kwantyfikatorów, nie chcą harować za darmo i po godzinach na zarobki prezesów korporacji na przykład czy szefów kancelarii prawniczych. A poza tym Kipchoge pracuje na siebie.

– Ma pani rację, folwarczna patologia dotyczy młodych idealistów. Ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że niektórych z nich Kipchoge dotyka swoim zapierdolem. Oni przez niego, jak to się teraz modnie mówi w języku polskim, niekomfortowo się czują. Więc co? Trzeba tego zabronić!

Ci, którzy nie godzą się na „kulturę zapierdolu”, chcą za swoje kompetencje dostawać właściwe wynagrodzenie, ale nie chcą, żeby właściwe wynagrodzenie dostawać za zapierdol. Nie chcą pracować 18 godzin.

– Wynagrodzenia nie dostaje się za teoretyczne kompetencje, tylko za praktyczne wcielanie ich w życie. Nie zabraniam ludziom pracować tak, jak im się podobą, ale są tacy, którzy chcą pracować więcej niż osiem godzin dziennie. To im zabronić teraz. Weźcie i zabronicie, bo zapierdol. Dostyc przemocowe to będzie, ale walka z przemocą bardzo często jest niezwykle przemocowa. Proszę mnie nie piętnować z tego tytułu, że stawiam sobie wymagania, które następnie realizuję. Przez 50 lat mojego życia na tym leż padole wyreżyserowałem 60 spektakli teatralnych. Z korzyścią, wydaje mi się, dla osób aktorskich, osób scenograficznych i choreograficznych i wszystkich innych, z którymi miałem zaszczyt pracować. Wydaje się też, że z korzyścią dla widzów. Powtórzę: jeśli chce się osiągnąć w życiu spełnienie artystyczne czy sportowe, trzeba harować. Ra- dośnie harować oczywiście, inaczej nikomu by się nie chciało.

Coltrane zadmuchał się na śmierć na saksofonie, ale coś po sobie zostawił. Jeśli się ma pasję do czegoś, to trzeba tę pasję żarliwie realizować. In girum imus nocte et consumimur igni. Żarliwie, przez noc!

I to jest pana przesłanie do młodych?

– Do każdego. Młodych i starych, mieszkańców miast i przyjeżdżających. Lepiej spłonać, niż zblaknąć. Akurat osoby reżyserskie nie są w tragicznej sytuacji, bo jest więcej teatrów najróżniejszej proveniencji otwartych na „świeżą krew” – przepraszam za przemocowe określenie. Przecież PiS bardzo potrzebuje nowych, młodych kadr, żeby nimi zastąpić tych, których prawica nienawidzi. Wystarczy być. Więc nowe kadry nie muszą robić jaselek o „wyklętych”, wystarczy, że przezornie nie będą robić na temat, których prawica sobie nie życzy i że nowe elity będą na tyle inteligentne, że będą wiedzieć, komu zawdzięczają kariery. To pisowskiej władzy w zupełności wystarczy.

A może trzeba ważyć, że okej, w jednym się ugnę, ale za to powiem ze sceny coś ważnego? Przecież dziś nie jest trudno o takie dylematy.

– Toż mówię – jak ktoś chce, tu się ugnę, a tu mrugnę, to przecież nie zabraniam. Tym bardziej że drzwi są otwarte. Zjednoczona Prawica podejmowała władzę z głębokim i rozczułającym autentycznym przekonaniem, że istnieje zupełnie niezwykła pula artystów, którzy dotychczas byli zaniedbywani ze względu na swoje ideały prawicowe i swoją prawosć i sprawiedliwość. Jednak w ciągu pierwszego roku czy dwóch lat szybko zdała sobie sprawę, że z wyjątkiem już nieobecnego wśród nas Jarosława M. Rymkiewicza nikogo takiego nie ma. I wtedy wymyśliła, że wystarczy, że wykończą tych, którzy im nie odpowiadają, a w ten sposób stworzy się pustka, w którą wejdzie ktokolwiek, pod warunkiem że nie będzie się zajmował czymś niewygodnym dla prawicy.

Zarzuca pan ludziom konformizm, a sam był gotów reżyserować w Starym po tym, jak minister Glišński panu podziękował za dyktowanie, a widzowie, gildia jedna czy druga, tudzież aktorzy protestowali, wstawiając się za panem. I po tym wszystkim pan mówi: dobra, wracam?
– Zgoda, błąd. Naiwność. Do powrotu nie doszło, moja decyzja zapadła w ostatniej chwili. Zafundowałem sobie oraz współpracownikom półroczne bezrobocie. Nie daliśmy się kupić, lecz niesmak pozostał.

I pan naprawdę był zdziwiony?
– Tak. Skalą bezczelności. Przesunęły się granice tego, co się godzi, a co się nie godzi. I to nie jest kwestia ostatnich kilkunastu miesięcy, ale siedmiu lat, mówiąc konkretnie. Są rzeczy, które kilka lat temu były nie do pomyślenia, a teraz zdążyliśmy się do nich przyzwyczaić. Że się promuje donosicielstwo. Że się cenzuruje spektakle. Że się odwołuje spotkania z twórcami znajdującymi się na czarnej liście. Że pewnych twórców nie zaprasza się na festiwal, żeby nie stracić dofinansowania. Że dyrektor każe twórcom zamienić kota na psa, bo kot polityczny. Że zastanawiamy się, co mówimy głośno, a czego nie mówimy głośno. Że nauczyciele zastanawiają się, na jaki spektakl

mogą przywieźć uczniów, a na jaki nie mogą. Albo przed spotkaniem z artystą sugerują, które tematy wolno poruszyć, a których nie można, bo dzieci mogą donieść. A ci nauczyciele to są wspaniali ludzie z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem i czują się zażenowani, że muszą mnie ostrzegać.

I o czym na przykład nie powinien był pan mówić?
– Na przykład o różnorodnych odcieniach patriotyzmu. To jest temat święty, którego tykać nie można. Zaczyna się też tworzyć aura wokół konkretnych osób czy konkretnych tematów, których z całą pewnością nie wolno ruszyć. Mówię o tym, jak bardzo kurczy się krąg swobody artystycznej w naszym kraju. Mówię o konformizmie środowiskowym. Jak sobie odpalimy kino moralnego niepokoju, to mamy sytuację zdumiewająco znajomą. To samo jest na uczelniach. Kurczy się krąg tego, co warto pomyśleć głośno.

Warto czy można?
– Część kolegów uznaje, że jeśli nie można, to nie warto. Mamy do czynienia ze zjawiskiem przejmowania kolejnych jednostek kultury z rąk samorządów. Jak wiadomo, prawica przeforsowała system podatkowy obcinający pieniądze samorządom i w tym momencie na białym koniu wjeżdża wiadomy minister cenzor i mówi: „A, to my będziemy współfinansować”. No i wtedy wolnościowe władze lokalne przystają na to współfinansowanie, bo już nie muszą się zastanawiać, czy mają dać na teatr, czy na szpital. I potem następuje jedna, druga, trzecia sugestia dotycząca tego, kto ma tam pracować, a kto nie ma, sugestia dotycząca tematów, którymi warto się zajmować, a którymi nie, a po dwóch, trzech latach, bo przecież jest kadencyjność, sugestia, kto ma tam zostać dyrektorem. Festiwalu, teatru, wszystkiego. Na ubiegłorocznym festiwalu Klasyka Polska na przykład mieliśmy do czynienia z tak dobieranym jury, żeby „Dziady” Mai Kleczewskiej nie mogły wygrać.

Wygrała wtedy „Balladyna” Opolskiego Teatru Lalki i Aktora w reżyserii Konrada Dworakowskiego „za podjęcie dialogu z oryginalnym tekstem i umiętną pracę z wierszem oraz za konsekwentną inscenizację”.
– Za podjęcie dialogu. I „Dziady” ze Słowackiego nie wygrały. A jeszcze kilka lat temu jury się postawiło ministerstwu i „Wesele” ze Starego wygrało. Mówię o polu mi najbliższym, w którym potrafię podać konkretne przykłady, ale to samo jest w życiu akademickim czy literackim. Pętla się zaciska.

Panu też? Przecież świetnie pan sobie radzi.
– Radzę sobie, bo muszę pracować coraz więcej poza Polską, a coraz mniej w Polsce.

Zazdroszczę panu, że może się pan od tej Polski uwolnić.

– Kiedy właśnie nie mogę. Jestem polskim patriotą. Tu jest moja ojczyzna, tu jest moja publiczność i tu są moje tematy. Mogę zrobić w Szwecji spektakl o pacjentach szpitala psychiatrycznego, którzy w nieprzemocowej instytucji rekonstruują rewolucję, a markiz de Sade obsadza w roli głównej Marata, swego głównego przeciwnika, i zapytać, jak to się ma do systemu nakazowego dobrobytu i szczęśliwości, totalnego szwedzkiego wellnessu, ale to nie jest jednak rozmowa z moją rodzimą publicznością.
Swoją drogą miałem szczęście, że wojna zaczęła się trzy dni po mojej szwedzkiej premierze, bo byłem już z powrotem w Warszawie. Modliłem się o to codziennie przez miesiąc.

Nie można używać znacząco szeptanego określenia „przemocowiec” jako pały na tych, których się nie lubi i których się chce wykończyć

Żeby wojna się nie zaczęła, dopóki nie skończy pan spektaklu?
– Żebym zdążył wrócić, by nie mieć dylematu, czy zostać emigracyjnym reżyserem szwedzkim. Bo miałem dziwne witkacowskie przeczucie, że wojna potrwa rzeczywiście 72 godziny, a potem zostaną zaatakowani nasi bracia Litwini. A kolejni jesteśmy my. I wszystkie resorty są świetnie przygotowane na inwazję, bo przecież wiemy, jakie doskonale wnioski wyciągnęli nasi rządzący z wiadomości, że będzie wojna. Premier Morawiecki sprzedał działki i spotkał się z przyjaciółmi Putina z całej Europy.

Trochę mi się pan wymyka z odpowiedzią na pytanie, czy jest pan konformistą. Bo zastanawiam się, czy artysta teatralny może nim w ogóle nie być. Hübner pisał, że to niemożliwe, bowiem władza zawsze ma oczekiwania wobec kultury.
– Jednak nie zawsze tak głupie jak teraz. Hübner miał do czynienia z mądrzejszą władzą. A tak się pechowo teraz zdarzyło, że na ideologię jednej strony niejednokrotnie nakłada się ideologia wręcz przeciwna, ale równie ortodoksyjna. Spełnianie oczekiwań obecnych władz wobec kultury jest śmiercią sztuki i triumfem propagandy. Trud myślenia polega nie na tym, że wybieram sobie, jakiego rodzaju propagandę mam tworzyć i jaką konsumować. Ja szukam swojej drogi, ale wtedy może się okazać coś bardzo niebezpiecznego, mianowicie, że nie należą do żadnego stada i do żadnej bańki. A to znaczy, że jestem sam i członkowie jednego i drugiego stada mnie zniszczą, zanim ludzie, którzy są w tych stadach, odkryją, że i oni nie są częścią stada.

Tymczasem rządzi obustronna TINA – There Is No Alternative. Albo jesteśmy wspaniałą częścią lewicowo-liberalną cierpiącą na pluszowym krzyżu, albo jedynymi patriotami, żołnierzami Chrystusa, którzy bronią Polski i Świętego Jana Pawła przed tęczową nawałą lewacką.

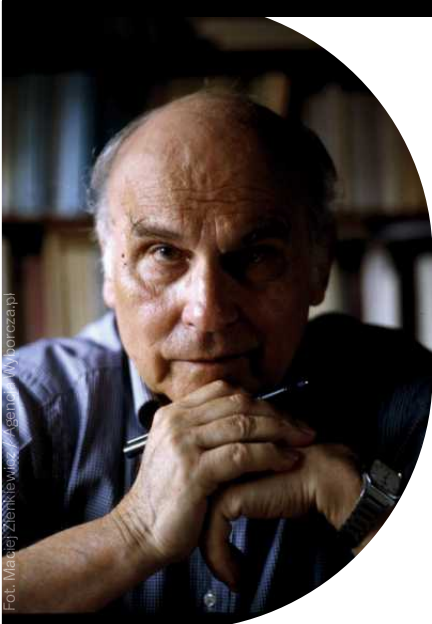
Czy czas nie wymaga jednoznaczności?
– Ale gdzie jest jednoznaczność w wielkich dziełach? Nie, Zygmunt Krasiński oraz Konrad Swinarski nie są odpowiedzialni za Holokaust.
Tak uważałem 10 lat temu i tak uważam teraz.

Ja pytam nie o teatr, lecz o postawę.
– A ja mówię o sztuce, a nie o tym, gdzie postawię krzyżyk podczas wyborów, o ile takowe się odbędą. Poznam programy partii, to się zastanowię, komu ewentualnie oddać głos. Postawą nie jest przynależność do jednej czy drugiej mentalnie umundurowanej partii. Mam nadzieję, że duża część polskiej inteligencji nie może się odnaleźć w bezpiecznie binarnym świecie jedynie słusznych poglądów na wszystko.

Pan sądzi, że sztuka, którą światopoglądowo kontestujemy, jest niebezpieczna nie dlatego, że jest nudna, tylko dlatego, że zmusi nas do zmierzenia się z jakimiś niewygodnymi prawdami?
– O ile zmusza. Będę się trzymał poglądu, który nie jest dziaderski, tylko ponadczasowy, co widzę po swoich córkach – że trzeba myśleć samodzielnie. Opowiadałem już pani o koncercie Franka Zappy w Berlinie Zachodnim?

Nie pamiętam.
– Zappa przyjechał do miasta, które było niebywale progresywne i lewicowe, w którym wszyscy, rzecz jasna, walczyli z nazizmem swoich rodziców. Udany koncert, widzowie szaleją ze szczęścia, bo ich idol kapitałnie piętnuje amerykańską bigoterię i kapitalistyczną popkulturę. I nagle Frank Zappa w komunii z tysiącami widzów ni z tego, ni z owego prostuje ramię i woła: „Sieg!”. Trochę się atmosfera skisiła, co jednak nie przeszkodziło mu znowu wznieść rękę w geście rzymskiego powitania i zawołać to samo, licząc na odzew. Po którymś razie ktoś nieśmiało zaczął hajlować, dla jaj oczywiście, aż w końcu cały tłum fanów krzyczał: „Sieg Heil!”. A wtedy Frank Zappa powiedział: „Dobranoc, nie będę grał dla pierdolonych nazistów, koniec koncertu”.
Więc bardzo się cieszę, że uczyłem się sztuki od bezkompromisowych artystów, takich jak: Frank Zappa, Sun Ra, Captain Beefheart, którzy lubili wkurwiać ludzi i wytrącać ich ze strefy komfortu. I jak oni uważam, że nie środowiskowa ujutność kółek wzajemnej adoracji, ale prowokowanie do myślenia jest bardzo istotną strategią intelektualną. Myślę – może naiwnie – że nie jestem sam. ●

O G Ł O S Z E N I E



Ogłaszamy
5 nominacji

wyborcza.pl/kapuscinski

ORGANIZATOR I FUNDATOR NAGRODY



WSPÓŁORGANIZATOR



PARTNER





Adam Michnik poleca

JAK SŁOWACY **ZABILI** SWOICH ŻYDÓW

U nas nigdy głębiej nie zakorzeniła się żadna ideologia. Ani faszyzm, ani komunizm.

ROZMOWA **JÁNA ŠTRASSERA***
Z **FRANTIŠKIEM MIKLOŠKO****

Ján Štrasser: Porozmawiajmy o Republice Słowackiej z lat 1939–45 i o jej żywych do dziś traumach: było to państwo o autokratycznym reżimie i własnym narodowym socjalizmie, wasal hitlerowskich Niemiec, brało aktywny udział w zagładzie Żydów. Dla katolika to chyba trudny temat?
FRANTIŠEK MIKLOŠKO: Zajmuję się tym intensywnie od co najmniej 40 lat i wiem, że tylko prawda nas wyzwoli.

Co wiedział pan w młodości o Państwie Słowackim?

– Że po wojnie powieszono jego prezydenta, ks. Jozefa Tiso. To była i w pewnym sensie wciąż jeszcze jest żywa sprawa w społeczeństwie. Oficjalnie wiedziałem to, co komuniści napisali w podręcznikach – że to było państwo totalitarne i klerofaszystowskie.

W środowisku katolickich dysydentów dowiedział się pan więcej?

– Oczywiście, ale w szczególny sposób – ten temat nigdy tam nie został dopowiedziany. Nikt z nas nie mógł w pełni bronić Państwa Słowackiego, bo wiedzieliśmy, że działają straszne rzeczy. Sposób, w jaki państwo, które otwarcie przyznawało się do chrześcijaństwa i na którego czele stał katolicki ksiądz, obchodziło się ze słowackimi Żydami. Jak najpierw ich pozbawiło wszystkich praw, a potem załadowało na bydłące wagony i wywiozło do obozów zagłady. Komuniści nazwali jednak to państwo klerofaszystowskim, żeby totalnie poniżyć Kościół.

A nie było klerofaszystowskie?

– Już choćby dlatego nie było, że na Słowacji nigdy głębiej się nie zakorzeniła żadna ideologia. Ani faszyzm, ani komunizm. Oczywiście byli karierowicze i ludzie żądni łupów, którzy pasowały na reżimie, ale stała za tym zwykła ludzka zawiść i chciwość.

Czyli nie było to spełnienie tysiącletnich marzeń o własnym państwie?

– W monarchii austro-węgierskiej Słowacy walczyli o zachowanie tożsamości, a potem w Republice Czechosłowackiej – o autonomię. Tymczasem w marcu 1939 r. od razu przytrafiła im się państwowość. Dostali ją w najgorszym momencie i z najbardziej niewłaściwych rąk. Ta państwowość była wynikiem dążeń Hitlera do rozbicia Czechosłowacji po konferencji w Monachium.

Jednak powstanie Państwa Słowackiego było też pośrednią zasługą bolszewizmu:

Tiso uzasadniał współpracę z Hitlerem także tym, że uważał antychrześcijański bolszewizm za większe zagrożenie dla Słowacji. Dlatego zaakceptował arbitraż wiedeński i zgodził się na okrojenie terytorium kraju. [traktat z 1938 r., w którego wyniku Węgry otrzymały m.in. południe Słowacji].

Musiało go mocno zaskoczyć, że kilka miesięcy później Hitler dogadał się z antychrześcijańskim bolszewikiem Stalinem i podzielili między siebie Polskę.

– W 1939 r. dwa totalitaryzmy połączyły się i podzieliły Polskę, a w 1941 zaczęły ze sobą walczyć na śmierć i życie. Obydwa te systemy pochodzą od diabła.

TISO MÓWIŁ RZECZY STRASZNE

Dostrzega pan dzisiaj jakąś nostalgię za Państwem Słowackim?

– Czasem spotykam się z opiniami, że dobrze się żyło, że panował dobrobyt. Ci, co tak mówią, nie są zbyt interesujący. Znacznie niebezpieczniejsi są tacy, którzy bronią radykalnych działań reżimu z czasów wojny. Niektóre ugrupowania skrajnej prawicy na tym budują kapitał polityczny.

Czy to normalne, że w demokratycznej Republice Słowackiej te ugrupowania mogą w ogóle istnieć? Organizacje, w których przywódca każe się tytułować

wodzem, a jego wierni pozdrawiają się faszystowskim powitaniem?

– Oczywiście trzeba to piętnować. W moim [katolickim] środowisku odczuwamy ból z powodu strasznych rzeczy, które działy się w Państwie Słowackim. Ale na stosunek katolików do tego państwa wpływała kara śmierci dla Tiso. Traumą nie była nawet egzekucja prezydenta, tylko egzekucja księdza.

Nie kwestionuję jego politycznej i moralnej odpowiedzialności za to, co się działo w latach 1939–45. Ale nie uważam, że powinien zostać powieszony. Czy można zabić księdza? Pomazańca bożego? To bardzo poważne pytanie.

Jeden z wielbicieli Tiso, przewodniczący Ligi Słowackiej w Ameryce, w zbiorze tekstów „Przemilczana prawda o Słowacji” napisał: „Cieszyłem się, że Tiso spotkała męczeńska śmierć, bo mamy świętego i bohatera. Bałem się, że dostanie dożywocie i wraz z upływem czasu popadnie w zapomnienie”.

– W zapomnienie popadłoby samo Państwo Słowackie. Kluczowym punktem była decyzja o udzieleniu czy nieudzieleniu Tiso prawa łaski po tym, jak 16 kwietnia 1947 r. odczytano mu wyrok śmierci. Głosowanie w prezydium Słowackiej Rady Narodowej zakończyło się remisowo: dwaj komuniści byli przeciwni łasce, dwóch demokratów było za, a trzeci się wstrzymał. W ten sposób nie dali przy-

dentowi Beneszowi żadnej rekomendacji. Rzecznik sprawiedliwości był za odłożeniem egzekucji.

Ale wie pan, co jest ciekawe? Viliam Žingor w imieniu Związku Słowackich Partyzantów domagał się, żeby Tiso nie skorzystał z prawa łaski. Trzy lata później komuniści powiesili Žingora. W rządzie Gottwalda w imieniu komunistów przeciwko prawu łaski wypowiedział się Vladimír Clementis. Pięć lat później komuniści powiesili Clementisa.

O czym to może świadczyć?

– Że jak są dwa wielkie zła, to nie możesz wybierać mniejszego z nich. Każdy wybór to wielkie zło. Tragedią Państwa Słowackiego było to, że zostało wrzucone pomiędzy dwa totalitaryzmy. Żeby obronić się przed komunizmem, współpracowało z faszyzmem. I razem z nim zostało przemielone.

W związku z deportacjami słowackich Żydów do obozów zagłady powiedział pan o Tiso: „Jako ksiądz i jako prezydent milczał”. No, niezupełnie. Oświadczył, że trzeba doprowadzić do „odżyzdzenia naszego kraju”. Albo: „Słowacy, pozbądźcie się swego szkodnika...”. „Odżyzdzenie” nie zaczęło się od deportacji w 1942 r., tylko już w 1938, kiedy Słowacja otrzymała autonomię. Dalej był tzw. kodeks żydowski, który pozbawiał Żydów majątku i praw obywatelskich, a skończyło się na ustawie konstytucyjnej o wysiedleniu. Podpisali ją trzech najwyżsi przedstawiciele Państwa Słowackiego: Vojtech Tuka, Martin Sokol i Jozef Tiso.

– Do dziś stawiam sobie pytanie, co możemy począć z takim nieludzkim fragmentem naszej historii. Jak to się mogło stać, że naród chrześcijański, z kraju, za który Święty Cyryl modlił się na łożu śmierci, tak się zachował? Ja należę do tych, którzy się za to wstydzą. Są jednak tacy, którzy próbują tę winę wyrzucić z pamięci.

NIC NIE WIEDZIELI O WYWÓZKACH? NIEPRAWDA

W 1993 r. powiedział pan: „Deportacje Żydów i wszystko to, co je poprzedzało, działały się w chrześcijańskiej Słowacji”. Co tragedia słowackich Żydów mówi o słowackich chrześcijanach?
– Że przyjmują zło w sposób pasywny i cierpiętniczy. Aktywnie opierali się władzy w 1949 r., kiedy bronili swoich księży w parafiach, w najbliższym otoczeniu. Bronili swoich bliźnich. A Żydzi nie byli ich bliźniemi. Antysemityzm wspierany przez potężną propagandę nastawił ich tak, że przyglądali się biernie złu.

A nie był to antysemityzm wzmacniany przez pragnienie zdobycia majątków żydowskich?
– Tak, również.

To był zwyczajny rabunek.

– A skończył się tym, że 90 tys. Żydów stało się żebrakami i stworzyło duży „problem socjalny” dla państwa. A ono rozwiązało go tak, że ofiarowało swoich Żydów Hitlerowi. Wywiozło do obozów zagłady i jeszcze zapłaciło Niemcom za transport.

Spośród krajów, z których wywożono Żydów, tylko Słowacy zrobili to na własne życzenie. Ale żeby być sprawiedliwym, to słowackie biskupi w październiku 1941 r. zaprotestowali przeciwko „kodeksowi żydowskiemu” w memorandum złożonym na ręce premiera Tuki i prezydenta Tiso.

– Niestety, biskupi nawet nie dostali odpowiedzi. Protestował też Watykan. 12 listopada 1941 r. nasz ambasador przy Stolicy Apostolskiej otrzymał notę, która rozporządzenie nazywa „ustawą rasową, całkowicie sprzeczną z zasadami katolickimi”. Jednak Tiso stawiał się Watykanowi, udzielał wykrętnych odpowiedzi. W marcu 1943 r. słowackie biskupi ponownie prote-

stawiali przeciw dyskryminacji Żydów i deportacjom.

Wtedy ok. 60 tys. Żydów zostało już uwiezionych i zapewne zamordowanych.
– Arcybiskup Nitry Kmetko chronił Żydów w swojej kurii. Ale co z elitami słowackimi? Co z intelektualistami, naukowcami, pisarzami, artystami? Ludzie usprawiedliwiali pasywność tym, że przywódcą narodu i głową państwa jest ksiądz.

Pasywność Słowaków usprawiedliwia się dziś zdaniem: „My o niczym nie wiedzieliśmy i myśleliśmy, że jadać do pracy”.

– Zwykła wymówka. Hitler już w latach 20. obiecywał, że „oczyszczi” Niemcy z Żydów. Kto chciał, ten wiedział.

A teraz coś pozytywnego. Tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata otrzymało już ponad 23 tys. osób, najwięcej z Polski i Holandii. Ale mała Słowacja też wychodzi z tego z twarzą: do stycznia

Tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata przyznano 549 Słowakom, a tylko 114 Czechom i 109 Chorwatom

2015 r. wśród odznaczonych było 549 Słowaków, podczas gdy Czechów 114, a Chorwatów 109.

– To także część słowackiej mentalności. Słowacy pomagali Żydom zwłaszcza po upadku słowackiego powstania narodowego, kiedy kraj zajęli Niemcy. To było absolutne bohaterstwo. Potwierdza się fakt, że dziejów słowackiej odwagi nie piszą przywódcy czy jacyś giganci, ale zwykli ludzie. Nie było ich wielu.

„GŁĘBOKI ŻAL I WSTYD”

Antysemityzm trwał także po wojnie.
– Komunistyczny antysemityzm zaczyna się od Stalina. Żydzi byli ważnymi postaciami rewolucji. Stalin chciał się pozbyć starych komunistów – bolszewików, którzy mieli większe zasługi niż on: Trocki, Kamieniew, Zinowiew. Bał się ich, więc ich zlikwidował. Podobnie było w Czechosłowacji. W procesie Slanskiego skazano 14 osób, z czego 11 Żydów. Postarał się o to Gottwald na polecenie radzieckich przywódców.

W październiku 1987 r. – czyli jeszcze w czasach komuny – powstało „Oświadczenie na temat deportacji Żydów ze Słowacji”. 24 sygnatariuszy wyraziło „głęboki żal i wstyd” z powodu tego, co się stało z Żydami w czasie Państwa Słowackiego. Jednocześnie prosiło o wybaczenie krewnych ofiar oraz „wszystkich członków ich narodu”.
– Wszyscy w mojej rodzinie uważali za wielką tragedię to, co spotkało Żydów, ale nie potrafiłem nic z tym zrobić. W Instytucie Techniki Cybernetycznej wraz z Borysem Lazarem, Janem Langošem i Jaroslavem Frankiem często dyskutowaliśmy o Holokaucie i o losie słowackich Żydów. Kiedyś Borys przyniósł mi pracę historyka Ivana Kamenca „Kwestia żydowska w polityce słowackich władz w latach 1938-1945”. Powiedział, że wszystkie europejskie narody zajęły już jasne stanowisko wobec Holokaustu i tragedii swoich Żydów, że dokonały autorefleksji, tylko Słowacy milczą. Więc chciałem, żebyśmy coś zrobili.

I co pan zrobił?

– Najpierw porozmawiałem o tym z Jánem Čarnogurským, bo też nosił w sobie ten temat. Jego praca dyplomowa nosiła tytuł

„Prawodawstwo rasowe Państwa Słowackiego”. Potem zwróciliśmy się do bp. Korca, którego tak to zainteresowało, że napisał pierwszą wersję oświadczenia. Čarnogurský wniósł tam spojrzenie prawnika, podkreślił prawną odpowiedzialność Słowacji, za „kodeks żydowski” i deportacje. Ten dokument przygotowaliśmy na 45. rocznicę deportacji Żydów.

Oprócz dysydentów w rodzaju Dominika Tatarki, Hany Ponickiej, Jána Chryzostoma Korca czy Čarnogurskiego podpisali ten dokument także znani artyści, których reżim jakoś akceptował, a nawet nagradzał: Vincent Hložník, Milan Rúfus czy Eugen Suchoň.

– Nie chcieliśmy, żeby to była wyłącznie sprawa katolickich dysydentów.

Kto był adresatem?

– Centralny Związek Żydowskich Gmin Wyznaniowych na Słowacji. Čarnogurský wrzucił im do skrzynki jeden oryginał tek-

stu wraz z podpisami. Ale było ważne, żeby oświadczenie dotarło też do opinii publicznej, dlatego drugi oryginał wysłaliśmy do Antona Hlinki [ksiądz, teolog i filozof, emigrant]. Przedstawiciele Światowego Kongresu Słowaków w Europie przeczytali ten tekst 1 listopada 1987 r. w kaplicy byłego obozu w Dachau. Hlinka opublikował je w Głosie Ameryki. Potem do oświadczenia dołączyło się wiele osobistości słowackiej emigracji.

To prawda, że kierownictwo Centralnego Związku odrzuciło wasze oświadczenie?

– Tak, ale pod naciskiem władz. Tematyka żydowska była tabu i my pierwsi ją wyciągnęliśmy. Na dwa lata przed upadkiem komunizmu. W tym tekście mówiło się także o złym stanie cmentarzy żydowskich, o dewastacji synagog, a więc również o słowackim antysemityzmie, dawnym i współczesnym.

Jak zareagowała władza?

– Właściwie nijak, tylko w komunistycznym dzienniku „Pravda” ukazał się jeden napaśtliwy artykuł. Kiedy oświadczenie przeczytano w Głosie Ameryki, bezpieka wezwała mnie na przesłuchanie, Ale widać było, że ubecy nie mają ochoty w tym grzebać.

KŁOPOTY Z PAMIĘCIĄ ZBIOROWĄ

Holokaust jest uznawany za największą tragedię nowoczesnych dziejów ludzkości. Istnieją jednak ludzie, którzy temu zaprzeczają lub próbują bagatelizować, twierdząc, że Żydzi w ten sposób szantują świat.

– Żydzi to naród pamięci. Pomogło im to przeżyć wszelkie dramaty. I nie pozwolą, żeby ktoś bagatelizował Holokaust albo mu zaprzeczał, skoro w ciągu kilku lat Hitler zgładził niemal połowę członków tego narodu.

Jak na Słowacji traktuje się Holokaust?

– Nie może być usprawiedliwieniem fakt, że w konfrontacji ze złem nie poradził sobie nawet 80-milionowy naród Goethego czy Hegla. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko przyjąć do wiadomości nasz moralny upadek. To był grzech, którego nie da się wyrzucić z pamięci, bo jest fragmentem naszej tożsamości. Musimy z nim żyć i zmusić

się do pokuty. Ale wymaga to jednej zasadniczej rzeczy – trzeba mieć uformowaną pamięć zbiorową.

Naród słowacki jej nie ma?

– Nie jestem pewien, czy Słowacy mają głębłą świadomość swoich dziejów. W naszej historii nie było zbyt wielu dramatycznych wydarzeń. Co istnieje w naszej zbiorowej pamięci z ostatnich 150 lat? Ucisk narodowościowy i brutalna hungaryzacja. Jednak pamięci o powstaniu Republiki Czecho-słowackiej w 1918 r., co zapoczątkowało nasz ogromny rozwój, już tam nie ma, tylko raczej nieufność do Czechów. A Holokaust? Tak, zaczynamy go sobie powoli uświadamiać.

Słowackie powstanie narodowe?

– To sprawa niejednoznaczna. Cenię to, że Słowacy powstali do walki z faszyzmem, padło tam dużo ludzi, a Niemcy spalili wiele wiosek, ale te działania były dość chaotyczne. Kto wie, może właśnie chaos i bałagan w słowackim powstaniu narodowym to było coś naprawdę słowackiego i narodowego?

Nie mamy w zbiorowej pamięci nawet tego, że w 1946 r. na Słowacji komuniści przegrali wybory. Nie potrafimy być z tego dumni. Jeśli więc istnieje coś takiego jak słowacka pamięć zbiorowa, to jest ona pełna sprzeczności, np. nie mamy tam wpisanego komunizmu jako zła.

Mnie się wręcz wydaje, że jest u nas traktowany jako dobro.

– Kto ma nazywać ofiary komunizmu? Przypomina je przede wszystkim Kościół, bo najwięcej ofiar było w jego szeregach: duchowni, wierni. A jak komuniści i „mentalni komuniści” mają pamiętać swoich męczenników? Czy męczennikiem jest komunista Clementis? Albo komunista Husák? Czy komunista Dubczek?

Jak się tworzy zbiorowa pamięć? Kto ją formuje?

– Przede wszystkim elity – w tekstach i w wystąpieniach publicznych. Ale musi to znaleźć rezonans w zbiorowości – w narodzie, w ludziach.

Zbiorową pamięcią można też manipulować. Takim przykładem może być Rosja Putina. Putin oparł się na zbiorowej pamięci ZSRR, a nawet stalinizmu.

– Putin wyczuł w narodzie frustrację i niepewność – z powodu biedy, osłabienia imperium, utraty światowego prestiżu. I z takiego punktu widzenia Stalin nie był masowym mordercą, tylko zwycięzcą w Wojnie Ojczyźnianej. Rosjanie poszukują swej dumy i nie bardzo uświadamiają sobie, że z humanitarnego i moralnego punktu widzenia to co najmniej dwuznaczne.

A my? Jeśli chodzi o przyszłość, nie ma w naszej pamięci zbiorowej myśli, że jesteśmy częścią demokratycznej Europy. Co gorsza – nasze zbytne przywiązanie do silnych liderów może nas wypchnąć na euroazjatycki wschód. Nie powinniśmy chcieć tam trafić. ●

przeł. Andrzej S. Jagodziński

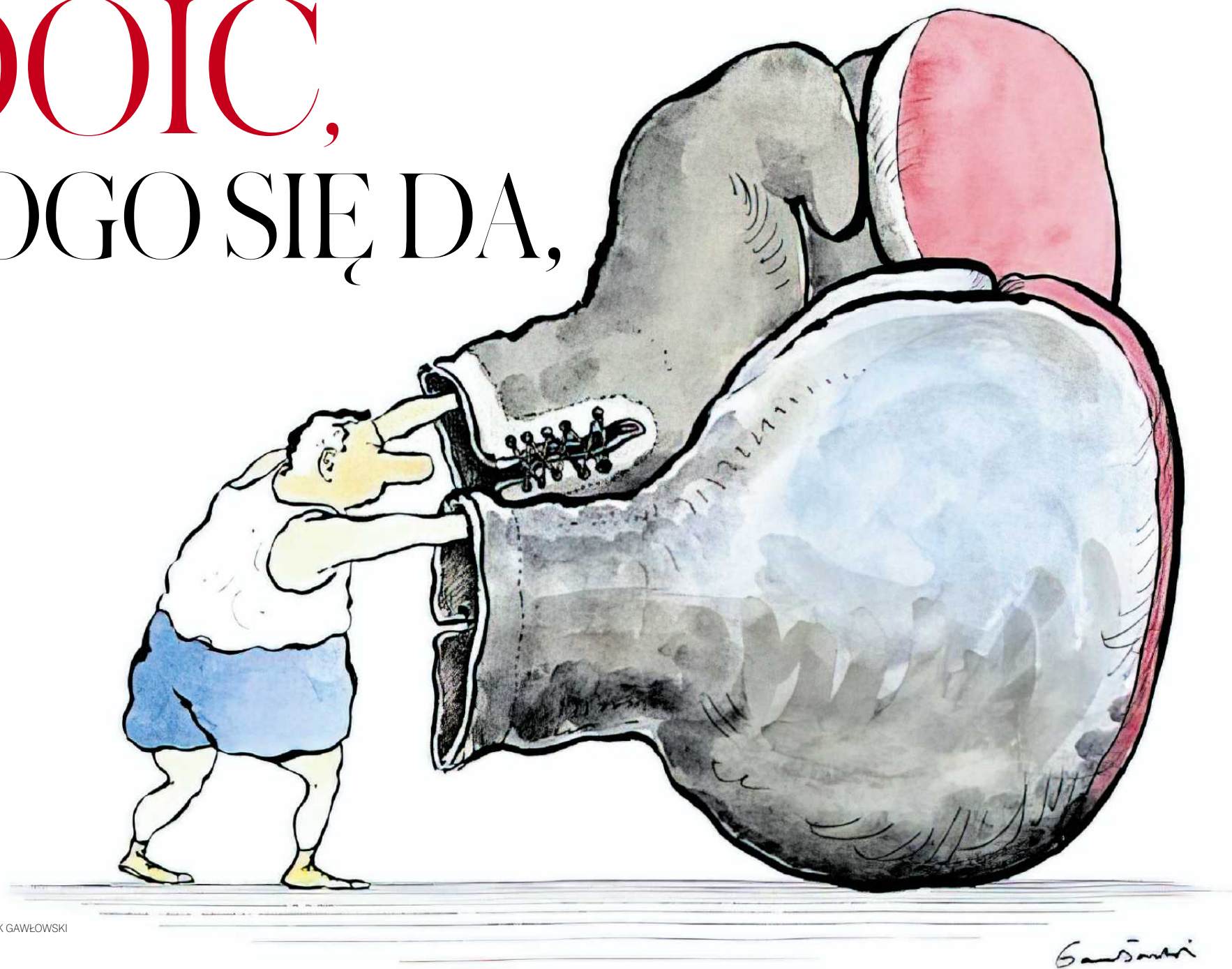
***Ján Štrasser** – ur. w 1946 r., znany słowacki poeta, eseista, dramaturg, autor rozmów z reprezentantami słowackiego życia intelektualnego.

****František Mikloško** – ur. w 1947 r., słowacki matematyk i chadecki polityk, przed 1989 r. działacz opozycji demokratycznej, aktywny zwłaszcza w środowisku „podziemnego Kościoła”. Po aksamitnej rewolucji poseł do słowackiego parlamentu, w latach 1990-92 jego marszałek. Autor książek o historii Słowacji i słowackiego Kościoła.

Wywiad za: Ján Štrasser, František Mikloško, **„Rozhovory o dobe a ľuďoch” (Rozmowy o czasach i ludziach)**, wyd. Slovart, 2016. Tytuł „Wyborcza”

Cały wywiad: **Wyborcza.pl/magazyn**

DOIĆ, KOGO SIĘ DA,



ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI

W KRAJU I ZA GRANICĄ

Cywilizacja łacińska przyszła do nas z Czech, ale przede wszystkim z Niemiec.

Jarosław Bratkiewicz

Do losotwórczych dla Polski wyborów 2023 r. PiS postanowił ruszyć niczym piechota kmiecia pod Grunwaldem: „równno, ławą, na Niemca, na psubraty!” (wedle „Krzyżaków” Sienkiewicza). I połączyć to z populistyczno-rewindykacyjnym pokrzykiwaniem w stronę Republiki Federalnej: dawać, należy się! Co, nie najechał Niemiec, nie okupował? Krwi polskiej nie utoczył? To niech teraz słono płaci!

Urodzonym grubo po 1945 r. pisowcom przez pijackie lzy zwiadają się „czerwone maki, serce, ojczyzna/ trzaska koszula, tu szwabska kula/ tu, popatrz, blizna” (jak śpiewał Wiesław Gołas w kabarecie Dudek).

Dziś „na kierunku niemieckim” w MSZ Rzeczypospolitej pisowskiej uwidacznia się wzmożenie moralne. Szef resortu, szeroko znany w wąskich kręgach Zbigniew Rau, pod

koniec 2022 r. parał notę werbalną do MSZ RFN z żądaniem odszkodowania za straty poniesione przez Polskę w II wojnie światowej. Wysokość reparacji – 6 bln 220 mld 609 mln zł – wyrachował i uzasadnił w trzech tomach raportu zespół pod wodzą Arkadiusza Mularczyka. Ogrom tej sumy może wynikać również z tego, że inicjatorzy roszczenia uwzględnili galopującą dziś za rządów PiS-u deprecjację złotych.

W metodologię wyliczeń nie wnikam. Podejrzewam jednak, że przypomina ona sposób, w jaki władze komunistyczne w Polsce po 1945 r. ustaliły liczbę ofiar śmiertelnych II wojny wśród obywateli RP polskiej narodowości.

Wiarygodnie przedstawiała się wtedy, księgowana skrupulatnie przez nazistowski przemysł zagłady, liczba uśmierconych obywateli RP żydowskiego pochodzenia – ok. 3 mln osób. Toteż rządzący Polski Ludowej (wskazuje się tu zwłaszcza na Jakuba Bermana) uznali, że „politycznie niesłusznym” byłoby podać mniejszą niż 3 mln liczbę etnicznie polskich ofiar wojny i okupacji. Tak zrodziła się w PRL-u liczba 6 mln zgładzonych obywateli RP, tyle że niemała część etnicznych Polaków zginęła z rąk sowieckich.

Autorzy pisowskiego raportu podają liczbę 5,2 mln ofiar. Włącza ona blisko 3 mln obywateli RP pochodzenia żydow-

skiego. Intrygująco na tym tle wygląda liczba 24 mln mieszkańców ujednoliconej pod względem narodowościowym Polski po wojennej (wedle spisu z 1946 r.), co groszowo odpowiada 24-25 mln etnicznych Polaków w II RP w 1939 r. Wyglądałoby na to, że Niemcy nie uśmiercili milionów Polaków.

Współobywatelskość obywateli RP żydowskiego pochodzenia z etnicznymi Polakami została po 1939 r. wystawiona na duży egzamin dziejowy, który przez krocie polskich „sąsiadów” został inercyjnie, kunktatorsko czy zgola świadomie obłany. Trudno się oprzeć przypomnieniu zgrozy Jana Błońskiego (w eseju sprzed 36 lat), gdy czytał „to, co o Żydach wypisywano przed wojną, kiedy się odkrywało, ile było w społeczeństwie polskim nienawiści”. I warto przywołać jego konkluzję: „Gdybyśmy postępowali mądrzej, szlachetniej, bardziej po chrześcijańsku, ludobójstwo [ludności żydowskiej] byłoby zapewne »mniej do pomyślenia«, prawdopodobnie byłoby utrudnione, a już niewątpliwie spotkałoby się ze znaczniejszym oporem”.

Myszę, że potomkowie niewielkiego odsetka polskich Żydów, którym udało się przeżyć Zagładę (a większość z nich mieszka w Izraelu), dystansują się od pisowskiej rewindykacji wobec Niemiec, pamiętając, że to do PiS-u najchętniej garną się polscy żydożercy.

Bezspornie to Rzesza Niemiecka napałała na Polskę i dopuszczała się na jej terytorium licznych zbrodni. Jednak agresja niemiecka nie spadła niczym niezawiniony dopust i plagi na kraj i naród, który bogobojnie siał zboże, kultywował niewinność, a pocieszenia szukał w modlitwie.

II RP, zwłaszcza w latach 30., przyjmowała – choć pętały ją spuszczone portki zacofania socjoekonomicznego – posturę mocarstwową, która materializowała się, zważywszy na mierne zasoby materialne RP, w formule rytualno-biesiadnej: hucznych defilad, bombastycznych mów, uroczystych rautów i balów.

Polska międzywojenna usiłowała się pozycjonować na mocy dyrektywy Piłsudskiego w równym oddaleniu od Niemiec i ZSRR. Stało się to nierealne po tym, jak władzę objął Hitler, który swą doktrynę strategiczną osadził na nieprzejednanym antysowieźmizmie i Polskę postrzegał jako atrakcyjnego sojusznika w realizacji dziejowej misji zniszczenia imperium sowieckiego.

Warszawa odwzajemniała awanse Berlina, mizdrzyła się do nazistowskich notabli, którzy chętnie odwiedzali Polskę i komplementowali ją; z cichego przyzwolenia Niemiec Polska poszakalała przy ciele rozczłonkowanej w 1938 r. Czechosłowacji. Wdała się w intrygę miłosną z III Rze-

szą, ale gorliwie dbała o cnotę suwerenności „mocarstwowej”, licząc, że Niemcy nadal będą adorowali Polskę i niczego nie wymagali. Czując, że to się nie udaje, i widząc, że Berlin wzmaga naciski, w 1939 r. dygnitarze RP poczęli gorączkowo pielgrzymować do Londynu i Paryża.

Ani Francja nie chciała „umierać za Gdańsk” (choć miała możliwości militarne), ani tym bardziej Londyn – którego siły zbrojne przysposobione były do obrony światowego, czyli morskiego imperium – się do tego nie kwapił. Polskę wsparły obietnicami i gwarancjami. Hitler zaś uznał to za nikczemną zdradę ze strony Polski i poprzysiągł zemstę.

Odwet przybrał kształt apokaliptyczny: miażdżącej przegranej i okrutnej okupacji. Kazimierz Wyka we wspomnieniach pokusił się o wskazanie innej przyczyny niemieckiej pogardy i agresji niż tylko indoktrynacja nazistowska. Było nią zaskakujące dla Niemców – narodu zachodnioeuropejskiego – zderzenie w 1939 r. z piszczącą biedą, zgrzybiałością i obskurantyzmem polskiego interioru.

Bo ludów anachronicznych i zgnuśnianych kraje Zachodu – na mocy „twardego realizmu”, który zresztą obtańcowują nasi pisowcy, uważając się za wcielonych twarzdzieli w polityce – nie poważają. A szczególnie wzgardzą tymi, którzy swe wsteczność i siermiężność oblekają w tromtadrację mocarstwową, hucznie ślubują, jak w II RP, że nie oddadzą nawet guzika. Lecz w 1939 r. oddali i guziki, i kalesony, i nade wszystko – Polskę.

Katastrofa cywilizacyjna z września 1939 powinna była zainspirować władze i elity do refleksji głębokiej, do samych trzewi polskości, nad przyczynami wielkich klęsk dziejowych, których doświadczyła Polska. Należało rozważyć, dlaczego nie potrafi sobie zaskarbić wiarygodnych sojuszników. Zastanowić się, dlaczego polskie wojsko od 200 lat żadnymi parametrami nie dorównuje nowoczesnym armiom europejskim (wyjąwszy osobistą odwagę i bitność żołnierza). I zmierzyć się z pytaniem, czy nie wynikało to z zapóźnienia cywilizacyjnego. A jeśli tak, to dlaczego rozwój Polski wyhamował.

Są to pytania alarmistyczne. A przy tym trudno nie skonstatować, że w Polsce po 1939 r. aż po dziś dzień odpowiadano zdawkowo i wymijająco, przyczyny niepowodzeń spisywano na czynniki doraźne, knowania zewnętrzne i złą wolę części elit w kraju, ślepy traf albo zgola fatum. Tak własne niepowodzenia i klęski tłumaczą sobie ludzie o mentalności przednowoczesnej.

Szlachta przypisywała rozbiory RP woli Opatrzności, która wystawiła polskiego Hioba na próbę; czarna sotnia oraz nasi oskarżali globalny spisek żydowski o wszelkie klęski Rosji i Niemiec; świat arabski zła dopatruje się w istnieniu państwa Izrael; Rosja Putina egzorcyzuje Zachód i NATO; Polska pisowska siłę nieczystą wyniuchała w liberalno-lewackiej Unii i w czyhającej za nią IV Rzeszy.

Tak reagujące na wyzwania dziejów społeczeństwa i kraje sukcesu w postnowoczesnym świecie nie odniosą. Polska tedy jako kraj europejski winna skoncentrować się na doganianiu pracą i pomyślunkiem innowacyjnym państw zachodnich. I tak robiła w ćwierćwieczu przed 2015 r. Atoli po tym roku rząd pisowski bez reszty oddał się obwinianiu czynników zewnętrznych, zwłaszcza Niemiec i Rosji, o dziejowe porażki Polski. Stąd w niej niedobór, inflacja i dziurawe kieszenie.

Sparaliżowani przednowoczesnością Polacy, ignorując poważne ułomności Polski w dziejach (bo przypominanie o nich byłoby „pedagogiką wstydu”), nie szczędzą płuc, by wywrzaskiwać pretensje do świata mocarzy i krzywdzicieli. Rosji pisowcy odgrają się najczęściej przez dziurkę od klucza (określenie Radosława Sikorskiego), gdyż wołeliby – i słusznie! – nie stanąć sam na sam z podpitym i rozjuszonym niedźwiedziem.

Jednak Niemcy, państwo do cna demokratyczne i nastawione pokojowo – jak nigdy od 300 lat – wydają się celem na tyle bezpiecznym, żeby odtańczyć przed nim rytualny taniec z karabelami. I poczynić hołubiec w kierunku zadośćuczynienia pieniężnego. Kultura pisowska wiruje w kręgu neosarmatyzmu: wetowań, rokoszy, insurekcji utopionych we krwi, męczeństwa niepodległościowego, ażeby wystawić sążniste rachunki tym, którzy przed owymi poczynaniami nie chylili skromnie czoła, ale unieczestwiali je ogniem i mieczem.

Stoi za tym atawizm socjoekonomiczny domagania się rekompensaty od możniejszych i silniejszych: owszem, chuliłganiło się w dziejach, ale dlaczego obca przeemoc wypcha nas, dumnych Sarmatów, do izby wytrzeźwień?

I tak powraca pytanie fundamentalne. Dlaczego narody zachodniej Europy, od Niemiec poczynając, są zamożniejsze i silniejsze od nas? Dlaczego nasza siła wyraża się jedynie w hulaszczości i zbrojnym figlowaniu?

Spontaniczna odpowiedź brzmi: bo ludzie Zachodu nie fircykowali w dziejach, lecz pracowali przedsiębiorczo, mnożyli bogactwo i siłę (podboje kolonialne też stanowiły formę biznesowej aktywności, w kontraście do lisowczyków, którzy harowali na wschodzie). Ale PiS plwa na to i galopuje drogą lisowczykowskich awantur.

Przednowoczesna, szlachecka dewiza głosi, że breweriami i rozróbą na dzikich polach polityki zdobywa się sławę molojecz-

Na polską notę niemiecki resort SZ odpowiedział zgodnie ze stanem prawnomiędzynarodowym. O reparacjach i innych zadośćuczynieniach od pokonanych Niemiec zdecydowała konferencja poczdamska w składzie Wielkiej Trójki zwycięskich mocarstw. Na mocy jej decyzji Polska otrzymywała określony odsetek od sowieckiej kwoty reparacyjnej ściąganej z Niemiec.

W 1953 r. – a wtedy istniały już RFN i NRD – Sowieci zaniechali ściągania reparacji z NRD w reakcji na pierwszy wielki antykomunistyczny bunt robotniczy, który miał miejsce w czerwcu tego roku. W ślad za Sowietami poszła zależna od Kremla Polska. Sprawę reparacji sfinalizował traktat o zjednoczeniu Niemiec („ostatecznym rozstrzygnięciu w sprawie Niemiec”), w którym w art. 7 pkt 1 czwórka zwycięskich mocarstw raz na zawsze rzeka się jakichkolwiek praw nadrzędnych i wymogów w odniesieniu do RFN. Finito, capito?

Hola, hola, powiada PiS, a gdzie tu decyzja Polski, gdzie sprawiedliwe zadośćuczynienie od niemieckiego gwałtownika i krzywdziciela? Pisowcy adorują „politykę realną”, podobnie jak jej sanacyjni antenaci, gdyż ubrdali sobie, że Polska jest mocarstwem, mimo że przez ostatnie 250 lat rozjeżdżano ją i wgniatano w głębę niczym niedopalek. Mimo to w „realistycznej” alegorii polityki międzynarodowej widzą siebie wśród dużych ryb, które pożerają małe. Zapominają, że duże ryby padają ofiarą żarłoczności jeszcze większych. I że Polsce daleko do kategorii lewiatanów morskich. Blżej jej do skumbrii w tomacie.



Kazimierz Wyka pokusił się o wskazanie innej przyczyny niemieckiej pogardy i agresji niż tylko indoktrynacja nazistowska.

Było nią zaskakujące dla narodu zachodnioeuropejskiego zderzenie w 1939 r. z piszczącą biedą, zgrzybiałością i obskurantyzmem polskiego interioru

ką, a tę winny wynagrodzić – przy sukcesach i przy niepowodzeniach – daniny, haracze i kontrybucje. Czyli ten sposób pozyskiwania bogactw i ich rozdzielnictwa, który cechował społeczeństwa archaiczne, od Egiptu i Mezopotamii poczynając, na ZSRR kończąc.

Pisowska polityka ekonomiczna usiłuje odrestaurować nakazowo-rozdzielczy system PRL-u, uszczknąć nieco realnej władzy poliarchicznemu na mocy wolnej konkurencji środowisku biznesu i jego otoczeniu naukowemu, artystycznemu, medialnemu, wzmocnić zaś monolit patriotycznej biurokracji. Monolit ten symbolizują słowa, czyny i rozkoszne konterfekty głuptaków Polski pisowskiej pozujących na orły, sokoły, takich jak Suski, Czarnek, Pawłowicz czy Telecki.

Redystrybucyjna mentalność, owo rozdawnictwo typu 500+, trzynastki itd. napędzają prymitywny socjalizm pokroju sowieckiego. Doić, kogo się da – i krajowych producentów, i historycznych krzywdzicieli z zagranicy – by z uzyskanych danin gestem patriarchy przydzielać „ludowi” kolejny gościniec.

Innymi słowy, władza pisowska – jako siła tradycyjna, wroga innowacyjności – pasożytuje na wszystkim, co kreatywne i wytwórcze, aby hojnie szafować przydziałami dóbr, zaskarbiając sobie miłość „ludu”. Czyjekolwiek ugięcie się przed kolejnym żądaniem haraczu utrwaliłoby ten pisowski socjalizm.

Nie ma jednak powodu, żeby Republika Federalna Niemiec się ugięła. Niemcy nie byłiby Niemcami – rozumnym, przedsiębiorczym i nowatorskim narodem – gdyby nie zdawali sobie sprawy, że te 6 bln zł to sarmacki humbug, niczym obdarowywanie Niderlandami lub ich odbieranie.

Gdyby żądane od Niemiec biliony i miliardy miały trafić do Polski, od razu by zasilily partyjną kasę PiS-u i zostałyby rozkradzione. I tym bardziej obsunęłyby Polskę ku przepastności rentierstwa, cokolwiek przypominającego życie na zachodni kredyt w czasach Gierka. Rozleniwiłyby Polskę, oblepiły gnuśnością, dojutrkowaniem – bo przecież forsa ciurkałaby z kranu, więc po co się z pieca zwlekać.

Roszczenia zadośćuczynieniowe powinny każdego rozsądnego i po europejsku myślącego Polaka sprowokować do zadumy, jakim narodem chcemy być przez kolejne dziesięciolecie XXI w. Czy chcemy na stanowić się na politykę afrykańskiego dojenia – pod bębnienie Mzimu Kaczyńkumby – gotówki od gnębieli dziejowych, czy też własnym wysiłkiem, inteligencją, pomyślunkiem, pracą – również wykorzystując szanse, jakie nam stwarza członkostwo w Unii – damy z siebie wszystko, żeby dorównać silnym i nowoczesnym narodom Europy.

Pamiętajmy w końcu, że cywilizacja łacińska przyszła do nas z Czech, ale przede wszystkim z Niemiec. Wraz z wielką migracją niemiecką, która na ziemiach polskich – gdy tylko ostatni wielcy władcy z dynastii piastowskiej scalili Polskę po rozbiu dzielnicowym – szybko się polonizowała.

Sugestywnie pisał o tym rozkochany w kulturze polskiej Aleksander Brückner, wielki uczony i wielki Polak. A Polska ostatnich Piastów, zwłaszcza Kazimierza Wielkiego, stanowiła apogeum europejskiego samostanowienia Polski. Po nim dopiero w ćwierćwieczu między 1989 a 2015 r. nasz kraj wdrapał się na porównywalne wyżyny.

Wątkiem osobnym w stosunkach polsko-niemieckich jest kwestia Prus. Garnęły się do Polski od początków XV w., wygrały wojnę domową z zakonem krzyżackim i w pewnej części w 1466 r. włączyły się do Polski.

Wraz z nią na firmamencie polskiej nauki, która w owym czasie prala jeszcze popłuczyny po białej i czarnej magii, pojawił się Mikołaj Kopernik, zwiastun myśli racjonalnej, naukowej – ta zaś krzewiła się w hanzeatyckiej ekumenie, do której należały Prusy.

Później jednak geopolitycznie zaniedbane i zarzucone przez RP Prusy poszły własną drogą. Bo Polska Jagiellonów przedkładała Wschód, ziemie ruskie – kulturowo wątle od zarania, a potem do reszty zbarbaryzowane przez najazdy Mongołów i Tatarów. Owa barbaria wypelniła po brzegi dziedzictwo sarmackie jako legat dzisiejszego PiS-u. ●



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jarosław Bratkiewicz

• ur. w 1955 r., politolog, były dyplomata. Działal w podziemnej „Solidarności”. Od 1992 r. w MSZ, w latach 1996-2001 ambasador na Łotwie, a w latach 2010-15 dyrektor polityczny tego ministerstwa.

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipiek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA



Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

JEJ WYSOKOŚĆ BIZNESWOMAN

Lukrecja Borgia w wysokiej ciąży i z ogromnymi problemami zdrowotnymi zastawiła klejnoty i kupiła kolejny folwark

ZE SŁYNNĄ POWIEŚCIOPISARKĄ I HISTORYCZKĄ **ANNA BRZEZIŃSKĄ*** ROZMAWIA **KATARZYNA WĘŻYK**

„Zmierzch rycerzy” jest książką o „bardzo starej miłości”. Do czego lub kogo?

– Do przeszłości przefiltrowanej przez literaturę, poznawanej w dzieciństwie poprzez baśnie, pełnej królewien, rycerzy i smoków. Gdzieś pod tą baśniową warstwą czai się bowiem prawdziwy świat, a mnie to przenikanie się prawdy z fikcją szalenie interesuje. Ruszyłam więc w epokę i opowieści, które mnie kształtowały, gdy byłam dziewczynką.

A co zakończyło świat rycerzy?

– Technologia, konkretnie rozwój broni palnej. No i kapitalizm. Okazało się, że feudalne sposoby gospodarowania są nie skuteczne i że to pieniądź jednak rządzi, a nie ziemia.

Trochę mnie zdziwiła data 1477 jako koniec średniowiecza.

– Pies z kulawą nogą o niej nie słyszał, prawda?

Zazwyczaj wymienia się wynalazek druku, upadek Konstantynopola, odkrycie Ameryki. Co wydarzyło się w 1477 roku?

– W bezsensownej wojence pod senną mięciną w Lotaryngii zginął, zadżgany przez plebejuszy ze szwajcarskich kantonów, jeden z najbardziej wpływowych władców epoki. Wielki rycerz, którego obawiał się i król Francji, i cesarz – burgundzki książę Karol Zuchwały. Przypadkowa śmierć, która zmieniła bieg historii, bo zakończyła marzenie o wykrojeniu Wielkiej Burgundii pomiędzy cesarstwem niemieckim a Francją.

XV wiek należał do Burgundii. Była jednym z najbogatszych państw Europy, obiektem zawiści i modelem oddziałującym na większość dworów europejskich, także dwór Jagiellonów. Jej władcy świetnie posługiwali się propagandą, mieli pieniądze i mieszczaństwo, z którym potrafili się dogadywać. No i próbowali rządzić w sposób mało scentralizowany, bo ich ziemie były różnorodne pod względem tradycji, języków i źródeł dochodów.

Taka trochę proto-Unia Europejska?

– Trochę tak, bo Burgundia była zlepkiem terenów dzisiejszej wschodniej Francji, Belgii i Holandii. Spajały tę zbieraninę dynastia, interesy, no i niechęć do ościennych władców.

A dlaczego burgundzki projekt upadł?

– Zdecydował przypadek. Karol Zuchwały miał tylko córkę, która została wydana za Maksymiliana Habsburga, i dynastię burgundzką zjedli Habsburgowie. „Szczęśliwa Austria, ty się żenisz” – inni wojują, Austria buduje swoją potęgę przez małżeństwa – słynna maksyma zaczyna się od tego ślubu. Historia wyglądałaby inaczej, gdyby Karol Zuchwały miał syna.

Żadna z trzech żon mu go nie dała. Czyli nie spełniły obowiązku, bo od królowych wymagano przede wszystkim sprawnej macy?

– Bez niej dynastia nam się kończy, więc tak. Ale myślę, że kobieta pozostała macicą na

dwóch nogach do momentu, gdy uzyskałyśmy skuteczne metody kontrolowania własnej płodności.

W XV wieku łatwiej było ciążę przerwać, niż jej zapobiec.

– Praktycznie od każdej pani domu, od wieśniaczki po królową, wymagano umiejętności leczenia. I większość znała ziołowe środki na najróżniejsze rzeczy, od grypy przez kosmetyki po przywrócenie menstruacji i afrodyzjaki. Kobiety przylapane na truciū męża zazwyczaj tłumaczyły, że to tylko napój miłosny – ale niestety biedak wypił za dużo i skonał.

Poza tym kobiety wcale nie były tak płodne, jak nam się wydaje. Te z plebsu jadły często niewiele, ciężko pracowały i długo karmiły piersią, więc nie zachodziły non stop w ciążę. Więcej dzieci rodziły przedstawicielki elit, bo była duża presja, żeby ród miał dziedziców, ale potem najczęściej oddawały je mamkom. Z przeżywalnością dzieci było różnie: bywało, że lepiej to wyglądało na wsi, bo wieśniaczki rodziły rzadziej i same o nie dbały.

A jak wyglądał ideał kobiety? I czy jakoś się zmieniał, gdy średniowiecze przechodziło w renesans?

– Ideał, który księża promują w kazaniach, a ideał w romansie rycerskim, to dwie różne rzeczy, a pod tym mamy jeszcze rzeczywistość. Bohaterka romansu to statyczny obiekt, dziewica w opresji, którą dzielny rycerz musi uratować. Kościół z kolei głosił, że kobieta jest zbawiona przez rodzenie dzieci, ma być pokorna i pokutować za grzechy Ewy. I to się nie zmienia w renesansie. Historycy wręcz się spierają, czy kobiety w ogóle jakkolwiek renesans miały.

Moim zdaniem feudalizm dawał kobietom większą przestrzeń wolności niż rodząca się kultura mieszczańska. W renesansie zaczyna się mocne genderowanie przestrzeni, czyli uznanie miejsc publicznych za domenę męską, i ograniczenie strefy wpływów kobiet do domu.

Już wtedy?

– Tak. Posługiwano się przykładami biblijnymi, jakie to niebezpieczeństwa czyhają na kobietę na zewnątrz. Oczywiście na zamknięcie kobiet w domu mogą sobie pozwolić bogaci. Jednak takie się pomysły stają coraz bardziej powszechne.

Nowe, protokapitalistyczne mieszczaństwo nie przynosi kobietom wolności. Również dlatego, że jeżeli miarą wartości mają być pieniądze, to jest im coraz trudniej je zarobić. Widać to w erozji zarobków służby domowej. W późniejszym średniowieczu proporcje między płciami się w tym sektorze zmieniły, tzn. wzrosła liczba kobiet – i stawki spadły. Pewne mechanizmy są, psiakrew, powszechne bez względu na epokę.

Renesans zawęży katalog dostępnych kobietom ról w warstwie normatywnej. Jednocześnie, i to jest paradoks, to wtedy dostajemy generację wielkich władczyń: Elżbietę I, Marię Stuart, Katarzynę Medycejską.

Jako że kobieta do rządzenia się nie nadaje, Elżbieta I przeznacza ogromne środki materialne i wielki wysiłek intelektualny, żeby siebie przedstawić jako wyjątek. Buduje wizerunek asekualnej matki narodu w opozycji do rozbuchanej Marii Stuart, która jakoby nie panuje nad popędami.

We wcześniejszej epoce wielka pani ma być pobożna, być dobrą i posłuszną żoną, urodzić dzieci, ale też potrafić zarządzać majątkiem pod nieobecność małżonka, jeśli ten akurat pałęta się krucjacie. I to jest społecznie akceptowana rola – jeżeli kobieta nie budzi moralnych zastrzeżeń, to może mieć realny udział we władzy albo wręcz władać.

To znaczy?

– Jest pewien zespół cech, które sprawiają, że kobiety odnoszą sukces, i drugi, który gwarantuje im porażkę. Przekonała się o tym angielska Barbara Radziwiłłówna, czyli Elżbieta Woodville. Zakochał się w niej Edward IV York i poślubił wbrew opinii wszystkich doradców. Elżbieta bowiem nie tylko nie była królewskiej krwi, ale też była wdową z dwoma synami, a przede wszyst-

kim ponoć kochanką króla, zanim została jego żoną.

No i była starsza, więc musiała być czarownicą.

– Takie oskarżenia też padały. Elżbieta urodziła Edwardowi dziesięcioro dzieci, a potem król przeziębził się i umarł. I to jest ten szekspirowski moment, kiedy przyszłość dynastii rozwiewa się w mgnieniu oka. Do władzy dochodzi Ryszard II, brat zmarłego króla, zamyka bratanków w wieży i oni nagle znikają. A z Elżbietą nikt się nie liczy, bo nikt jej nie szanuje. Raptem narzędziem puczu i przejęcia władzy staje się moralność królowej. Podważa się legalność jej małżeństwa i prawowite pochodzenie jej dzieci, wyklucza je z linii dziedziczenia. Przedstawia się ją jako źródło zepsucia, gdyż, tu cytat, jej rodzina popychała króla do nierządu, nieróbstwa, pijaństwa, a jej bracia żerowali na majątku korony.

I dlaczego tak się dzieje? Elżbieta nie potrafiła zbudować autorytetu. Nie pochodziła z rodziny panującej, jej ród rzeczywiście był zachłanny, no i przyczepiła się do niej łatka ladacznicy, bo jej małżeństwo zaczęło się od romansu.

Z drugiej strony kanału La Manche Małgorzata z dynastii Yorków i żona Karola Zuchwałego, siostra męża Elżbiety, też zostaje wdową. I teoretycznie powinna być w gorszej sytuacji.

Bo nawet nie urodziła dzieci?

– Tylko że ona ma autorytet, bo przez lata budowała wizerunek skrzętnej, pobożnej gospodyni. Po śmierci małżonka Małgorzata stała się przybraną matką dla swojej pasierbicy Marii, a potem przybraną babcią całej następnej dynastii. Była osobą bardzo inteligentną i potrafiła rządzić w sposób zakulisowy, konciliacyjny, ale też bronić swego, gdy mieszczenie się jej stawiali. Nigdy także, co było najważniejsze, nie pozwoliła sobie choćby i na cień skandalu.

Kobieta mogła sobie wyrębać jaką taką sprawczość, ale wymagało to czasu?

– Największym uśmiechem losu, jaki mogła mieć dziewczyna, był kochający ojciec. Taki, który zadba o jej dobre zamążpójście i odpowiednio wyposaży.

Papież Aleksander VI kochał córkę, ale też traktował ją jako narzędzie prowadzenia polityki. Co o tym myślała Lukrecja Borgia, nie wiemy, lecz te kobiety od dziecka wiedziały, że ich rolą jest cementowanie sojuszy przez małżeństwo. Ją wydawano za mąż aż trzykrotnie. Najpierw za Giovanniego Sforzę. Gdy układ na szachownicy się zmienił, Lukrecja zeznała, że małżeństwo nie zostało skonsumowane. Całe Włochy konały ze śmiechu, a Sforza był tak wściekły, że zrobili z niego impotentą, że w zemście rozpuścił plotkę, jakoby Lukrecja była kochanką swojego ojca i brata.

Drugie małżeństwo – z królewiczem neapolitańskim Alfonsem – również było zaaranżowane, ale najciekawsze okazało się trzecie. Lukrecja została wysłana na północ, do Ferrary, gdzie nikt na nią nie czekał. Papież bardzo dużo zapłacił, żeby Estowie w ogóle chcieli na jego córkę spojrzeć. Mąż, Alfonso d’Este, przyjął ją obojętnie, teść był jej niechętny.

Feudalizm dawał kobietom większą przestrzeń wolności niż rodząca się kultura mieszczańska. W renesansie zaczyna się genderowanie przestrzeni, czyli uznanie miejsc publicznych za domenę męską

FOT. BE&W



A potem Rodrigo umarł i stało się coś niezwyklego. Estowie uznali, że słusznie wieszali na Borgiach psy, lecz Lukrecję jednak wszyscy polubili. Musiała być nie tylko inteligentna, ale mieć również niezwykle możliwości adaptacyjne. Potrafiła dogadać się z Estami i zbudować sobie spokojne życie, które zazwyczaj historyków nie interesuje. Administrowała dobrami, wyposażała klasztory, zapoczątkowała akcję osuszania mokradeł Padu, jednocześnie rodząc kolejne dzieci.

W jakim stopniu dla tych władczyń religia była już wtedy teatrem i narzędziem?
– Na pewno była głębokim przeżyciem indywidualnym. Wiele władczyń było tercjarkami, czyli należały do zakonów świeckich. Swoje fraucymery trzymały, jak Lukrecja, żelazną ręką i nie pozwalały na miłostki. Chodziły na pielgrzymki. Fundowały klasztory. Ich życie toczyło się w uporządkowanym rytmie modlitwy, kontemplacji i pracy. Pamiętajmy jednak, że prywatność jeszcze się nie narodziła. Szło się do kościoła tak, żeby być widzianym. To spektakl, którego powidoki do dziś mamy w bardziej tradycyjnych miejscach: rytuał niedzielnego wyjścia do kościoła, potem pójścia na ciastko w miejscowej kawiarni. Pod koniec średniowiecza wszystkie ważne wydarzenia, rodzinne i nie tylko, miały aspekt religijny. I księżna była pod-

czas nich widziana: na kolanach przed ołtarzem, w procesji, kiedy po pogoju szła na oczyszczenie do kościoła. To wszystko odbywało się przy masie gapiów, a teatralny aspekt był bardzo silnie zaznaczony.

Ale jak pogodzić chrześcijańską moralność z tym, że papieże mieli kochanki, dbali o karierę dzieci i uczestniczyli w orgiach?

– Mam wrażenie, że ówczesni ludzie mieli różne szufladki w mózgu. Przecież całe Włochy wiedziały, że Lukrecja w Ferrarze zawiera trzecie małżeństwo, co nie przeszkadzało nazwać ją najczcigodniejszą z dziewic.

Tak z połowa bohaterów „Zmierzchu świata rycerzy” miała syfilis.
– On przeorał historię Europy. Ludzie cierpieli monstrialnie – kila powodowała owrzodzenia, zmiany skórne, uszkodzenia układu nerwowego, u kobiet poronienia – a kuracje były równie straszliwe. Dostępnym było połączenie choroby z seksualnością. Jest nawet teoria, która właśnie z syfilisem łączy zamykanie łazni publicznych i zamtułów, które przecież w średniowieczu funkcjonowały, były opodatkowane i nie udawano, że to stajenka betlejemka. To choroba miała zepchnąć seks w bardziej mroczną przestrzeń prywatną.

A w jakim sensie bohaterkom pani książki „zawdzięczamy nowożytność”?

– Najważniejszą funkcją kobiety było sprawowanie na świat potomków, ale ich rola nie sprowadzała się wyłącznie do tego. Transmisja kultury, zawieranie sojuszy, przenoszenie pamięci – to wszystko dokonywało się przez kobiety. I ja tę zapomnianą część renesansu chciałam pokazać. To, że gdy wysyłano córkę na drugi koniec Europy, wraz z nią szła cała kultura.

Kobiety miały też udział w budowie kapitalizmu. Matka Lukrecji Vannozza Cattanei prawdopodobnie plebejuszka, została kochanką Rodrigo Borgii. Kardynał wydał ją trzykrotnie za mąż: mężowie dostawali posag i koneksje, Borgia dostęp do kochanki. Vannozza rozsądnie nie zamierzała czekać, aż strumień darów od Rodrigo wyschnie, i inwestowała w nieruchomości. Tak skutecznie, że stworzyła jedno z największych imperiów hotelarskich w Rzymie, który już wówczas był centrum turystyki pielgrzymkowej.

Lukrecja odziedziczyła talent do zarabiania po matce. I dla mnie bardziej fascynujące są nie jej romanse, ale to, że będąc w wysokiej ciąży i z ogromnymi problemami zdrowotnymi, potrafiła zastawić klejnoty i kupić kolejny folwark. Nasze wyobrażenie o przeszłości, w której kobiety tylko siedzą nad kądzielą albo słuchają trubadura, to brednia.

A na ile kochanka i córka papieża były wyjątkami? Czy kobiety miały wtedy prawo do własnych pieniędzy?

– Zależy gdzie, ale we Włoszech co do zasady tak. Teoretycznie majątkiem zarządzał mąż, jednak w niektórych włoskich państwach przy operacjach finansowych wymagano potwierdzenia notarialnego woli żony. I sporo kobiet inwestowało swoje pieniądze.

Taka była też nasza Bona Sforza. Typowa włoska księżniczka: wykształcona, pięknie prezentowała się w tańcu, doceniała walor polityczny teatru dworskiego. Miała temperament, co Polaków gorszyło, bo robiła sceny, rzucała się na ziemię, płakała. Jest zapamiętana przez pryzmat czarnej legendy, że pchała się do rządu, doprowadziła do koronacji syna Zygmunta Augusta za życia ojca i budowała własne stronnictwo, zamiast rodzić dzieci, co u nas spotykało się w ogromnym oporem.

Ale Bona była także bardzo sprawną bizneswoman. Zarządzała królewskimi, kupowała posiadłości na Litwie, przejęła nadzór nad cłem, handlowała bydłem i miała z tego gigantyczne dochody. A potem te wory pieniędzy zapakowała na wozy i wywiozła do Włoch.

Podziwiam witalność tych kobiet, ich siłę, niezwykłą umiejętność dostosowania się. Jak dzikie pnącza przerastały przez tę epokę i szukały własnej ścieżki. Grając tak znanych kartami, umiały sobie zbudować jakąś przestrzeń.

Miedzy mężem, którego nie wybrały, kolejnymi ciążami i presją religii?

– Każda budowała sobie własną. Dla części było nią odosobnienie w klasztorze, na chwilę albo na dłużej. Wiejskie posiadłości, którymi potrafiły skutecznie zarządzać. Wszystkie też szybko odkrywają, że pieniądze dają wolność, zwłaszcza te, które – jak Vannozza – dorobiły się same. Wreszcie, jak przekonała się jej córka, także w małżeństwie można wykroić przestrzeń dla siebie, o ile masz dobrego męża.

Nie było natomiast sposobu na złego męża. Oprócz oczywiście „napoju miłosnego”. ●

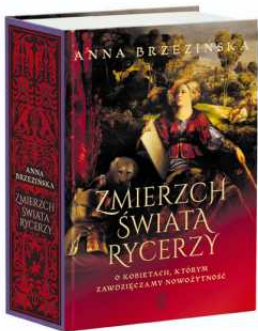


FOT. ALBERT ZAWADA

*Anna Brzezińska

• ur. w 1971 r., pisarka, gwiazda polskiej literatury fantastycznej, trzykrotna laureatka Nagrody im. Janusza A. Zajdla, z wykształcenia mediewistka. Autorka bestsellerowych serii o zbroju Twardokęsku, Wilżyńska Dolina i Wielka Wojna, powieści „Woda na sicie. Apokryf czarownicy”, książki historycznej „Córki Wawelu” oraz licznych opowiadań.

Właśnie nakładem WL ukazuje się jej nowy tom historyczny – **„Zmierzchu świata rycerzy. O kobietach, którym zawdzięczamy nowożytność”**. Książka jest już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



Masowego bezrobocia nie będzie

Mniej podatne
na wpływ modeli
językowych
w rodzaju ChatGPT
są zawody wymaga-
jące umiejętności
z zakresu nauki i kry-
tycznego myślenia

Jakub Kibitlewski

KTO WYGRA ZESTOCHASTYCZNĄ PAPUGĄ

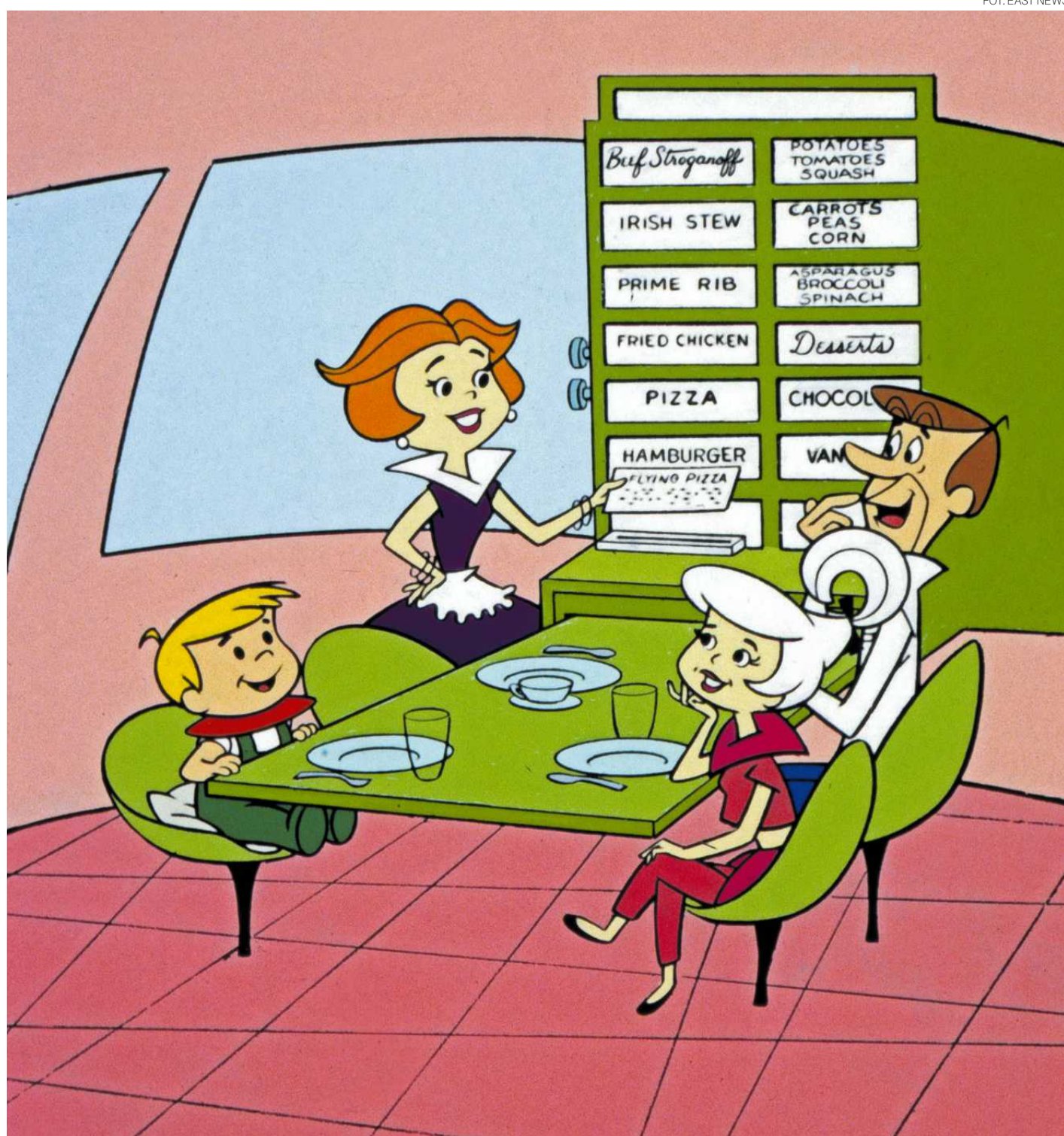
W jednym z mniej znanych opowiadań, „Ad astra”, Sławomir Mrożek opisuje pojawienie się na Ziemi tajemniczych postaci, które zalewają rynek wydawniczy hurtową ilością literackich arcydzieł. Przybysze nie różnią się wyglądem od ludzi, lecz są nadzwyczaj produktywni i niemal samowystarczalni, a ich doskonale pod każdym względem dzieła momentalnie wypierają z obiegu wszystkie inne publikacje. Zdezorientowani nadludzkiemu geniuszowi zawodowi pisarze muszą zadać sobie pytanie o sens życia w świecie, w którym stali się przeżytkiem...

Mrożek szydzi z realiów zupełnie innej epoki, ale uniwersalna oś konfliktu jego historii brzmi niepokojąco aktualnie na tle ostatnich doniesień o coraz bardziej fantastycznych możliwościach sztucznej inteligencji – technologii, która dzięki zaawansowanym algorytmom i ogromnym zasobom danych treningowych pozwala w krótkim czasie wygenerować treści do złudzenia przypominające dzieło człowieka.

Najważniejsze obawy związane z rosnącym potencjałem tych narzędzi streszcza dramatyczny apel, który ukazał się na stronie think tanku Future of Life Institute. Tysiące podpisanych, w tym inżynierów amerykańskich Big Techów, badacze AI, ale też znane nazwiska przemysłu technologicznego jak Elon Musk, ostrzegają przed „wymykającym się spod kontroli wyścigiem na drodze ku rozwijaniu i wdrażaniu coraz potężniejszych cyfrowych umysłów, które w przyszłości mogłyby nawet zastąpić człowieka”. Jak podkreślają, kluczowe decyzje mogące przesądzić o naszej cywilizacji nie powinny być podejmowane przez „technologicznych liderów niewybieralnych na drodze demokratycznych wyborów”. Apel wzywa też do natychmiastowej sześciomiesięcznej przerwy w pracach nad sztuczną inteligencją w celu opracowania odpowiednich mechanizmów bezpieczeństwa.

Bez względu na realne możliwości takich systemów i intencje autorów tego czy innych alarmistycznie brzmiących komunikatów (wątpliwości co do altruistycznych pobudek mogą budzić choćby podpis Musk'a albo mało subtelna sugestia o potrzebie „znaczących środków publicznych” na badania nad bezpieczeństwem AI), centralnym problemem dyskusji nie jest wbrew pozorom sztuczna inteligencja. U podstaw obaw leży nie tyle lęk przed samą technologią, ile ogólne poczucie braku kontroli nad jej zastosowaniem i kierunkiem rozwoju.

Według badań CBOS opublikowanych w styczniu odsetek Polek i Polaków obserwujących wokół siebie „przede wszystkim niepewność ju-



tra” jest największy od 1988 roku. Podobne nastroje widać w całej Europie, od Londynu po Madryt, co pokazuje ostatni raport brytyjskiej sondażowni YouGov i Uniwersytetu w Cambridge. Z ankiety przeprowadzonej wśród obywateli 23 największych państw świata wyłania się ponury obraz Europejczyka pozbawionego złudzeń na temat przyszłości planety, kraju i standardu życia przyszłych pokoleń. Powodów tak powszechnego pesymizmu nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć, bo choć rosnąca inflacja czy kryzys energetyczny dotyczą „tylko” tych z nas, którym za kluczowy wskaźnik wewnętrznego spokoju służy stosunek wysokości wypłaty względem kredytowych zobowiązań, to już doświad-

czenia pandemii, powrót agresywnej rywalizacji atomowych mocarstw i postępująca katastrofa klimatyczna powinny budzić delikatny niepokój nawet u elit odgradzonych od reszty świata pancernym murem przywileju.

Lęk i obawę o przyszłość widać zwłaszcza wśród ludzi młodych, u których stres i napięcie związane z pandemiczną izolacją pogłębiły pogarszającą się od lat stan zdrowia psychicznego. Skalę problemu pokazuje opublikowany pod koniec października 2021 raport UNICEF wymieniający samobójstwo jako najczęstszą obok wypadków drogowych przyczynę śmierci europejskich nastolatków pomiędzy 15. a 19. rokiem życia. Co więcej, Światowa Organiza-

cja Zdrowia (WHO) szacuje, że do 2030 r. depresja będzie najczęściej występującą chorobą na świecie.

Idąc tropem Hansa Roslinga, autora „Factfulness. Dlaczego świat jest lepszy, niż myślimy, czyli jak stereotypy zastąpić realną wiedzą”, ktoś mógłby słusznie zauważyć, że tak negatywny obraz rzeczywistości jest jedynie kwestią optyki. Litanię ponurych statystyk można przecież łatwo skontrować całą masą optymistycznych faktów, które pokazują, jak ogromnego skoku cywilizacyjnego dokonała ludzkość na przełomie ostatniego stulecia. W krajach rozwiniętych rodzi się coraz mniej dzieci? Tak, ale w porównaniu z naszymi przodkami z międzywojnia żyjemy średnio 30 lat dłu-

FOT. EAST NEWS

żej, a śmiertelność noworodków drastycznie spadła! Ekstremalne nierówności społeczno-gospodarcze? Może, ale liczba ludzi żyjących w skrajnym ubóstwie zmniejszała się w ciągu ostatnich 20 lat o połowę! Poza tym kobiety mają przecież prawa wyborcze, osoby nieheteronormatywne stają się coraz bardziej widoczne i akceptowane, a w Stanach Zjednoczonych, gdzie jeszcze w połowie ubiegłego wieku czarnoskórzy Amerykanie nie byli nawet pełnoprawnymi obywatelami, Barack Obama został dwukrotnie wybrany na urząd prezydenta i wydaje z małżonką bestsellerowe memuary.

Skąd tak powszechne poczucie niepokoju? Zdaniem autora „Factfulness” obraz ewidentnego postępu znika pod lawiną negatywnych informacji serwowanych nam przez media i platformy społecznościowe: treści, które wzbudzają gniew czy oburzenie, skuteczniej przyciągają uwagę. Ostatecznie winni jesteśmy więc my sami, bo ulegamy psychologicznym mechanizmom pesymizmu, determinizmu czy strachu, nazywanymi w książce Roslinga „instyntkami”.

Z lektury nie dowiemy się jednak, co zrobić, jeśli po wielu godzinach studiowania wskaźników rozwoju społecznego UNESCO wciąż nie czujemy się bardziej odprężeni. Krótko mówiąc, mamy tu do czynienia z niemalym dysonansem poznawczym. Jeżeli mimo ogólnej poprawy przeciętnej jakości życia, technologicznego postępu i całej gamy dostępnych ścieżek kariery, jogurtów, a nawet tożsamości paradoksalnie wzrasta też liczba osób cierpiących na zaburzenia lękowe i depresję, śmiało można powiedzieć, że coś poszło nie tak.

İnną diagnozę stawia wielki socjolog Zygmunt Bauman. Powszechne poczucie niepewności i zagrożenia są charakterystyczną cechą społeczeństw „płynnej nowoczesności”. Bauman określa tak warunki życia we współczesnym, ukształtowanym przez postępującą globalizację świecie, w którym struktury i instytucje społeczne ulegają ciągłemu przeobrażeniu. Zbiorowe lęki wynikają ze stopniowego „rozwołu władzy i polityki”, a więc przenoszenia coraz większej liczby funkcji pełnionych przez państwo w sferę działań nieobliczalnych sił rynkowych i zrzućania skutków systemowych problemów na barki jednostek. Znoszenie kolejnych barier dla przepływu informacji, produktów, ludzi i kapitału ogranicza jednocześnie możliwość efektywnego sprawowania kontroli nad kierunkiem tych procesów. Innymi słowy, Bauman podkreśla, że gdy zasięg sił mających bezpośredni wpływ na nasze życie jest globalny, zakres władzy instytucji politycznych pozostaje ściśle związany granicami państwowymi.

Opisane w „Płynnej nowoczesności” rozwarstwianie się władzy i polityki dobitnie widać w obszarze nowych technologii. Weźmy cyfrowe platformy, które w naszym świecie mają być oknem na świat i umożliwiać różne formy komunikacji na niespotykaną dotąd skalę. TikTok, Instagram, Google czy Facebook są ściśle wplecione w społeczno-gospodarcze struktury państw Zachodu, a podmioty, do których należą, znajdują się wśród najwyższych wycenianych firm na świecie. Ich usługi są integralną częścią naszego ekosystemu medialnego, przestrzenią publicznej debaty i nieodłącznym elementem życia towarzyskiego i zawodowego. Z ich wyszukiwarek, komunikatorów czy serwisów społecznościowych korzystamy codziennie.

A ponieważ gromadzą i przetwarzają przy tym olbrzymie ilości danych o naszej aktywności, mają dostęp do jednego z „najcenniejszych zasobów XXI wieku”.

W krajach UE normy wykorzystywania danych użytkowników platform są ściśle określone przez rozporządzenie o ochronie danych osobowych (RODO) czy wprowadzony pod

koniec zeszłego roku akt o usługach cyfrowych (DSA). Praktyka bywa jednak różna.

O tym, jak wartościowym zasobem dysponują internetowe platformy, świadczy sam ich model biznesowy, polegający na monetyzacji danych użytkowników w celach marketingowych. Bywa to o tyle problematyczne, że bazujące na zgromadzonych danych algorytmy, pozwalające szczegółowo dopasować treści do konkretnych osób, mogą się stać narzędziem manipulacji, w tym politycznej. Wystarczy wspomnieć głośną aferę z firmą Cambridge Analytica, która bezprawnie pozyskała i wykorzystała dane milionów użytkowników Facebooka do manipulowania kampanią wyborczą w USA w 2016 r.

Krytycy zwracają też uwagę na konflikt interesów pomiędzy mechanizmami funkcjonowania platform a interesem społecznym. Wyniki badań opublikowane przez naukowców z MIT w 2018 r. pokazały, że treści zawierające fałszywe informacje rochochodzą się na Twitterze o 70 proc. szybciej niż prawdziwe wiadomości. Wnioski o potencjalnym zastosowaniu mediów społecznościowych w wojnie informacyjnej nasuwają się same.

Wykorzystywanie treści wzbudzających negatywne emocje do bardziej skutecznego przyciągnięcia uwagi może mieć wpływ na zdrowie psychiczne. Zwracała na to uwagę w 2021 r. pracownica Facebooka Frances Haugen. Ujawniła między innymi, że pomimo wewnętrznych badań

VisiCalc, pierwszy komputerowy arkusz kalkulacyjny, w 1979 r. zlikwidował 400 tys. posad w księgowości, ale stworzył 600 tys. nowych

świadczących o jednoznacznie negatywnym wpływie Instagrama na zdrowie psychiczne nastoletnich dziewczyn (w tym zaburzeń odżywiania i depresji), firma nie ujawniła wyników analizy i zignorowała sprawę.

O moderacji i pozycjonowaniu treści publikowanych na łamach platform społecznościowych też decydują one same, często w mało przejrzysty sposób. Pokazuje to sprawa Społecznej Inicjatywy Narkopolityki, polskiej organizacji non profit działającej na rzecz ograniczenia szkód związanych z zażywaniem psychoaktywnych substancji, która w 2019 r. pozwala właścicieli Facebooka o arbitralne usunięcie jej profili i grup.

Instytucje państwowe nie są oczywiście bezbronne. Władze mogą regulować, a nawet zablokować konkretne medium, ale politycy musieliby wtedy zrezygnować z komunikacyjnych narzędzi i szerokich zasięgów. Jak symbiotyczne to relacje, pokazuje przypadek Donalda Trumpa i Twittera (do czasu) albo Konfederacji i TikToka.

Przepaść pomiędzy efektywnym działaniem instytucji politycznych a destabilizującym potencjałem cyfrowych platform widać też na rynku pracy. Jak wynika z danych Komisji Europejskiej, mimo obowiązującego prawa duża część z ponad 28 mln osób pracujących na terenie UE za pośrednictwem platform typu Uber nie jest objęta dostateczną ochroną. Gdy o przydzielaniu zleceń i obowiązujących stawkach decydują nieprzejrzyste algorytmy, firmy, w imieniu których kurierzy czy kierowcy wykonują konkretne zadania, wymykają się często oficjalnej definicji pracodawcy, ucieka-

jąc tym samym od zobowiązań gwarantujących pracownikom godne warunki. Odpowiedzialność jest przerzucana na współpracujących z platformą pośredników bądź samych wykonawców, którzy w razie choroby lub wypadku są pozbawieni dostępu do podstawowych systemów społeczno-gospodarczego wsparcia.

Tempo rozwoju technologii wyprzedza więc prawo i kształtuje naszą rzeczywistość, zanim zdążymy zareagować. To warzyszące temu lęki – że zmian nie da się zatrzymać, a nasze instytucje nie poradzą sobie z ich ujarzmieniem – wyrażane są dziś szczególnie głośno w związku z możliwościami sztucznej inteligencji. Andrew J. Scott i Lynda Gratton, autorzy książki „Nowe długie życie. Zaprojektuj swoją przyszłość w zmieniającym się świecie”, nazywają to syndromem Frankenstein – strachem, że „innowacyjność technologiczna przejawia się w sposób tak potężny i gwałtowny, że zdominuje nasz sposób życia, a my tracimy pracę, źródła utrzymania, a nawet poczucie bycia człowiekiem”.

Alie czy w przypadku sztucznej inteligencji faktycznie jest się czego obawiać? Popularny ChatGPT, stworzone przez firmę OpenAI narzędzie wykorzystujące przetwarzanie języka naturalnego, na podstawie prostego polecenia jest w stanie napisać kod informatyczny, ale też w kilka minut wygenerować tekst na dowolny temat i w dowolnym stylu (w tym

prace dyplomowe i książki). Chatbot udziela również zaskakująco sensownych, niemal ludzko brzmiących odpowiedzi na zadane mu pytania. Teoretycznie więc potencjał takich technologii jest ogromny.

W praktyce wiele zależy od jakości generowanych treści. Jednym z problemów jest tendencja dużych modeli językowych, takich jak ChatGPT, do podawania nieprawdziwych informacji. „Halucynacje”, jak twierdzi Gary Marcus, profesor Uniwersytetu Nowojorskiego specjalizujący się w neurobiologii poznawczej, „są nie tyle kwestią wielkości czy jakości zbioru danych użytych do trenowania algorytmu, ile fundamentalnym ograniczaniem samej technologii”.

A przede wszystkim – modele językowe nie wytwarzają nowych treści. Na podstawie dostępnych informacji obliczają jedynie prawdopodobieństwo, że konkretne słowo powinno się pojawić jako następne. W bardzo dużym uproszczeniu, działała to na podobnej zasadzie co autouzupełnianie wiadomości tekstowych w smartfonie. Profesor Emily M. Bender, ekspertka w dziedzinie lingwistyki komputerowej na University of Washington, w szeroko cytowanej pracy naukowej dotyczącej zagrożeń dużych modeli językowych nazwała ten mechanizm „stochastyczną papugą”, która „probabilistycznie wypływa z siebie słowa”.

Mimo ewidentnych wad i ograniczeń nie można wykluczyć, że w miarę rozwijania dużych modeli językowych niektóre obszary ludzkich kompetencji zostaną w jakimś stopniu zautomatyzowane. Sama OpenAI przekonuje, że skutki wdrożenia ich technologii będą odczuwalne nie-

mał w każdej branży. Jak czytamy w opublikowanym 27 marca badaniu analizującym amerykański rynek pracy pod kątem zastosowania dużych modeli językowych, mogą one wpłynąć na 10 proc. zadań wykonywanych przez 80 proc. pracowników. Z kolei w przypadku 19 proc. pracowników może to być ponad połowa ich zadań. Autorzy badania twierdzą, że mniej podatne na wpływ obecnych modeli językowych są zawody wymagające umiejętności z zakresu nauki i krytycznego myślenia. Odwrotnie jest w przypadku zawodów, w przypadku których liczy się znajomości programowania i pisanie.

Jak pokazują Scott i Gratton, prognozy zapowiadające społeczno-gospodarcze wstrząsy w wyniku automatyzacji nie są nowe. Co więcej, technologiczne innowacje jeszcze nigdy nie spowodowały masowego bezrobocia. Powołując się na raport analityków McKinsey Global Institute z 2017 r., autorzy „Nowego długiego życia” zauważają, że w pełni autonomiczne pojazdy miały zmniejszyć zatrudnienie w amerykańskim sektorze przewozowym o dwie trzecie. Jak nietrafione były to założenia, widać na przykładzie producenta elektrycznych samochodów Tesla. Elon Musk od 2014 r. zapowiada, że autonomiczne pojazdy są już tylko kwestią paru miesięcy. Tymczasem Departament Sprawiedliwości USA prowadzi śledztwo w sprawie kilkunastu wypadków, w tym śmiertelnych, z udziałem funkcji autonomicznego kierowania (tzw. autopilot wciąż wymaga aktywnego udziału kierowcy).

Przed gwałtownym wpływem automatyzacji na rynek pracy ostrzegali też w 2013 r. Carl Benedikt Frey i Michael Osborne. Badacze z Oksfordu przewidują, że 47 proc. miejsc pracy w USA zniknie w wyniku „komputeryzacji” w ciągu najbliższych 10-20 lat. Kwestionując metodologię autorów, badacze OECD w 2016 ponownie przeanalizowali ich liczby. Wniosek? Przy bardziej realistycznym ujęciu różnorodności form miejsc pracy podanych na ryzyko kompletnej automatyzacji jest mniej niż 10 proc.

Nie można też zapomnieć o nowych zawodach i całych branżach, które mają szansę się pojawić dzięki innowacjom. Scott i Gratton podają przykład VisiCalc, pierwszego komputerowego arkusza kalkulacyjnego. Po jego wprowadzeniu w USA w 1979 r. zlikwidowano 400 tys. miejsc pracy w księgowości, ale jednocześnie stworzono 600 tys. nowych, w tym samym sektorze.

Nawet jeśli przewidywania szerokich zastosowań narzędzi takich jak ChatGPT miałyby okazać się trafione, automatyzacji ulegną przede wszystkim zadania rutynowe, powtarzalne i czasochłonne. Oddanie ich maszynom nie byłoby znowu najgorsze. Moglibyśmy się skupić na bardziej istotnych zadaniach, wymagających typowo ludzkich cech i wrażliwości. A skoro nie spadłaby przy tym produktywność, może doczekalibyśmy się nawet czterodniowego tygodnia pracy. ●

„Nowe długie życie. Zaprojektuj swoją przyszłość w zmieniającym się świecie”.

Książka Andrew J. Scotta i Lyndy Gratton w przekładzie Anny Doroty Kamińskiej, wydawnictwo Znak Literanova, już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka.



METALOWA ASKOTKA

Fani odpuszczają
Metallice nawet to,
czego artystom
nie powinno się
puszczać płazem.

Jarek Szubrycht

Laczęło się od fortelu godnego Zagłoby. W 1981 roku niespełna 18-letni Lars Ulrich, Duńczyk mieszkający w Kalifornii, poznał Rona Quintanę z San Francisco. Pierwszy chciał grać, drugi o muzyce pisać w fanzinie, który zamierzał nazwać „Metallica” albo „Metal Mania”. Lars pospieszył z radą, że lepsza jest „Metal Mania”, by wykorzystać Metallicę dla swojego zespołu.

Metallica to jedna z najlepszych nazw w historii muzyki rozrywkowej, bo jest prosta, łatwa do zapamiętania, w każdym języku znaczy to samo i jest niemal tożsama ze swoją kategorią, jak adidas albo elektroluks.

Kolejne pokolenia, w których budzi się zainteresowanie muzyką metalową, zaczynają od płyt i koncertów Metalliki, bo od kogo innego?

PUDLE I BOGOWIE

Pojawili się w dobrym czasie i miejscu. Heavy metal został wymyślony w Wielkiej Brytanii w latach 70. i był przez tamtejsze zespoły cierpliwie doskonalony – od Black Sabbath przez Judas Priest po Iron Maiden. Amerykanie, owszem, też grali metal, ale zamieniali go w cyrk (Kiss) albo w cyrk z lepszymi piosenkami (Van Halen). Początek lat 80. to za opanem czas triumfu ich uczniów, a więc metalu robionego według przepisu: „im głupiej, tym lepiej” – wizerunek zatrzymał się gdzieś w pół drogi pomiędzy drag queen a motocyklowym gangiem – głośno, prosto i chwytliwie, a teksty najlepiej o seksie, piciu i że fajnie jest być bogiem rock and rolla. Ameryka kochała pudel metal – nazywany tak tylko u nas ze względu na trwale undulacje na głowach muzyków – i kochała go nienawidzić. Bogobojni mieszczanie nie bez powodu uważali, że gorszy ich potomstwo. Część dzieciaków szybko się zorientowała,



że to kolejny korporacyjny szajs, inne wcielenie popu wciskane go im pod pozorami buntu. Dlatego lata 80. w amerykańskiej muzyce to czas zasiewu i kielkowania nowych, rewolucyjnych nurtów, które przebijają się do masowej publiczności, zmiatając śmieśzynie popprzebierane gwiazdy stadionowego rocka. Już za chwilę z getta wyjdzie hip-hop, z garaży indie rock i nowe wcielenie punku, w tym grunge, rozkwitnie scena elektroniczna. Ale pierwszy będzie thrash metal.

UJEŹDŻANIE PIORUNA

Narodził się w Stanach Zjednoczonych jako hybryda nowej fali brytyjskiego heavy metalu z hardcore’em, radykalizowanym, przyspieszonym punkiem. Metalowe były brzmienia, najczęściej też teksty, natomiast tempo i poziom energii – hardcore’owe. Nazwa ga-

tunku dobrze oddaje jego ramy estetyczne, bo oznacza młóckę, demolkę – zapis „trash” jest również częsty, co błędny. Nowa muzyka niosła nowe przesłanie – koniec z chelpieniem się łózkowymi przewagami, czas na poważne sprawy: problemy społeczne, wojnę, szatana. Wizerunek młodych thrash-metalowców też był skrajnie odmienny od szturmujących listy przebojów pudli – potargane dżinsy albo krótkie spodenki, T-shirty, katany z naszywkami ulubionych kapel, sportowe obuwie. Zero makijażu, włosy bez ingerencji fryzjera. To była muzyka ludowa i masowa, artyści nie wynosili się ponad fanów, byli nie do odróżnienia, równi wśród równych.

Thrash młócono w całej Ameryce, a wkrótce na całym świecie – u nas już w latach 80. pod jego wpływem radykalizowały się grupy Kat, Turbo czy Vader – ale jego matecznikiem pozostawała Bay Area, czyli okolice San Francisco.

Tu były kluby na tyle odważne lub zdesperowane, by wpuszczać młodych gniewnych, było wspierające środowisko i wreszcie zespoły na tyle dobre, by nieść informację o nowej muzyce w świat. W tym Metallica, najważniejszy z nich. Pudel metal był wtedy muzyką popularną i dochodową, więc nawet nowe, bardziej ekstremalne wcielenie metalu szybko zwróciło uwagę wydawców. Najpierw niezależnych, za chwilę gigantów fonografii. Do dziś thrash metal pozostaje najbardziej agresywną odmianą muzyki gitarowej, jaka kiedykolwiek trafiła do mainstreamu i odnosiła w nim komercyjne sukcesy, porównywalne do wyczynów gwiazd popu.

CZTERECH JEŹDŹCÓW

Lars Ulrich to mózg przedsięwzięcia i mięsień, bo gra na perkusji. Biznesmen, strateg i dy-

płomata. Bez jego ambicji i energii ten zespół na pewno by nie powstał, o przetrwaniu czterech dekad z okładem nawet nie wspominając. James Hetfield, śpiewający gitarzysta, wydaje się przeciwieństwem Larsa. To wrażliwy barbarzyńca, szorstki i wybuchowy, ale dla przyjaciół pluszowy miś. Bez tych dwóch nie ma Metalliki. Bo bez Kirka Hammetta, owszem, była. Debiutancki album „Kill’em All” zespół przygotowywał z Dave’em Mustaine’em, świetnym gitarzystą, dziś liderem Megadeth. Wywalił go za chłanie i ćpanie w przeddzień sesji nagraniowej. Musiał być prawdziwym przodownikiem w nałogu, skoro stracił posadę w zespole nie bez powodu przezywanym Alcohollicą. Zdesperowana Metallica poprosiła o pomoc Kirka, założyciela grupy Exodus. Stawił się natychmiast i został na zawsze, być może dlatego, że Metallica już miała kontrakt płytowy. Hammett to typ nerda – skupiony

na muzyce, dobrze przygotowany, nie zwraca na siebie uwagi, choć bez jego wkładu to wszystko by nie zadziało. Do tego odgrywa rolę mediatora chłodzącego spory pomiędzy Larsem i Jamesem, nie zawsze twórcze.

Wreszcie ten czwarty – Cliff Burton. Jego wkład w Metallicę wykraczał daleko poza fantastyczne partie gitary basowej („Anesthesia (Pulling Teeth)”, „Orion”). Muzyk brał udział w pisaniu i aranżowaniu piosenek, ale też po prostu był częścią ban-

thrashmetalowym opus magnum. W tym samym czasie lub chwilę później pomnikowe dla gatunku płyty wydawały też inne grupy, od Slayera po Testament. Jak się obronić przed naporem ze strony równie utalentowanej konkurencji? Metallica wybrała manewr najbardziej ryzykowny, a więc ucieczkę w nieznane, na zupełnie nowe terytorium. Odnieśli globalny sukces jako zespół thrash-metalowy – i właśnie wtedy przestali grać thrash.

Album „...And Justice for All” z 1988 roku zastał ich w pół drogi. Słychać wyraźnie, skąd przybyli, i nawet fani podążający za nimi od debiutu nie byli rozczarowani. Ale pojawiły się też zaskakujące nowinki, przede wszystkim antywojenny utwór i teledysk „One”. Numer za długi jak na standardy obowiązujące w mediach (nawet wersja okrojona ma ponad pięć minut), ale tak zmyślnie się rozwijający i o tak przejmującym przesłaniu, że chwycił wbrew zasa-

Metalliki i pewnie do dziś ma go na półce. Te dziesiątki milionów sprzedanych egzemplarzy gdzieś się musiały podziać.

Po przykładnie równoważącym stare z nowym „czarnym albumie” w 1996 r. Metallica zrobiła kolejny krok w nieznane na „Load” (w parze z wydanym rok później „Re-load”, to ta sama sesja nagrania). Słychać tu wpływy i country, i bluesa, i zupełnie współczesnego indie rocka, a wszystko to o dziwo ma sens. Nie tylko Metallica wtedy się zmieniała. Inne zespoły metalowe też próbowały ewoluować, eksperymentować z brzmieniem, przypodobać się radiu – zwykle kończyło się to fiaskiem, bo szeroka publiczność nie dostrzegała tych umizgów, a metalowcy się obrażali. Metallice tymczasem wszystko było wolno. Nawet jeśli część najstarszych fanów odwróciła się od grupy gdzieś na wysokościach „Load”, w miejsce każdego nadąsanego metalowca natychmiast pojawiała się pięciu nowych sza-

ich piosenek. Wylał dziecko z kąpielą, przedstawiając przed sądem nazwiska 335 tys. użytkowników, którzy pobrali ich piosenki. Domagał się blokady kont. Napster żądanie wykonał, a Metallica posmakowała gniewu internetowego tłumu, na lata zyskując gębę chciwych milionerów, którzy odcinają od muzyki tych samych fanów, którzy wynieśli ich na szczyt. W międzyczasie zespół próbował nagrywać kolejny materiał, ale nie wychodziło, choćby dlatego, że James Hetfield zniknął na rok, najpierw przechodząc kurację odwykową, później po prostu odpoczywając od kolegów.

Wiemy o tym wszystkim dzięki filmowi dokumentalnemu „Some Kind of Monster” Joego Berlingera i Bruce’a Sinofsky’ego, który trafił na ekrany w 2004 roku i jest – nie mam co do tego wątpliwości – najważniejszym dziełem Metalliki w tym stuleciu. Ekipa miała wpaść do studia na parę tygodni, żeby szybko nakręcić, jak powstaje kolejna płyta, ale została z zespołem przez trzy lata, pokazując, jak Metallica załamuje się pod ciężarem własnego sukcesu, jak pogubieni muzycy skaczą sobie do gardel, jak rozpaczliwie szukają weny, czując brzemień oczekiwań, jak potrzebują wsparcia terapeuty, by odbyć najprostszą rozmowę. Z jednej strony trudno tu i ówdzie nie parsknąć śmiechem, choćby na widok Larisa Ulricha strapionego faktem, że tacie nie podoba się nowa piosenka (człowieku, jesteś szefem najważniejszego zespołu metalowego na świecie, więc kto, jeśli nie ty, powinien wiedzieć, że ta muzyka nie powinna się podobać starym!), ale z drugiej „Some Kind of Monster” to dowód wielkiej odwagi zespołu i każdego z jego członków z osobna. Przyznali się do swoich słabości, poprosili o pomoc, a potem opowiedzieli o tym całemu światu. Może to mało metalowe, lecz wymaga siły większej niż prężenie muskułów i powarkiwanie na publiczność.

SMUTNE, ALE PRAWDZIWE

Po kryzysie udokumentowanym w kadrach „Some Kind of Monster” Metallica wróciła na szczyt, ale do szczytowej formy już nigdy. Owszem, zespół o takiej pozycji nie musi się z nikim ścigać, ale też nikt nie próbuje ich gościć. Metal jest zupełnie gdzie indziej, w tym thrash, którego Metallica była współtwórcą i ikoną. Co prawda po wyraźnym spadku formy w pierwszej dekadzie XXI wieku kwartet nagrywa ostatnio przyzwoite albumy – mam na myśli „Hardwired... to Self-Destruct” z 2016 roku i wydany właśnie „72 Seasons” – jednak „przyzwoite” to w przypadku takich gigantów chyba trochę za mało. Zmieniają producentów, jednak nic się nie zmienia, jakby nie słuchali dobrych rad albo za bardzo kierowali się radami innych. Niby szukają, ale nie znajdują. Rzeczy, które nagrali w XXI wieku, nikogo więc nie inspirują, nie wytaczają nowych dróg, są przede wszystkim pretekstem do tego, żeby wyruszyć w nową trasę ze zmienionymi dekoracjami.

Najlepszym dowodem na to, że Metallica straciła łączność z bazą, były koncerty Wielkiej Czwórki, które odbyły się w 2010 roku i miały udowodnić coś przeciwnego.

Chodziło o to, żeby po raz pierwszy w historii zebrać na jednej scenie czterech najwybitniejszych przedstawicieli gatunku, a więc bohaterów niniejszego tekstu, Megadeth (zważywszy na burzliwą wspólną historię, było to podwójnie symboliczne), Slayera i Anthrax. Miało to oznaczać, że Metallica może i mieszka teraz w złym zamku, ale pamięta błotniście podwórko, na którym stawiała pierwsze kroki. Niestety, koledy sprzed lat nie mogli skorzystać z tej samej mocy sprzętu nagłośnieniowego, nie mieli tych samych światła, zresztą i tak występowali w dzień. Miała być Wielka Czwórka, a wyszło coś bardziej jak trzej królowie bijący pokłony władcy potężniejszemu niż oni wszyscy razem wzięci, bo nie z tego świata.

I tak sobie funkcjonuje Metallica, samotna na szczycie. Ignorowana przez metalowców, hołubiona przez mainstream, lecz przeciw w głównym nurcie od dawna niesłuchana – konia z rzędem temu, kto od ćwierćwiecza słyszał w radiu coś poza „Nothing Else Matters”. Służy przede wszystkim za maskotkę, za żywą pamiątkę po latach 90. i hegemonii rocka. Wpływ Metalliki na to, jak brzmi współczesna muzyka, jest zero. Oczywiście, rola choćby Stoneów jest nie większa. Może tam na szczycie już tak musi być.

NIC INNEGO SIĘ NIE LICZY

Fani wybaczyli Larsowi awanturę wokół Napstera. Przymknęli oko na zadzieranie nosa w „Some Kind of Monster”. Mimo uszu puszczają nie najlepszą formę. Cóż, Ulrich nigdy nie był wirtuozem, ale z biegiem lat nierówności jest coraz więcej (albo są lepiej udokumentowane, każdy może nakręcić na koncercie kolejny kompromat), zdarza mu się pomylić nawet w utworach, które wykonuje od trzech dekad. Paradoksalnie niedoskonałości wykonawcze nie szkodzą koncertom Metalliki, tylko są ich smaczkiem. Fani wybaczyli Jamesowi kolejne potknięcie i kolejny odwyk skutkujący odwołanymi koncertami – ba, wybaczyli to za mało powiedziane, okazali mu wielkie wsparcie. Fani odpuszczają Metallice nawet to, czego artystom nie powinno się puszczać płazem, a więc pływaczynie kompozycyjne i niedociągnięcia brzmieniowe, choć to przecież zespół, który powinien wyznaczać standardy. Bo fani są dziś największą wartością w całym bogatym koszyku aktywów i pasywów Metalliki, a zespół do perfekcji opanował komunikację z nimi – wsłuchuje się w ich głos, utrzymuje stały kontakt, spełnia życzenia. Metallica dostarcza dziś swoim wyznawcom dokładnie tego, czego chcą, i prawdopodobnie oszalałymi spektakle albo żartobliwe przeróbki lokalnych hitów (u nas grali pokraczne covery „Snu o Warszawie” Niemena i „Wehikułu czasu” Dżemu) są na liście życzeń wyżej od wybitnych albumów.

Trudno mieć fanom za złe tak zdroworoządkowe podejście. Jak szacuje sam Lars, biorąc pod uwagę intensywność muzyki grupy i sprawność fizyczną własną oraz kolegów, Metallice została na scenie najwyżej dekada. Lepiej więc skupić się na pozytywach. ●

Najgłośniejszą kapelę metalową na świecie założyli biznesmen, strateg i dyplomata oraz barbarzyńca

dom. Dzięki „One” Metallicę odkryła zupełnie nowa publiczność, która nie wiedziała, co to thrash, i miała to gdzieś. Branża też wreszcie doceniła wciąż jeszcze młodych i coraz mniej gniewnych metalowców z Kalifornii – „One” przyniósł im pierwszą nagrodę Grammy. Wszyscy się na „One” rzucili, bo utwór jest do połowy balladą. Nikt nie krzyczy, nie grzmocą bębny, przesterowane gitary nie burzą starannie ułożonych fryzur – trzeba było od razu mówić, że tak potrafić...

Wnioski zostały wyciągnięte. W 1991 roku ukazał się album, zwany przez fanów „czarnym”, a zatytułowany po prostu „Metallica”. Jeśli nazwa zespołu sugeruje, że mamy do czynienia z esencją metalu, to tu mamy obiecaną esencję esencji. Płyta z jednej strony zawiera równie perfidne, co skuteczne ukłony w stronę MTV i komercyjnych radiostacji („Nothing Else Matters” i „Unforgiven” zapoczątkowały modę na tzw. metalowe ballady, przykładnie kapitalizowaną przez polskich wydawców pirackich kaset), z drugiej – dowody na to, że nie zapomniał wół, jak cięciem był, i wciąż jeszcze potrafi bryknąć. Czysto thrashowych galopad tu już nie ma, ale są riffy jak mastify, jest znakomite brzmienie i uchwycony gdzieś pomiędzy wierszami Zeitgeist. Nieważne, jak ktoś zapamiętał lata 90. i czy był raczej w drużynie grunge’owej, czy jednak metalowej, czy może kibicował Red Hot Chili Peppers – jeśli słuchał muzyki gitarowej, musiał mieć kontakt z tym albumem

likowców. Wydawać się mogło, że Metallica ma midasowy dotyk, że tej siły nic nie zatrzyma.

WEWNĘTRZNA WALKA

Swoją dekadę triumfu Metallica zakończyła mocnym akcentem. W 1999 roku we współpracy z cenionym w Hollywood kompozytorem i dyrygentem Michaeliem Kamenem jeszcze przed chwilą metalowcy nagrali symfoniczne wersje swoich najbardziej popularnych utworów. Moim zdaniem wartość „S&M” zaznaczona jest w tytule, to rzecz dla masochistów. Płyta w dodatku otworzyła szerego puszkę Pandory z orkiestrowymi wariacjami na temat rocka i metalu, które powinny być surowo karalne. Ale trzeba to przyznać – znowu był sukces. Sprzedażowy, bo „S&M” pokryła się kilkoma warstwami platyny, i wizerunkowy, bo przecież facet, który napisał muzykę do „Szklanych pułapek” i Bonda, z byle jaskiniowcami by nie pracował.

Właśnie wtedy, kiedy już mieli wszystko, zaczęły się problemy. Najpierw odszedł Jason Newsted, bo nie miał możliwości pełnego twórczego zaangażowania się w Metallicę, a kiedy znalazł sobie jakiś drobniaczek na boku, kiedy zaczęli strzelać fochy. Później Lars Ulrich zachował się jak typowy stary człowiek w internecie i pozwał serwis internetowy Napster, ogniwo łączące łóżka polowe z kasetami, oraz platformę Spotify za nielegalne udostępnianie



FOT. TIM SACCENTI

dy. Zginął w 1986 roku w Szwecji, w wypadku autokaru wiozącego zespół z jednego koncertu na drugi. Minął szmat czasu, a Cliffa w Metallice do tej pory nie udało się zastąpić. Najgorzej miał Jason Newsted, grający w zespole przez prawie 15 lat i do końca traktowany jak ten obcy. Lepiej chyba radzi sobie Robert Trujillo, dbający o niskie częstotliwości w tej grupie już od dwóch dekad, ale biorąc pod uwagę jego możliwości jako muzyka i ich znikome przełożenie na to, co słychać na płytach, wciąż nie mamy do czynienia z pełną równowagą. Kto wie, może Cliff Burton, który przeżył ledwie 24 lata, w tym tylko pięć w Metallice, był dla tego zespołu znacznie ważniejszy, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

BOHATER DNIA

Kiedy zginął Burton, Metallica była świeżo po „Master of Puppets”, ich

FOT. GETTY IMAGES



POTRZĘBUJEMY WIOSKI

Już zbieram grupę dziewczyn, z którymi chcę spędzić starość.

Mam takie, które będą mi farbować włosy, kiedy będę miała skostniałe ręce

Z PSYCHOŁOŻKĄ, NEUROPSYCHOŁOŻKĄ I PSYCHOTERAPEUTKĄ **MARIĄ JARCO-DZIAŁAK*** ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Nie tylko młodym odechciewa się żyć. W zeszłym roku aż 1522 osoby w wieku powyżej 60 lat odebrały sobie życie. W ciągu dekady o 50 proc. wzrosła liczba samobójstw wśród seniorów. Co się dzieje?
– Generalnie seniorzy nie są grupą, która chętnie pojawia się w gabinecie psychologa. Natomiast kiedy już tu dotrą, najczęściej mówią o zmaganiu się z bólem, z chorobą, o tym, że są nierozumiani przez otoczenie i o tym, jak boleśnie doświadczają bagatelizowania ich skarg, kiedy w końcu je wypowiedzą. Mówią też, że dla bliskich ich cierpienie to często „tylko starość”. Słyszą: „Spójrz

w PESEL”, „Co ty znowu wymyślasz?”. A dla nich to męka, zwłaszcza kiedy żyją z postępującą chorobą i ból odbiera im chęć życia.
Warto pamiętać, że ból w starości nie jest mniejszy od tego, którego doświadczamy w młodszym wieku. To nie starość boli.

Co jest w tym najtrudniejsze?

– Samotność. To o niej seniorzy mówią najczęściej.

Mówią też, jak to jest, kiedy po kolei odchodzą ich małżonkowie, rodzeństwo, sąsiedzi, znajomi, przyjaciele. Śmierć zabiera ważne dla nich osoby, ale to również jest często jakby niezauważane. Wiele osób śmierć i żalobę w starości traktuje jako coś naturalnego, oczywistego. Nie rozumie cierpienia, które się za tym kryje. I przerażenia, bo przecież kiedy starsi ludzie chodzą na pogrzeby swoich rówieśników, nieuchron-

nie konfrontują się z myślą, że im także niewiele czasu zostało. A to pogłębia i lęk przed śmiercią, i rozpacz.

Kiedy otwierają się przed panią, widać, że robi się im lżej?

– Pewnie, że tak. Kontakt z psychologiem może być dla starszych osób ogromnym wsparciem w przeżywaniu tych utrat czy żaloby. W ogóle w radzeniu sobie z bilansem na tym etapie życia. Może też im pomóc poukładać relacje z dziećmi, z wnuczkami. Czasem kilka spotkań wystarczy, żeby zrozumieć, jak to wszystko, co utracili i co tracą, wpływa na ich funkcjonowanie i jak można je polepszyć. Bo na to nigdy nie jest za późno. Natomiast dla wielu seniorów to jest niedostępne. Nie tylko ze względu na trudność z dostaniem się do specjalistów, również z powodu ich włas-

nych barier. Wielu z nich żyje w przekonaniu, że problemy emocjonalne rozwiązuje się w domu, w rodzinie, a nie rozmawia o nich z obcymi.

Bo to wstyd?

– Wstyd, ale także obawa, że jak pójdą po pomoc, to usłyszą, że mają na przykład depresję. I że wtedy zaczną być postrzegani jak osoby chore psychicznie, które nie mają kontroli nad własnym życiem.

Podejście do zaburzeń psychicznych to chyba kolejna różnica pokoleniowa?

– Zdecydowanie. W tej grupie jest sporo stereotypów wokół kryzysów psychicznych, ale my też nie bardzo pomagamy starszym je przełamywać. Za mało jest komunikacji międzypokoleniowej, choć przecież moglibyśmy im tłumaczyć różne aspekty ży-



cia, które są dla nich nowe, których nie rozumieją. Objasnić na przykład, czym jest depresja, czym są zaburzenia lękowe, że wiele osób dziś na nie choruje, że można je leczyć, nie trzeba się tak męczyć. Zresztą jak już seniorzy trafią do psychoterapeuty czy do psychiatry, to najczęściej właśnie z depresją i z lękiem, choć przyznam, że trudno się diagnozuje depresję w tej grupie.

Na czym polega ta trudność?

– Na odróżnieniu objawów depresji od innych chorób somatycznych typowych dla tego wieku. Poza tym sami seniorzy często tłumaczą sobie dolegliwości mogące wskazywać na depresję starością, więc nawet nie szukają pomocy. Podobnie i my, ich bliscy, zakładamy, że to ich spowolnienie, wycofanie, drażliwość, zrzędlivość to podeszły wiek, bo według nas starość taka jest – niedołączna, wiecznie niezadowolona, złośliwa. I ona może taka być. Jeśli ktoś choruje i nie dostaje pomocy, to tak funkcjonuje. Żyje z nieleczoną depresją czy z chronicznym bólem. Natomiast starość nie musi wcale tak wyglądać.

Co nas, bliskich, powinno szczególnie uczulić, jeśli chodzi o depresję?

– Wyraźne zmiany w zachowaniu starszej osoby – wycofanie się, zmniejszenie zainteresowania tym, co się dzieje na świecie, w rodzinie. Unikanie kontaktów z bliskimi, ze znajomymi. Pogorszenie się apetytu. Skargi, że źle spała albo że budzi się w nocy z lękiem. Nagła małomówność, ale też skłonność do irytacji, wybuchy gniewu, zachowania, które można rozumieć jako skrajny egocentryzm. Także różnego rodzaju dolegliwości ciała i bóle, które nie mają medycznego uzasadnienia, oraz kłopoty z pamięcią.

Kłopoty z pamięcią są chyba akurat typowe dla tego etapu życia?

– Tak się właśnie myśli o starości, że co drugi senior ma kłopoty z pamięcią. Seniorzy, kiedy zauważają u siebie spowolnienie funkcji poznawczych, sami mówią: „Pamięć mi siada, to starość!”. Tak nie jest. Normą w tym wieku, jak w każdym innym, jest sprawność poznawcza. A problemy z pamięcią mogą zwiastować różne rzeczy, niekoniecznie zespoły otępienne, również

depresję. Mogą mówić o samotności. Dla tego tak ważne jest, żebyśmy słyszeli, co starsi bliscy do nas mówią, zwrócili uwagę, kiedy nasza babcia czy mama przestaje oglądać ulubiony serial. To też są komunikaty, że coś, co ich kiedyś cieszyło, już ich nie cieszy, że nic już ich w życiu nie czeka, że nikt ich nie potrzebuje. Powtarzanie: „Starość się panu Bogu nie udała”, może mieć takie samo znaczenie jak: „Moje życie nie ma sensu”, wypowiedane przez młodego dorosłego.

Co, kiedy namawiamy bliską starszą osobę na wizytę u specjalisty, ale ona mówi, że nie chce, nie potrzebuje?

– Pytanie, jak o tym rozmawiamy? Czy jest w tym takt i delikatność? Starsze osoby często osadzają się w roli kogoś, kto wie lepiej, kto potrafi sam o sobie zdecydować, i musimy im dać do tego prawo. Na pewno warto mówić o tym, co zauważamy ze swojej perspektywy: „Martwi mnie to, co się z tobą dzieje”, „Może to nic, ale się upewnijmy”, zamiast: „Musisz iść do lekarza, bo jesteś chora!”, „Idziemy do psychiatry, bo nie da się z tobą wytrzymać!”. Czasem komunikujemy się z nimi w ten sposób, bo zależy nam na czasie. Ale jeśli nie poświęcimy go starszym osobom, jeśli nie poznamy ich tak naprawdę, jeśli nie będzie między nami zaufania, to będzie nam bardzo trudno je namówić. I nawet jeśli przy-



*Dla wielu starszych osób
perspektywa zależności
od innych jawi się niemal jako
zagrożenie terrorem*

świecać nam będą dobre intencje, proponowana im pomoc może zostać odebrana jako coś inwazyjnego.

Proszę pamiętać, że dla wielu starszych osób perspektywa zależności od innych często jawi się niemal jako zagrożenie terrorem. Z tego powodu również nie dzielą się tym, jak się czują, bo boją się zależności. A tak naprawdę boją się upokorzenia. Mnie to w sumie nie dziwi.

Dlaczego?

– Bo skoro już teraz, kiedy są jeszcze w jakiej formie, mają poczucie, że ich potrzeby są bagatelizowane albo oferowana im pomoc jest pełna zniecierpliwienia i złości, świadomość, że mogą być skazani na taką umniejszającą ich godność opiekę, może być przerażająca. Nie twierdzę, że tak jest zawsze, ale oni naprawdę widzą to nasze przewracanie oczami w ich obecności, te ostentacyjne westchnięcia, te nerwowe ruchy, kiedy coś u nich sprzątamy albo kiedy widzimy ich nieporadność.

Niektórzy seniorzy mówią, że otoczenie czasem nawet nie kryje obrzydzenia, kiedy mają jakieś niezależne od siebie przypadłości – wypadnie im proteza albo mają problemy z trzymaniem moczu. Bardzo to przeżywają.

Skąd się bierze to przewracanie oczami, to zniecierpliwienie, ta irytacja?

– Z jednej strony pewnie stąd, że życie z seniorem jest czasem wymagające. Starsze osoby doświadczające chronicznie bólu mogą zachowywać się zrzędlivo. Zdara się, że okazują nam złość. Ale z drugiej strony, kiedy traktujemy je jak małe dzieci, kiedy mówimy im: „Mamo, zjedz śniadanie!”, „Teraz weź leki!”, „A teraz załóż to”, denerwują się, bo mają poczucie, że próbujemy odebrać im kontrolę nad aspektami życia, z którymi świetnie sobie radzą. Dlaczego by nam więc mieli tej złości nie okazać?

Nasze zniecierpliwienie z kolei często wynika z pośpiechu. Z tego, że ciągle brakuje nam czasu. Starsze osoby trochę inaczej go postrzegają.

To o ten czas wiele, mam wrażenie, się rozbija.

– Bo starsze osoby mają go na co dzień więcej. Często nie mają już obowiązków zawodowych, dzieci wyszły z domu. A do tego mają świadomość, że czas upływa, i – co zrozumiałe – chcą go spędzić z nami, swoimi bliskimi. Jak najwięcej. Te dwie perspektywy są czasem nie do pogodzenia. To, co możemy zrobić, to być uważni na ich potrzeby i je rozumieć.

A czy starsze osoby rozumieją rzeczywistość swoich dorosłych dzieci i wnuków? To zagonienie, obowiązki?

– Z tym jest różnie. Część z nich to rozumie, a część nie i ma o to pretensje. Zwłaszcza wtedy, kiedy nikt z nimi o tym nie rozmawia. Nie wyjaśnia im, dlaczego nie ma czasu na odwiedzin, że z jednej pracy musi biec do drugiej, żeby na przykład załatać dziury w domowym budżecie. Częściej te rozmowy wyglądają tak: „Wzięłaś leki?”, „Potrzebujesz czegoś?”, „To zadzwonię do ciebie jutro, pa”.

Kojarzy mi się to z wymianą zdań z dzieckiem, które wraca ze szkoły: „Co było na obiad?”, „Jak ci poszedł sprawdzian?”.

– Bo to jest mniej więcej ten sam poziom rozmowy. Seniorom bardzo brakuje rozmów, ale takich prawdziwych.

Czego jeszcze?

– Obecności. Czulości. Zrozumienia. Potwierdzenia, że nadal są ważni, potrzebni. Dowartościowania. Ludzi im brakuje. Brakuje im nas.

Ma pani poczucie, że kiedyś było inaczej?

– Seniorzy często opowiadają o tym, jak sami zajmowali się swoimi starszymi rodzicami czy dziadkami. I mają poczucie, że kiedyś tego czasu było jednak więcej, że nie działo się tak dużo, nie było takiego pędu. Więcej rodzin wielopokoleniowych mieszkało razem, więc kontakt ze starszym człowiekiem był ciągły i naturalny. Trudno mi natomiast powiedzieć, czy to się zmieniło w ostatnich latach... Choć po pandemii jest trochę inaczej.

W jakim sensie?

– Pandemia rozdzieliła pokolenia. Najbardziej dziadków i babcie od wnuków. Kontakty osłabły, bo młodzi chronili starszych przed zakażeniem, ale potem wcale nie wróciły do tego, co było wcześniej.

Seniorzy mówią, że pandemia stała się trochę taką wymówką, żeby się z nimi nie spotykać, żeby ich nie odwiedzać. I że tych kontaktów jest mniej.

Jesteśmy zajęci swoimi sprawami. Dorosli – pracą, dziećmi, partnerem, partnerką, psem, kotem. Dzieci – rówieśnikami, szkołą, zajęciami dodatkowymi. Jeśli te więzi wcześniej nie były zbyt mocne, jeśli mamy poczucie, że ten nasz starszy bliski mało się orientuje w tym, co się dzieje dookoła, to nie bardzo chcemy się z nim kontaktować, bo na przykład – w przekonaniu wnucząt – babcia i tak nie „skuma”.

Świat przyspieszył. My, w średnim wieku, często nie rozumiemy różnych fascynacji naszych dzieci, a co dopiero starsze osoby. Ma pani wrażenie, że coraz rzadziej patrzy się na seniorów jako na tych, którzy mają jakąś mądrość do przekazania?

– Trochę tak jest. Niektórym seniorom trudno jest się odnaleźć w rzeczywistości tak innej od tej, w której oni dorastali czy wychowywali swoje dzieci. I chodzi o zmiany nie tylko technologiczne, ale również kulturowe, obyczajowe. Dla części seniorów ta rzeczywistość jest zbyt głośna, zbyt aktywna, zbyt przebojowa. Można powiedzieć, że dzisiaj trudno jest się starzeć. Młodości przypisuje się szczególne znaczenie, wyjątkową jakość i trochę ten kult tego, co młode, wypiera różne inne treści. Wszystko, co wygląda dojrzałe, starzej, ciszej, jest przesuwane na drugi plan. Zwłaszcza w wielkomiejskich środowiskach, gdzie starsze osoby traktuje się anonimowo.

Ja mam z kolei poczucie, że starość docenia się tylko wtedy, kiedy jest aktywna i młoda. Kiedy starsza osoba biega dwa razy w tygodniu na uniwersytet trzeciego wieku, w weekendy uprawia nordic walking, prowadzi konto na Instagramie, a do tego podróżuje, wtedy jest fajna.

– Wspaniale, gdy starsze osoby mogą się rozwijać na uniwersytetach trzeciego wieku, działać w klubach seniora, w lokalnych grupach aktywistów, aktywistek, korzystać z domów kultury, uprawiać sport. Rzecz w tym, że większość seniorów nie ma takiej możliwości, ponieważ żyją w małych miastach, miasteczkach, na wsi, gdzie brakuje takich ofert, a przede wszystkim wzorców przełamujących stereotypy na temat starości. Dla wielu z nich takie postacie, jak 85-letnia DJ Wika, modelka 70 plus Helena Norowicz czy Tęczowe Seniorki wspierające społeczność LGBT, są raczej ciekawostką, żeby nie powiedzieć – abstrakcją. Zresztą wielu z nich patrzy na takie aktywności dość krytycznie, bo „starości tak nie wypada”. Jakby starości nie wypadało żyć. Mimo więc całego tego dobra, które jest, w większości starzy ludzie są nadal niewidzialni, niezrozumiani i skazani na odcho-dzenie po cichu. A presja aktywności w momencie, kiedy nie dajemy im do tego narzędzi, a w mniej-szych ośrodkach nie dajemy, tak na prawdę pogłębia ich poczucie osamotnienia.

Nie wszyscy muszą też chcieć być superaktywni.

– Oczywiście. I to również jest w porządku. Problem w tym, że my często próbujemy zarządzać starością, nie mając pojęcia, jaka ona jest. Bo przecież o to nie pytamy.

Myszę, że może być nam trudno komunikować się z seniorami także dlatego, że wtedy konfrontujemy się z naszą własną śmiertelnością.

Patrzmy na nich, słuchamy ich i myślimy o tym, że my kiedyś będziemy tacy jak oni, czyli starzy. Bo będziemy. W związku z tym pędzimy. Jesteśmy głośni, aktywni, zabiegani, tak jakby można było tym pędem odgonić coś, co jest nieuniknione.

Czego najczęściej nie wiemy o starości?

– Tego, że jest żywa, że ma swoje emocje, potrzeby, przemyślenia.

Czasem zapominamy, że seniorzy to grupa społeczna, która obejmuje ponad dwa pokolenia. Jeśli przyjmujemy umownie, że wiek senioralny rozpoczyna się w 60. roku życia, a najstarsza Polka kończy w tym roku III lat, to mówimy o bardzo zróżnicowanej grupie – nie tylko ze względu na cechy indywidualne, ale również ze względu na wiek. Między młodym a sędziwym seniorem jest 50 lat różnicy! Ich sytuacja życiowa, stan zdrowia, potrzeby, problemy, zainteresowania są często diametralnie różne.

Zdarza nam się nie dostrzegać także tego, co możemy dostać od osób w wieku senioralnym, a one są przecież mistrzami życia. Dyplomowanymi rzemieślnikami. To są osoby, które mają za sobą kilkudziesięcioletnie doświadczenie, ogromny trening społeczny. Spotkały tysiące ludzi, przeżyły setki trudnych sytuacji. Warto z tego korzystać, poczynając od tego, jak się

robi pierogi, na rozmowach o życiowych wartościach skończywszy. Seniorzy są też, jak to się mówi, skarbnicą wiedzy. Znają naszą rodzinną historię, ale również historię lokalnej społeczności. I to taką nieopisaną.

Rozumiem, że to wszystko, o czym rozmawiamy – obecność, czas, wymiana – da się nadrobić, kiedy mamy wystarczająco dobrą relację ze starszym bliskim. Ale bywa przecież tak, że ona wcale dobra nie jest, bo na przykład był on przemocowym rodzicem.

– Oczywiście mógł być rodzicem przemocowym, rodzicem nieobecnym, po prostu złym. Wiele zależy od tego, jak teraz wygląda układ rodzinny, kto jeszcze jest blisko tego seniora poza tymi, którzy doznali z jego strony krzywdy. Generalnie nie wyobrażam sobie zmuszania kogoś, kto doświadczył przemocy, do opieki nad sprawcą.

lacom – rodzinie, przyjaciółom. Znacznie częściej żałują, że na coś się nie zdecydowali, stracili jakąś szansę, nie wyszli z inicjatywą, bo się bali, że popełnią błąd.

Żałują też, że się przejmowali rzeczami, które z perspektywy czasu nie mają żadnego znaczenia, na przykład relacjami w pracy. To także warto wziąć sobie do serca.

A czy mówią coś o miłości? O związkach?

– Ci młodszy seniorzy, a raczej młodsze seniorki, bo częściej dotyczy to jednak kobiet, często opowiadają o swoich nowych partnerach, o problemach sercowych. W miłości senioralnej dynamika romantycznych relacji jest bardzo podobna do tego, co się dzieje między młodymi, towarzyszą temu duże emocje. Samotne seniorki mówią, że brakuje im seksu, czułości, co zadziwia ich dzieci czy wnuki. Czasem przyznają, że chciałyby się z kimś związać, na przykład po

osoby, czyli na samotność. Na to, że rodzina zostawiła ich samych z opieką, że jak już jedna osoba została przypisana do tego zadania, to inni umywają ręce. Dużo mówią o samotnym zmaganiu się z życiem kiedy muszą godzić opiekę nad starszą osobą ze swoimi sprawami – z pracą, dziećmi, wnukami, również ze sprawami dotyczącymi ich własnego zdrowia, bo najczęściej seniorami opiekują się inni seniorzy, tyle że trochę młodszy. Czasem to wszystkim jest nie do udźwignięcia dla jednej osoby. To znaczy, opiekunowie to robią, ale kosztem siebie, dlatego często umierają zaraz po swoich podopiecznych.

Mówi się, że potrzebujemy wioski, żeby wychować dziecko. Wygląda na to, że potrzebujemy też wioski, żeby poradzić sobie ze starzeniem się.

– Ze starzeniem się własnym, z odchodzeniem bliskich. W ogóle potrzebujemy wioski, żeby dobrze przeżyć życie. Potrzebujemy bliskich relacji nie tylko z rodziną, ale też z przyjaciółmi, znajomymi, sąsiadami. Gdybyśmy byli bliżej siebie, byłoby nam łatwiej i w wielu przypadkach uratowałoby to czyjeś zdrowie i życie.

Poza wszystkim mamy jeszcze ośrodki pomocy społecznej, które również mogą być pomocne. Niektóre z nich prowadzą kluby seniora, spotkania integracyjne, spotkania międzypokoleniowe. Zatrudniają świetnych specjalistów. Mogą także pomóc zorganizować opiekę, wesprzeć opiekunów, o ile oczywiście dostały na to dofinansowanie. Zachęcam, żeby sprawdzić, jaką lokalny ośrodek pomocy społecznej ma ofertę i jaką ofertę mają organizacje pozarządowe. Na przykład warszawska fundacja Wsparcie organizuje spotkania dla opiekunów osób starszych i jednocześnie zajęcia dla seniorów chorujących na zespoły otępienne, w tym na chorobę Alzheimera. Fundacja Stocznia prowadzi stronę Siłowniapamięci.pl, gdzie można znaleźć różnego rodzaju treningi pamięci, pomysły na wspólne spędzanie czasu jeden na jeden z seniorem, który ma problemy z pamięcią czy chorobę Alzheimera. Niektóre organizacje pozarządowe prowadzą projekty, w ramach których świadczą bezpłatną pomoc psychologiczną i psychoterapeutyczną dla seniorów i ich opiekunów. Ważne też, żebyśmy naciskali na osoby decyzyjne, lokalne władze, by tworzyły programy wsparcia, opieki czy pomocy psychologicznej, tak żeby seniorzy mogli korzystać z różnych narzędzi. Dla nich to kwestia jakości życia.

Co tracimy, marginalizując starsze osoby i sprowadzając opiekę nad nimi do technikaliów typu: wzięłaś leki, zrobić ci zakupy?

– Tracimy bardzo ważną dla nas relację. Wydajemy czasem setki, tysiące złotych na coachów życiowych, tymczasem ci coachowie są obok nas. Spytała mnie pani, czego najczęściej żałują starsze osoby. Bliscy seniorów po tym, jak oni już odeszli, też żałują. Najczęściej tego, że za mało ich było w życiu dziadka czy mamy, że za mało z nimi rozmawiali, że nie zdążyli czegoś powiedzieć, wyjaśnić, o coś zapytać. Już się z tym nic nie robi. Zamknęło się. Dlatego warto dbać o nich, póki jeszcze z nami są. I przebywając z nimi, przygotować

się też na własną starość, żeby nie była ona beznadziejna i samotna.

Można się w ogóle na to przygotować?

– Oczywiście, że tak. Możemy zadbać o swój stan zdrowia – fizyczny i psychiczny. O nasze zainteresowania, o aktywność, ale przede wszystkim o relacje. Ja na przykład już zbieram grupę dziewczyn, z którymi chciałabym spędzić starość. Mam takie, które będą mi farbować włosy, kiedy będę miała skostniałe ręce. Zamierzam się z nimi świetnie bawić.

Kiedy patrzy pani na seniorów, którzy mają dobrą starość, to co pani widzi?

– Dużo dobrych relacji, o które dbają i którymi się żywią. Widzę ludzi, którzy wyszukują sobie różne aktywności i możliwości kontaktu z rówieśnikami. Ludzi, którzy cały czas poszukują nowych znaczeń, sensu – w aktualnych wydarzeniach, ale też w tych dawnych. To są osoby żywo zainteresowane tym, żeby się stale rozwijać, ćwiczyć się w komunikacji, uczyć się nowych rzeczy. Oczywiście czasem uczą się trochę wolniej, potrzebują więcej powtórzeń, ale jeśli ktoś im w tym towarzyszy i tłumaczy nową wiedzę czy umiejętność, to nie ma żadnego kłopotu. To jest zresztą mit, że starsze osoby nie mogą się już niczego nauczyć, na przykład obsługi pralki albo komputera, że to za trudne. Kolejnym mitem jest to, że seniorzy żyją we własnym świecie i wyłącznie własnymi problemami.

Zaprzątnięci swoim zdrowiem.

– Właśnie. Tymczasem żyjemy na tym samym świecie. Oni też się martwią tym, że ceny ciągle rosną, że inflacja jest dwucyfrowa, że tuż za granicą mamy wojnę, że przyszłość jest niepewna. Często bardziej martwią się o swoje dzieci i wnuki niż o siebie. O to, że dzieci są zapracowane, a wnuki mają problemy w szkole. Nam się czasem wydaje, że tym dziadkom i babciom jest tak dobrze, bo tu mają 13. emeryturę, tam 14., nie mają kredytów, wielkich wydatków itd. Ale oni także często stają przed dylematem, co kupić – leki czy jedzenie. Też popadają w biedę i muszą korzystać z pa-czek żywnościowych czy z jadłodzielni. Dziękuję z nami wiele problemów i zmartwień, tylko czasem nie chcemy tego zobaczyć. ●



***Maria Jarco-Działak**

● psycholożka, neuropsycholożka i psychoterapeutka, związana ze Specjalistyczną Poradnią Rodzinną Dzielnicy Wawer m. st. Warszawy. Wieloletnia współpracowniczka organizacji pozarządowych i placówek pomocy społecznej w obszarze przeciwdziałania przemocy w rodzinie i pomocy osobom starszym. Autorka projektów kierowanych do seniorów i ich bliskich, szczególnie w chorobie Alzheimera i innych zespołach otępiennych

Wydajemy czasem setki, tysiące złotych na coachów życiowych, tymczasem ci coachowie są obok nas

Jednak zdarza się, że te osoby opiekują się swoimi rodzicami – z różnych powodów.

Czasami, bo chcą, a czasami dlatego, że nie mają innej możliwości. Jest to oczywiście bardzo trudne, bo mają przeżycia związane z traumą dziecięcą i te związane z aktualnym zachowaniem seniora. Myszę, że w takiej sytuacji warto sięgnąć po profesjonalne wsparcie.

Zdarza się, że starsza osoba doświadcza przemiany i dochodzi do pojednania?

– Pewnie tak się zdarza – szczerze mówiąc, osobiście nie znam takiej historii. Seniorzy nie tak często ulegają wewnętrznym przemianom. Trudno jest się skonfrontować z tym, że się krzywdziło swoje dziecko. Łatwiej, bezpiecznie, a może nawet w jakimś sensie zdrowiej jest pójść w zaprzeczenie do samego końca.

Czy seniorzy mówią czasem, czego żałują?

– Na pierwszym miejscu zawsze pojawia się to, że za dużo pracowali, a za mało czasu poświęcali re-

śmierci małżonka, ale zastanawiają się, czy im wypada. Właściwie czują się trochę wstawione w taką przestrzeń, że już im nie wolno, że muszą być same do końca życia, a wcale tego nie chcą. Czują się młode. Mają po 70, 75 lat i przed sobą być może jeszcze ze 20 lat życia. To mnóstwo czasu.

A co mówią o długoletnich związkach? Czy z tego płynie jakaś nauka?

– Często słyszę: „Dobrze się z mężem dogadywaliśmy”, „Ona mnie rozumiała”, „Wspólnie wszystko ustalaliśmy”. Dużo mówią o komunikacji, o porozumieniu z małżonkiem czy z małżonką i że to było dla nich jakoś ważne. Ale bywa też, że żałują tego, że tak w ich związku nie było, chociaż bardzo tego pragnęli.

Prowadzi pani warsztaty dla bliskich opiekujących się starszymi osobami. Co im najbardziej doskwiera w tych relacjach?

– Wiele zależy od kondycji ich podopiecznych. Najczęściej jednak opiekunowie skarżą się na to samo, na co skarżą się starsze

Nowy serwis

żyć lepiej
psychologia codziennie

Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej

Kremówka

Cudzoziemiec jedzący kremówkę wy-czuwa tylko cukier, ciasto francuskie (niestety), bitą śmietanę i budyń, a my czujemy, że jesteśmy wielkim, chrześcijańskim narodem.

Michał Rusinek

Najsłynniejszym ciastkiem wszech czasów była dotąd magdalenka – unieśmiertelniona i uwznioślona przez Marcela Prousta w powieści „W poszukiwaniu straconego czasu”. Ale jej miejsce powoli, acz nieubłagane zaczyna zajmować kremówka: ciastko symbol, ciastko topos, ciastko fetysz, ciastko nad ciastkami.

Proust poświęcił magdalence zaledwie dwa fragmenty w pierwszym tomie swojego dzieła „W stronę Swanna”. Przeszłość, jak mówi narrator, nie jest dla nas dostępna: „Starać się ją wywołać, to stracony czas, wszystkie wysiłki naszej inteligencji są daremne. Ukryta jest poza jej dziedziną i poza jej zasięgiem, w jakimś materialnym przedmiocie (we wrażeniu, jakie by nam dał ten materialny przedmiot), którego się nie domyślamy. Od przypadku zależy, czy ten przedmiot spotkamy, zanim umrzemy, czy też go nie spotkamy”. I przypadkiem taki przedmiot spotyka pewnego zimowego dnia: „Matka, widząc, że mi jest zimno, namówiła mnie, abym się napił, wbrew zwyczajowi, trochę herbaty. Odmówiłem zrazu; potem, nie wiem czemu, namyśliłem się. Posłała po owe krótkie i pulchne ciasteczka zwane magdalenkami, które wyglądają jak odlane w prążkowanej skorupie muszli. I niebawem, przytłoczony ponurym dniem i widokami smutnego jutra, machinalnie podniosłem do ust łyżeczkę herbaty, w której rozmoczyłem kawałek magdalenki. Ale w tej samej chwili, kiedy łyk pomieszany z okruciami ciasta dotknął mego podniebienia, zadrżałem, czując, że się we mnie dzieje coś niezwykłego. Owładnęła mną rozkoszna słodycz, odosobniona, nieumotywowana. Sprawila, że w jednej chwili koleje życia stały mi się obojętne, kłęski jego błaha, krótkość złudna”. Był to bowiem smak z czasów szczęśliwego dzieciństwa narratora w Combray: „Ten smak to była magdalenka cioci Leonii. W niedzielę rano w Combray (ponieważ tego dnia nie wychodziłem przed godziną mszy), kiedy szedłem do pokoju cioci Leonii powiedzieć jej dzień dobry, dawała mi kawałek ciasta, zmoczywszy je w herbacie lub w naparze kwiatu lipowego (...). I z chwilą gdy poznałem

smak zmoczonej w kwiecie lipowym magdalenki, którą mi dawała ciotka (...), natychmiast stary, szary dom od ulicy, gdzie był jej pokój, przystawił się niby dekoracja teatralna do wychodzącej na ogród oficynki, którą zbudowano dla rodziców od tyłu (...), i wraz z domem miasto, od rana do wieczora i w każdym czasie, rynek, na który wysyłano mnie przed śniadaniem, ulice, gdzie załatwiałem sprawunki, drogi, którymi się chodziło, kiedy było ładnie”.

Fragmenty te wystarczyły, by magdalenka zyskała sławę przedmiotu, którego smak uruchamia to, co głęboko uśpione w pamięci. W każdej literaturze narodowej pojawiają się takie przedmioty, ale żaden z nich nie zrobił takiej kariery jak te francuskie ciastka, a w zasadzie: ciasteczka. Nazwę swą wzięły prawdopodobnie od Madeleine Paulmier, kucharki, która wypiekała je jako pierwsza, ale ponoć nauczył ją tego w 1755 roku Stanisław Leszczyński, wówczas książę Lotaryngii i Barru, a wcześniej król Polski. Są to więc de facto ciastka polskie, wkład polskiej kultury nie tylko w kuchnię francuską, ale też w kulturę światową. Lecz co nam po takim wkładzie, jeśli nawet my sami o nim nie wiemy?

Wszystko się zmieniło, kiedy papież Jan Paweł II w 1999 roku w rodzinnych Wadowicach wypowiedział pamiętne zdanie: „Po maturze chodziliśmy na kremówki”. I to jedno lapidarne zdanie wystarczyło, by opisana w kilkudziesięciu wielokrotnie złożonych zdaniach francuska magdalenka ustąpiła miejsca arcy polskiej kremówce. Jej smak przywraca nie pamięć indywidualną narratora, ale pamięć zbiorową, pamięć wspólnotową: po pierwszym kęsie słyszymy dźwięk dzwonów, po drugim czujemy to, co czuliśmy na krakowskich Błoniach w czasie pamiętnych pielgrzymek Jana Pawła II do Polski, po trzecim słyszymy, że mamy się nie lękać, po czwartym widzimy, jak zstępuje Duch i odnawia oblicze ziemi. Tej ziemi.

Oburzenie na Polskie Koleje Państwowe, które 2 kwietnia rozdawały pasażerom kremówki, jest głęboko nieuzasadnione. Kremówki powinny być przecież obowiązkowym elementem jadłospisu naszego umęczonego podziałami narodu, bo tylko kremówki mają siłę jednoczącą. Ale tylko dla nas. Cudzoziemiec jedzący kremówkę wyczuwa jedynie cukier, ciasto francuskie (niestety), bitą śmietanę i budyń, a my czujemy, że jesteśmy wielkim, chrześcijańskim narodem. Nie ma się zatem co dziwić, że owego 2 kwietnia w ciągach rozbrzmiewał głos lektorki: „Chcemy poprzez jeden z pamiętnych motywów wizyt papieża w ojczyźnie zachęcić Państwa

do wspomnienia o wielkim Polaku. Obsługa częstuje dziś pasażerów papieskimi kremówkami”. A więc nie tylko symbol, topos czy fetysz, ale także motyw! Zdumiewające, ale i znaczące było też oburzenie wielu lewicowych komentatorów, że na opakowaniu kolejowych kremówek nie umieszczono daty przydatności do spożycia. Gdyby sobie uświadomili, że kremówka należy do porządku mitycznego – nie oburzaliby się. Kierownictwo PKP wyszło bowiem ze słusznego założenia, że mity rozgrywają się poza czasem, in illo tempore, więc żadne cenzury, ramy i ograniczenia ich nie dotyczą. Co więcej, jedzenie czegoś, na czym nie ma daty ważności, dla pasażerów cudzoziemców było aktem brawury, dla pasażerów Polaków – aktem wiary: kremówką papieską z definicji nie sposób się zatruć, samo posadzenie jej, że mogłaby nam zaszkodzić, ma posmak bluźnierstwa, grozi wykluczeniem ze wspólnoty i interwencją Straży Ochrony Kolei. Skład surowcowy symbolu tym bardziej nie jest ważny: symbol musi być przecież dobrze zakonserwowany. A ten był zakonserwowany po trzykroć, powiadam wam: sorbinianem potasu, benzoesanem sodu i propionianem wapnia. A co do obecnego w nim także siarczanu wapnia, czyli gipsu, należy docenić nie tylko jego właściwości żelujące, ale też symboliczne: kremówkowy budyń jest spoiwem naszego narodu dzięki temu, że zawiera on prawdziwe spoivo budowlane jak w każdym polskim domu. Każdy symbol powinien wszak zawierać element dosłowny.

I wreszcie oburzenie ostatnie – że kremówki rozdawane były nie w rocznicę urodzin, nie w rocznicę rozpoczęcia pontyfikatu, lecz w rocznicę śmierci papieża – świadczy o głębokim niezrozumieniu naszej kultury. Przypomnijmy zokcydentalizowanym oburzonym, że najważniejszym świętem słowiańskiego folkloru nie jest żadne tam Mar-di Gras, Noc Walpurgii czy Halloween, ale dziady! A więc obrzęd obcowania żywych z umarłymi, którego podstawową formą było spożywanie – wspólnie z duchami zmarłych – miodu, jajek czy kutii. Niegdyś na cmentarzach, niehigienicznie, a teraz – w pendolino, elegancko, w foliowym pudeleczku, drewnianym widelczykiem. Może i z niejakim poświęceniem, jednak przede wszystkim z poczuciem uświęcającej mocy aktu wywoływania wspólnej ucukrzonej pamięci, której żaden dziennikarz śledczy nam nie zbruka, bo ogólnonarodowe chrupanie i mlaskanie wszystkie złe szepty zagłuszy. Powiedzmy sobie szczerze i bez fałszywej skromności: to nie kremówka jest polską magdalenką, ale to magdalenka jest francuską podróbką kremówki. Tej kremówki. ●

CASA NOSTRA

Śmierć przychodzi w lany poniedziałek

Od kilku lat już nie tylko autostradą, ale też od strony morza.

Jarosław Mikołajewski

Lany poniedziałek od zawsze jest we Włoszech dniem, w którym śmierć na autostradach zbiera swoje banalne żniwo. Włosi jadą za miasto, żeby piec jagnięta, i do „artystycznych miast” – Florencji, Sieny, Neapolu... 16 milionów wyjechało, żeby odpocząć, zjeść coś innego niż na co dzień, coś zobaczyć. O rekordach drugiego dnia świąt napisał wiersz nawet Eugenio Montale, poeta z Noblem.

W tym roku, jak od kilku lat, masowa śmierć przyszła także od morza. Liczy się ofiary, ale tak naprawdę nikt już nie wie, kto zginął i gdzie, pod kim otworzyły się wody. Kiedy piszę te słowa, pomiędzy Libią a Sycylią błąka się kuter z 400 osobami, komendant gdzieś się podział, nikt nie spieszy z pomocą. Dwa dni temu utonęło 35 Tunezyjczyków, tylko z jednej łodzi. Punkt przyjęć na Lampedusie nie przyjmuje nikogo. Jest w nim 1850 migrantów, a miejsc tylko 300. Dzisiejszy transport popłynął do Porto Empedocle na Sycylii. Żeby ulżyć maleńkiej wysepce.

Francesco Tucci, stolarz z Lampedusy, od kilku lat chodzi na cmentarz migranckich łodzi, odrywa deski, kleci krzyżyki. Z deszczulek błękitnych i białych. Jako pamiątki po nadziei, po ludziach, po wyspie. Znam pragnienie posiadania kawałka łódki. Kiedy byłem tam w sierpniu, wziąłem deseczkę. Nakleiłem na tło ramki do zdjęć. Nieforemną, najeżoną, w czarnej ramce. Wisi teraz i wyje w mieszkaniu. Nie ma w sobie nic z dekoracyjności. Wszystko z mo-dlitwy i obrazu świata.

Silvio Berlusconi w szpitalu walczy o życie. ●

KNOCK OUT PRODUCTIONS ZAPRASZA



incubus

+ SUPPORT

07.06.2023

TAURON ARENA KRAKÓW

INFORMACJE: [KNOCKOUTPROD.PL](http://knockoutprod.pl) BILETY: [EBILET.PL](http://ebilet.pl)

weekendówka
48



Autorem wielu haseł jest **Jarek Szubrycht**

KOŁYSZ SIĘ I TOCZ!

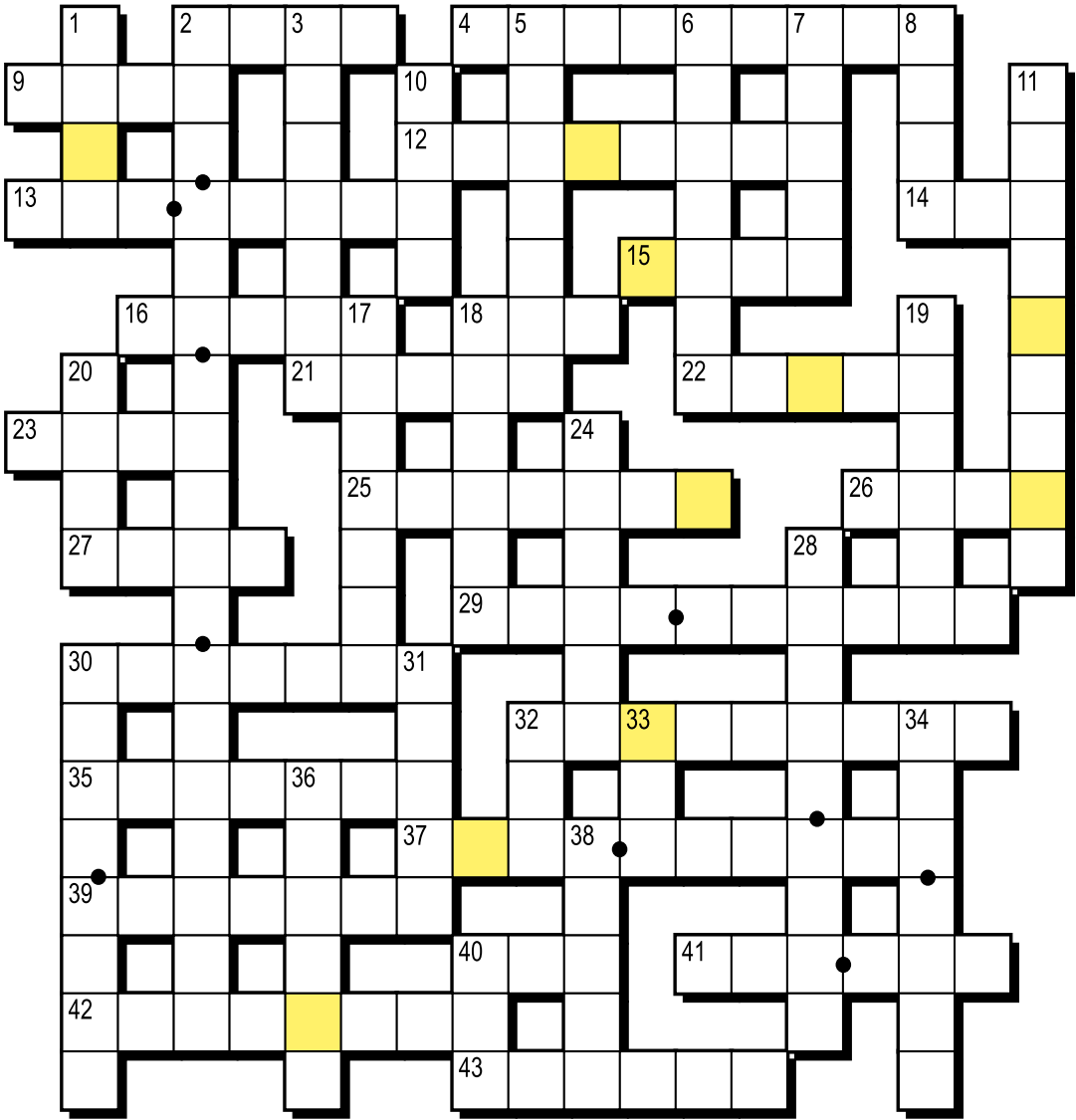
16 kwietnia 1964 roku. To był czwartek. Jak się okazało, dość istotny czwartek w historii muzyki, szczególnie muzyki rockowej. Otóż tego dnia właśnie w Wielkiej Brytanii ukazała się płyta „The Rolling Stones” formacji o tej właśnie nazwie. Zawierała 12 utworów, po sześć na obu stronach, ale tylko trzy z nich były oryginalnymi kompozycjami: „Tell Me (You’re Coming Back)”, który popęłnił duet Mick Jagger/Keith Richards, oraz „Now I’ve Got a Witness (Like Uncle Gene and Uncle Phil)” i „Little by Little”, pod którymi podpisał się Nanker Phelge. Cóż to? Otóż tym pseudonimem posługiwał się po prostu zespół The Rolling Stones, oprócz Jaggera i Richardsa Brian Jones (założyciel grupy i człowiek, który wymyślił nazwę Rolling Stones, a raczej zaczerpnął ją z płyty Muddy’ego Watersa, bo tak nazywał jeden z kawałków tam nagranych), Charlie Watts i Bill Wyman.

Reszta utworów z debiutanckiego krążka była coverami utworów, m.in. Rufusa Thomasa, Chucka Berry’ego czy Marvin’a Gaye’a. Ale tandem Jagger/Richards dopiero stawiał pierwsze kroki – na dwóch kolejnych studyjnych albumach wspólnie napisali po trzy piosenki, w tym „(I Can’t Get No) Satisfaction”, pochodząca z trzeciego krążka grupy, „Out of Our Heads” (1965 r.), a uznaną przez magazyn „Rolling Stone” za drugi najwspanialszy utwór wszech czasów (za „Like a Rolling Stone” Boba Dylana – uff, sporo tych toczących się kamieni...).

Ale wróćmy jeszcze do debiutu. Album „The Rolling Stones” ukazał się wyłącznie w wersji mono, w edycji brytyjskiej na okładce było tylko zdjęcie zespołu i nazwa wytwórni płytowej Decca, wydanie amerykańskie, które pojawiło się pod koniec maja tego samego roku, nosiło tytuł „England’s Newest Hitmakers”. Różniło się też nieco od brytyjskiego listą utworów (zawierało np. utwór „Not Fade Away”, oryginalnie wykonywany przez Buddy’ego Holly’ego, które zresztą było pierwszym dużym hitem Stone-sów), a wypuściła je inna brytyjska wytwórnia, London Records.

Album przez 12 tygodni był najlepiej sprzedającą się płytą na Wyspach Brytyjskich, w Stanach dotarł do 12. miejsca listy Billboardu. A my, odpalając Rolling Stonesów na głośnikach, dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy rockowym (głównie – bo jak się zorientujecie, pojawiają się też tuzy innych gatunków muzycznych) gigantom. A o pomoc przy hasłach zwróciliśmy się do Jarka Szubrychta, dziennikarza „Gazety Wyborczej” oraz tekściarza, byłego wokalisty grupy Lux Occulta, autora m.in.: „Bez litości. Prawdziwa historia zespołu Slayer”, „Vader. Wojna totalna”, „Życie, bierz mnie. Biografia Andrzeja Zauchy” czy „Skóra i ćwieki na wieki. Moja historia metalu”. Jedziemy! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 47 z 8.04:

Poziomo:

- 3) Złoty Kij 6) Kanada 10) Unia 11) senator 12) Bruins 13) Islanders 14) sport 15) mecz 16) Orr 19) parkany 21) Łódź 22) Rycerze 24) Nowy Targ 25) rękoczyzny 26) koło 27) zawody 29) Rosja 31) atak 32) rekord 33) bandy 34) bodiczek

Pionowo:

- 1) Jagr 2) Mariusz Czerkowski 4) ławka kar 5) kontra 7) Auston 8) Nikita 9) Connor 11) sędzia 12) bramkarz 16) Oilers 17) rady 18) Gretzky 19) Polonia Bytom 20) Nowy Jork 23) Toronto 25) rezerwy 28) derby 30) Janów 33) boks

HASŁO: **TRZY TERCJE**

LEGENDY ROCKA

Hasła Jarka Szubrychta oznaczono inicjałami (J.S.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, tworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2)** „We Will ... You”
4) kultowy festiwal zorganizowany w sierpniu 1969 r. w stanie Nowy Jork
9) Axl śpiewający „November Rain”
12) nazwisko tego wokalisty Black Sabbath, na widok którego pierzchają gołębie i nietoperze (J.S.)
13) Eddie kojarzony z hitami „Jump”, „Eruption”
14) nagrał „Łzę dla cie-niów minionych”
15) mąż Ike ją wylansował, ale potem próbował znisz-

- czyć. Na pewno nie o nim, już solo, śpiewała „You’re simply the best” (J.S.)
16) śpiewa „Every Breath You Take”
18) „... wschodzącego słońca” (The Animals)
21) Paul ... i Art Garfunkel
22) ... Jones (Sex Pistols) lub ... Morse (Deep Purple)
23) grupa znana z hitów „Tom Sawyer”, „Fly by Night”
25) Freddie, bohater filmu „Bohemian Rhapsody”
26) imię kojarzące się z imieniem „Layla”
27) śpiewają, że „Runął już ostatni mur” i że „Jeszcze będzie przepięknie”
29) gwiazda brytyjskiego metalu, ale grali na polskim weselu i mają gitarzystę (jednego z trzech!) polskiego pochodzenia (J.S.)

- 30)** Def ...
32) nagrali hity „Cryin’”, „Crazy”, „Amazing”
35) potocznie o fanach Gahana i Gore’a
37) nagrali przeboje „Smoke on the Water”, „Child in Time”
39) nazwisko króla rock and rolla
40) Artur Gadowski i spółka
41) hicior AC/DC
42) wyśpiewała największe przeboje zespołu Hey
43) Tadeusz, ojciec polskiego bluesa

Pionowo:

- 1)** zespół Piotra Roguckiego
2) wykonują piosenki „Californication”, „Give It Away”
3) wokalista (i perkusista), który w Genesis i solo osiągnął szczyt – dziś,

- ze względu na stan zdrowia, żegna się ze sceną (J.S.)
5) Roy ... („Oh, Pretty Woman”)
6) Dire ...
7) węgierska grupa rockowa założona w 1962 r. („Dziewczyna o perłowych włosach”)
8) z Jamesem, Larsem i Robertem w zespole
10) wokalista U2
11) wbrew złośliwej plotce nie skończyli się na „Kill’ Em All” (nawet na „Czarnej” nie) (J.S.)
17) David, gitarzysta i wokalista zespołu Pink Floyd
18) Jagger – Stonesi, Morrison – ?
19) imię Beatlesa wykonującego piosenkę „Got My Mind Set on You”

- 20)** imię lidera Nirvany, która w latach 90. rozpętała nową (ostatnią?) rockową rewolucję, pamiętaną jako grunge (J.S.)
24) nagrali superprzebój „The Final Countdown”
28) gitarzysta Led Zeppelin
30) śpiewają: „Tacy sami, a ściana między nami”
31) fryzura Boba Marleya
32) „... of Spades”, hit grupy Motorhead
33) specjalność Eminema
34) wykonują piosenki „The Big Hand”, „A Forest”, „Lullaby”
36) ... i różę, czyli Slash i jego koledzy
38) ... Jam (wokalista: Eddie Vedder)
40) ... Curtis, śpiewał w zespole Joy Division

Leszek Rydz

Byle do

weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play